HISTORYCZNY SPÓR O HOŁD PRUSKI
Najwięksi polscy badacze od lat toczą ostrą debatę na ten temat

ZAGADKA „ŻAGWI" Z GETTA
Żydowskie pismo konspiracyjne długo uważano za dzieło Niemców

STULECIE DYNASTII ROCKEFELLERÓW
Ich wpływy były legendarne. Udało im się nawet „kupić" amerykańskiego prezydenta

NR 6(160)/2026 CZERWIEC 2026

CENA 14,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

NAJWIĘKSZY BŁĄD POLSKI?

Dlaczego nie wykończyliśmy Krzyżaków

DO RZECZY HISTORIA
ISSN 2299-9515 Nr indeksu 296 031
9 772299 951509 06 >

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA JERZY PTAKOWSKI: „AUSCHWITZ. BEZ CENZURY I BEZ LEGEND"

Niezwykłe wspomnienia z czterech lat spędzonych w kl Auschwitz. Obozowy ruch oporu w nowym świetle.

Jerzy Ptakowski mierzy się z mitami o Auschwitz narosłymi wskutek oddziaływania wieloletniej propagandy i tarć interesów rozbieżnych frakcji politycznych.

Opowiada o bohaterach: o Witoldzie i Janie Pileckich, o. Maksymilianie Kolbem i Janie Mosdorfie; o obozowym ruchu oporu i relacjach pomiędzy różnymi narodowościami. Wskazuje na nierozliczone po wojnie zbrodnie oraz zdarzenia, za sprawą których dziś głosi się, że „nie tylko Niemcy ponoszą odpowiedzialność", bo „w Auschwitz mordowali także Polacy".

Jako członek władz Stronnictwa Narodowego Ptakowski uwypukla obozową działalność narodowców z SN i ONR. Nie jest jednak stronniczy. Jego wspomnienia mają uzupełniać literaturę i nadrobić występujące w niej luki. Sam również uczestniczył we władzach podziemnych struktur. Podkreśla, że w dramatycznych warunkach obozowych nad partykularyzmem przeważało poczucie narodowej solidarności i wspólnoty bądź też zwyczajne zrozumienie dla ludzkiej niedoli. Pragnienie pokonania wspólnego wroga przełamywało lody i skłaniało do współpracy najzagorzalszych przedwojennych politycznych oponentów.

Taki obraz oraz spojrzenie przez pryzmat ugrupowań narodowych czynią książkę Ptakowskiego wręcz unikatową. O narodowcach w Auschwitz mówi się bowiem mało, niechętnie. Jakby wręcz „nie wypada".

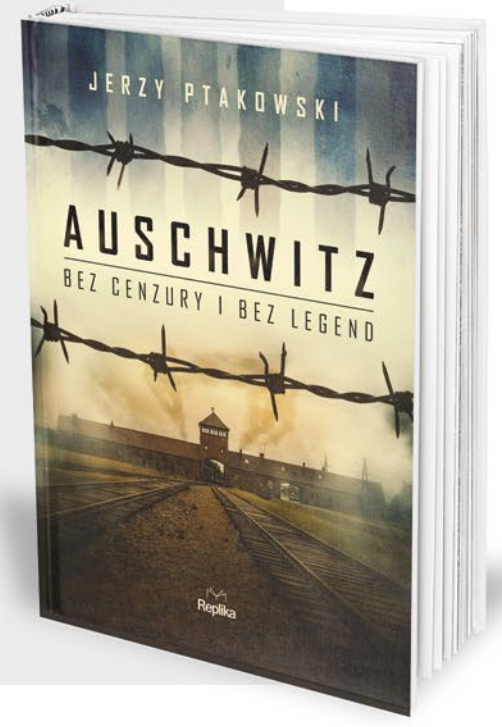

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

171 zł

oszczędność 58 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST.
ZAMÓWIENIA TYLKO PRZEZ STRONĘ WWW.SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 3fb0395e21

ADRES:
HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.HISTORIA.DORZECZY.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA „DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Włoczyk**
Redaktor: **Tomasz Stańczyk**

STUDIO GRAFICZNE:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

KOREKTA: Anna Zalewska, Agnieszka Szpak

OKŁADKA: Krzysztof Wyrzykowski

PORTAL DORZECZY.PL
redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

WYDAWCA:
Do Rzeczy SA
Batory Office Building II,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00
Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

spółka notowana na GPW
PMPG POLSKIE MEDIA SA

ZARZĄD PMPG POLSKIE MEDIA SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
ZARZĄD SPÓŁKI DO RZECZY SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK Walstead Starachowice

PRENUMERATA WYDAWNICZA
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631
Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl
https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna)
tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl
www.kolporter.com.pl
Garmond, tel.: +48 (12) 422 14 85
e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl
www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o., tel.: +48 (22) 649 41 61
www.glm.pl
Poczta Polska
https://prenumerata.poczta-polska.pl/

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Kraków, 1926 r.

Członkowie Kolejowego Przysposobienia Wojskowego pozują przed Pomnikiem Grunwaldzkim

FOT. NAC

Od redaktora

Piotr Włoczyk

Triumf czy fatalny błąd?

Efekty tamtego układu widać jeszcze 400 lat później na mapie międzywojennej Polski. Rozciągające się od Królewca do Ełku i od Kwidzyna do Tylży Prusy Wschodnie wcinają się między II RP i Litwę. Tylko wąski pasek województwa pomorskiego oddziela Prusy Wschodnie od reszty cielska nazistowskich Niemiec. Z tego powodu pozycja strategiczna II RP w przypadku wojny z Niemcami już na starcie była fatalna.

A gdyby historia potoczyła się inaczej? Gdyby nie było żadnych Prus Wschodnich? Nieco ponad 500 lat temu polskie elity stanęły przed wyborem. Można było próbować militarnie rozgromić Krzyżaków, którzy już ponad pół wieku wcześniej stracili na rzecz Polski (na mocy drugiego pokoju toruńskiego) duże połacie swojego potężnego niegdyś państwa, i zniszczyć je do końca. Ale można było też próbować dogadać się z władcą z Królewca, by możliwie najmniejszym kosztem spacyfikować północnego rywala. Żadna z opcji nie była wtedy oczywista; wokół Prus Zakonnych toczona była bowiem skomplikowana gra, w której Zygmunt I Stary musiał brać pod uwagę nie tylko stanowisko papiestwa i cesarza, lecz także układ sił na wschodzie i południu Rzeczypospolitej, a nawet sytuację wewnętrzną.

Historycy do dziś spierają się, czy hołd pruski z 1525 r., wieńczący zawarty wtedy kompromis, był mądrym posunięciem polskiego władcy czy przeciwnie – fatalnym błędem, świadczącym o krótkowzroczności.

Przy czym nie był to pierwszy raz w historii Polski, gdy mogliśmy dobić Krzyżaków. Tuż po zwycięstwie pod Grunwaldem pojawiła się przecież szansa na zajęcie Malborka i całkowite rozgromienie wroga. Dlaczego w kluczowych momentach Polacy cofali się o krok? I czy możemy mieć pretensje do Władysława Jagiełły czy Zygmunta I Starego za to, że wiele lat później brandenburscy Hohenzollernowie „połknęli" Księstwo Pruskie (późniejsze Prusy Wschodnie), tworząc potężne państwo, które finalnie zabiło I RP? Przyjrzymy się tej układance. ©℗

eprasa.pl 3fb0395e21

/ TEMAT NUMERU

.6 STEFAN CIARA
Dlaczego Polska nie zgniotła Krzyżaków

.10 BOBRZYŃSKI, NOWAK, FROST, JASIENICA, KONPOCZYŃSKI
Historycy o hołdzie

.12 SŁAWOMIR KOPER
„Cud" nad Nogatem

.22 PIOTR SEMKA
Ratunek starego „Fryca"

/ CZASY I LUDZIE

.20 KRZYSZTOF DROZDOWSKI
Sieć Hitlera

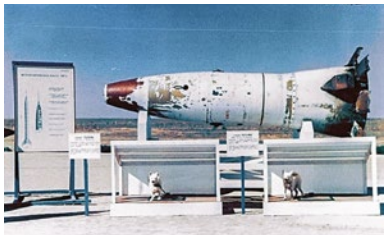

.24 MIKOŁAJ IWANOW
Sowieckie „Strefy 51"

.28 TOMASZ STAŃCZYK
W łagrach, Auschwitz i leprozorium

.32 JAKUB OSTROMĘCKI
Wokeistowska królowa wojownik

.36 ANNA SZCZEPAŃSKA
Skradzione dzieci Reunionu

.40 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Nazistowski „męczennik"

.44 BEATA ZUBOWICZ
Królowa bez korony

eprasa.pl 3fb0395e21

.71 PIOTR SEMKA
Ludojady na emeryturze

/ BATALIE I WODZOWIE

.72 LESZEK LUBICKI
Chrobry kontra Niemcy: II runda

.76 MICHAŁ MACKIEWICZ
Malta, wyspa zmilitaryzowana

/ TECHNIKA

.78 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Sprasowany świat

.48 PIOTR WŁOCZYK
Czarnobylski horror „likwidatorów"

.52 MAREK GAŁĘZOWSKI
Stefan Lubliner i zagadka „Żagwi"

.56 JAKUB WOZINSKI
Stulecie Rockefellerów

.60 PIOTR WŁOCZYK
Xi na wsi

/ CO CZYTAĆ

.64 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Partia szachów Adama Mickiewicza

.68 RECENZJE

/ FELIETONY

.70 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Antysierpień

/ POD PRĄD

.80 PIOTR ZYCHOWICZ
Wymarzony sojusznik Churchilla

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Minikomputer i świnie

eprasa.pl 3fb0395e21

Wywiad / Z prof. Stefanem Ciarą, historykiem, autorem książki „Hołdy pruskie. Zmarnowana szansa Rzeczypospolitej"

rozmawia Piotr Włoczyk

Dlaczego Polska nie zgniotła Krzyżaków

– Polski król przede wszystkim liczył na wygaśnięcie linii Albrechta. Jednak opcja wojenna była poważnie brana pod uwagę; Polska podjęła próbę budowy sojuszu antykrzyżackiego. Gdyby udało się go zrealizować w praktyce, istniała szansa na militarne pokonanie Krzyżaków – mówi historyk

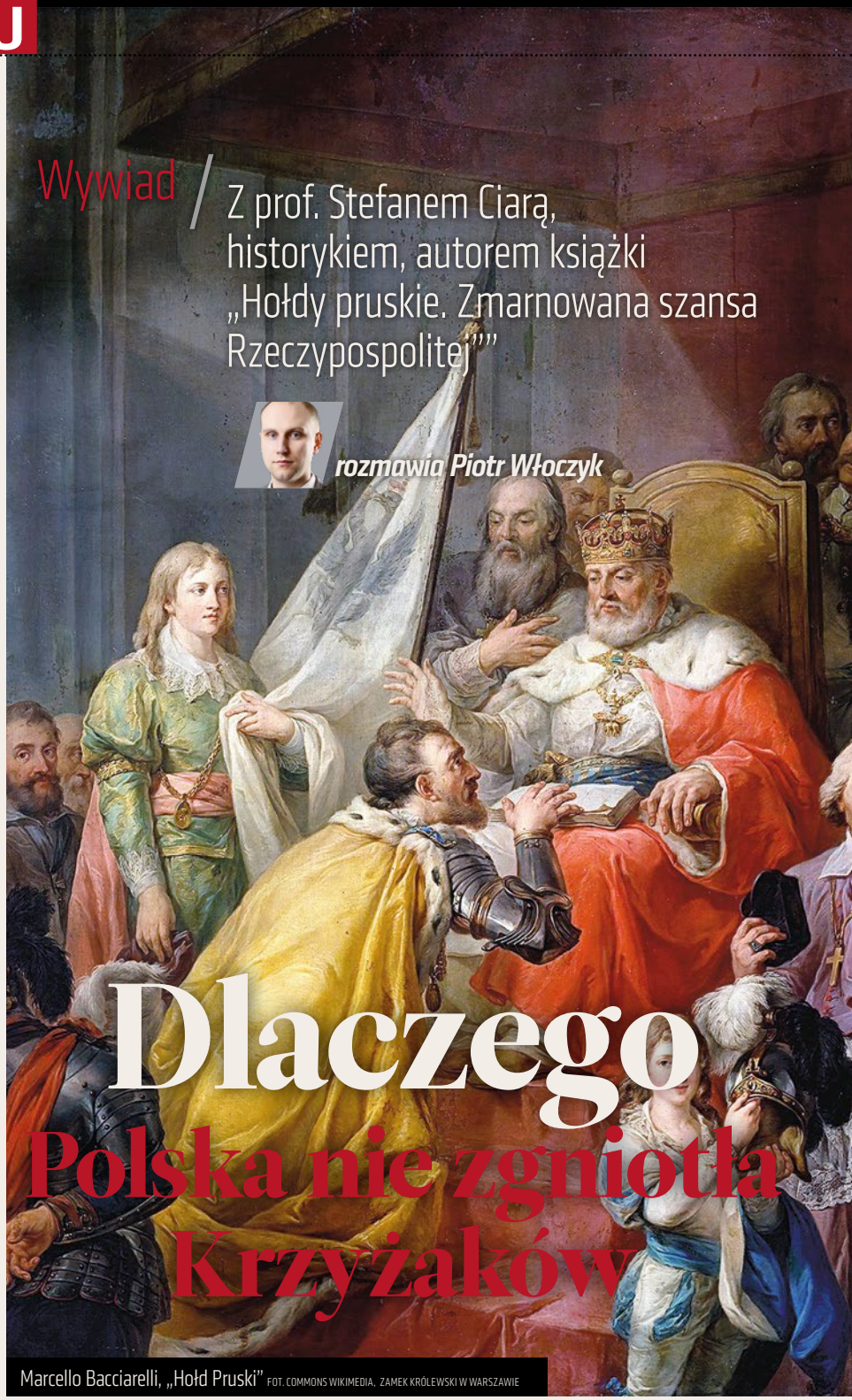

Marcello Bacciarelli, „Hołd Pruski" FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

PIOTR WŁOCZYK: Dlaczego prymas Jan Łaski (1456–1531) był gotów zrezygnować ze swojego stanowiska?

PROF. STEFAN CIARA: Prymas Łaski był nie tylko głową Kościoła w Polsce, lecz także politykiem – w imieniu Polski zawierał układy międzynarodowe. I był też wielkim zwolennikiem aneksji Prus Zakonnych.

Czyli państwa krzyżackiego ze stolicą w Królewcu, które powstało po II pokoju toruńskim z 1466 r., gdy Polska przejęła m.in. Pomorze Gdańskie, tworząc Prusy Królewskie.

Tak. W tym planie wraz z inkorporacją do Korony Prus Zakonnych polski król stałby się wielkim mistrzem zakonu krzyżackiego, a Albrecht Hohenzollern, ostatni władca Prus Zakonnych, objąłby zwolnione przez abp. Łaskiego stanowisko prymasa.

Ten hierarcha widział w państwie krzyżackim duże zagrożenie i gotów był nawet zrezygnować z własnych ambicji, byleby tylko Prusy Zakonne zostały przejęte przez Polskę. Prymas Łaski chciał też położyć tamę reformacji, a widać było, że Albrecht zaczyna ulegać wpływom luteranizmu.

Czyli prymas chciał upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

Tak. Z jednej strony chciał usunąć pruską enklawę, która niebezpiecznie wcinała się pomiędzy Litwę a Koronę, a dodatkowo, gdyby ostatni wielki mistrz zakonny przystał na propozycję objęcia godności prymasa Polski, zaszkodzić wpływom Marcina Lutra. Łaski widział też zagrożenie dla Prus Królewskich. Miasta tego regionu, m.in. Gdańsk, Toruń czy Elbląg, wydatnie pomogły podczas wojny trzynastoletniej – za panowania Kazimierza Jagiellończyka – w odzyskaniu tego terytorium dla Polski. Teraz jednak stały się one bardzo podatne na wpływy reformacji. Prymas Łaski chciał

eprasa.pl 3fb0395e21

osłonić Kościół katolicki w Polsce przed tym zagrożeniem.

Ilu było w polskich elitach tamtych czasów ludzi takich jak prymas Łaski, którzy chcieli kompletnie zlikwidować państwo krzyżackie?

Powiedziałbym, że była to bardziej elita intelektualna niż elita władzy. Innym takim człowiekiem był sekretarz królewski i dyplomata, a także poeta Jan Dantyszek, przyszły biskup chełmiński, który był człowiekiem o szerokich horyzontach, obytym w świecie. A przy tym był bliski prymasowi Łaskiemu.

Po drugiej stronie stał główny przeciwnik prymasa Łaskiego, kanclerz Krzysztof Szydłowiecki, który wyraźnie kojarzony był jako człowiek sprzyjający Albrechtowi. Był on wręcz przyjacielem tego Hohenzollerna. I to kanclerz był inicjatorem czteroletniego traktatu rozejmowego z Albrechtem, który bardzo różnie jest oceniany. Nie brakuje głosów, że przyniósł on wtedy więcej korzyści Prusom, które po pierwszej, nierozstrzygniętej fazie wojny z Polską zyskały czas na zebranie sił.

Szydłowieckiego można porównać do premiera i szefa MSZ w jednym. Ale jednak prymas w pewnym sensie równoważył te wpływy. Jako głowa Kościoła katolickiego w Polsce był uznawany przez większość społeczeństwa jako ważna figura. Tak więc do końca trwało między nimi przeciągnie „liny" w sprawie losu Prus Zakonnych.

Ostatecznie król postanowił zawrzeć z Albrechtem kompromisowy układ. Dlaczego prymas Łaski przegrał tę rywalizację?

Powodem był splot kilku czynników. Po pierwsze, król widział konieczność zerwania sojuszu między Albrechtem a Moskwą. Ten sojusz nie zrealizował wprawdzie w pełni nadziei Albrechta, ale jednak Moskwa szachowała państwo polsko-litewskie od wschodu. Wojska moskiewskie potrafiły dojść kilkadziesiąt kilometrów od Wilna, co pokazywało, jak duże jest to zagrożenie.

Po drugie, bardzo zaważyła na tej decyzji sytuacja międzynarodowa; w Europie Zachodniej i Południowej toczyły się tzw. wojny włoskie, czyli rywalizacja o hegemonię pomiędzy Habsburgami a Francją Walezjuszy. W lutym 1525 r. doszło do zwycięstwa wojsk cesarskich

Prymas Jan Łaski

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

nad francuskimi w bitwie pod Pawią, co się skończyło dla króla Franciszka niewolą. Cesarz Karol V triumfował. A przecież cesarz był postrzegany jako protektor Albrechta. Idea antyhabsburskiego sojuszu z Francją legła w gruzach, a poza tym Wiedeń był blisko, a Paryż dużo dalej…

Po trzecie, świeckie państwo Albrechta, nawet dziedziczne (ale tylko w jego linii dynastycznej), uważano nie bez racji za mniej groźne niż gwałtownie rosnące w siłę imperium Turków osmańskich sułtana Sulejmana Wspaniałego. Wszak cztery lata wcześniej, w 1521 r., armia padyszacha zdobyła Belgrad i wkroczyła na Węgry, a w 1526 r. pod Mohaczem odniosła zwycięstwo, które przesądziło o losie Węgier. Jak wiadomo, w batalii tej zginął Ludwik Jagiellończyk, władca Węgier i Czech, bratanek Zygmunta Starego. Ten ostatni właśnie zagrożeniem tureckim uzasadniał zawarcie traktatu z Albrechtem – księciem chrześcijańskim, lecz nie katolickim.

Po czwarte, król nie dostrzegał sprzyjających warunków w samych Prusach Zakonnych, które otworzyły się na idee reformacyjne. To, że w 1466 r. przyłączono do Polski Prusy, zwane od II pokoju toruńskiego Królewskimi, nie świadczyło jeszcze, że to ważne terytorium było wierne Koronie. Było to jednak środowisko niemieckie. A związki Niemców i luteranizmu były bardzo widoczne. W Prusach Królewskich dochodziło do antykatolickich wystąpień i pojawiły się duże wątpliwości, czy gdyby Albrechtowi udało się skupić większe siły, to Prusy Królewskie pozostałyby przy Polsce.

W tym wszystkim sporą rolę odgrywał też ruch egzekucyjny. Szlachta średnia dostrzegała, że możni w rodzaju Szydłowieckiego kumulowali w swoich rękach zbyt dużo urzędów. Król i elita kumulująca urzędy i królewszczyzny (klucze majątków ziemskich domeny monarszej) mieli prawo obawiać się, że w razie zaostrzenia sytuacji może nawet dojść do rokoszu. Zygmunt Stary był przecież nazywany przez szlachtę „królem senatorskim".

Czyli król, myśląc o ewentualnym rozprawieniu się zbrojnym z państwem zakonnym, musiał liczyć się z tym, że szlachta mogłaby to wykorzystać, by przeforsować swoje postulaty? Krótko mówiąc: pójście na wojnę mogło się dla niego źle skończyć pod względem polityki wewnętrznej?

Tak. I dlatego wcale niełatwa wojna mająca na celu kompletne zgniecenie Prus Zakonnych była z tego punktu widzenia problematyczna dla Zygmunta Starego. Wynikało to również z charakteru tego władcy: zdecydowanie nie miał on w sobie „żyłki wojownika".

To był ciekawy paradoks – Zygmunt Stary zwalczał w Polsce reformację, ale jednak zezwolił Albrechtowi na odejście od Kościoła.

Traktat krakowski z 8 kwietnia 1525 r., kończący wojnę polsko-krzyżacką z lat 1519–1521, był pierwszą w Europie umową pomiędzy państwem katolickim a państwem protestanckim.

Zygmunt Stary wydawał edykty wymierzone w protestantów i zakazał przywożenia do Polski druków Marcina Lutra. Edykty były swego rodzaju alibi wobec Rzymu. Miały one pokazać, że król widzi w napływie idei reformacyjnych element destrukcyjny. Jednak inny zasięg miała reformacja w roku 1520, a inny w 1525, gdy doszło do tzw. tumultu, czyli buntu gdańskiego, pokazującego siłę protestantów. Król musiał ten czynnik brać pod uwagę.

Herb Księstwa Pruskiego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BASTIANOW

Kto wysunął pomysł sekularyzacji Prus Zakonnych?

Sam Marcin Luter zaproponował to Albrechtowi. Luter słusznie zauważył, że zakon krzyżacki to anachronizm. I rzeczywiście – zakon już wiele lat wcześniej uległ faktycznej sekularyzacji.

eprasa.pl 3fb0395e21

Ujmując rzecz wprost: w porównaniu z początkami państwa krzyżackiego Prusy Zakonne wyglądały jak karykatura.

Dokładnie – to była karykatura pierwotnej misji zakonu. Już od początku obecności Krzyżaków nad Bałtykiem sposób realizacji ich misji budził zastrzeżenia, ale na początku XVI w. było to już właściwie świeckie państwo z elementami dekoracji zakonnej. Liczyły się budowanie potęgi i kwestie czysto materialne. Na początku XVI w. padały wprawdzie pomysły, by wysłać Krzyżaków na Podole czy nawet Cypr, by odpierali ataki muzułmańskie...

... ale XVI-wieczni Krzyżacy nie chcieli nawet słyszeć o podejmowaniu misji, skoro tak dobrze było im materialnie nad Bałtykiem...

Tak. Krzyżacy przestawali być zakonnikami. Przed bitwą pod Grunwaldem było 700 braci zakonnych, a 100 lat później było ich już ponad 10 razy mniej. To wszystko budowało przekonanie, że jest to zakon tylko z nazwy, a państwo krzyżackie interesuje się właściwie jedynie sprawami materialnymi, głównie eksploatacją majątków. Każdy widział, że śluby zakonne poszły właściwie w zapomnienie. „Zakonnicy" wiązali się z kobietami i zakładali rodziny, a każdy ojciec wie, że rodzina potrzebuje zabezpieczenia materialnego. Oczywiście w samym zakonie dostrzegano absurd całej tej sytuacji.

I nagle pojawił się Luter i powiedział Krzyżakom: przestańcie udawać, mam tu dla was receptę na nowoczesne państwo.

Ekspansja protestantyzmu wiąże się z ekspansją państw narodowych. Książę przyjmujący wyznanie Lutra stawał się głową Kościoła we własnym państwie i nie musiał uznawać żadnej innej władzy zwierzchniej, bo takowej po prostu nie było. Ta wizja stała się bardzo kusząca dla Albrechta Hohenzollerna. Dlatego ostatni wielki mistrz krzyżacki dążył do zawarcia układu o sekularyzacji.

Dlaczego jednak polski, katolicki władca, który – przynajmniej na papierze – zwalczał heretyków, zgodził się na to, by Albrecht Hohenzollern stał się władcą państwa protestanckiego?

To jest kluczowa sprawa: po sekularyzacji znikała protekcja papieska. I dlatego Albrecht niemało tu ryzykował. Papież miał przecież od 1525 r. wszelkie

STEFAN CIARA
HOŁDY PRUSKIE. ZMARNOWANA SZANSA RZECZYPOSPOLITEJ
BIAŁY KRUK

powody, by uważać Prusy za państwo wrogie katolicyzmowi. Mało tego, cesarz Karol V Habsburg, katolik zwalczający reformację, był niemal do ostatniej chwili protektorem Albrechta. Była to nieco teoretyczna protekcja, ponieważ Rzesza ogarnięta wojnami religijnymi i chłopskimi, nie miała dużych możliwości pomocy, ale jednak była. Albrecht wystawiał się więc na ryzyko również z tej strony, natomiast dla Polski była to korzyść. Jak wspomniałem, trzeba było mobilizować wszystkie siły przeciw ekspansji islamu.

Często mówi się, że polskie elity nie myślą realnie. W tej konkretnej kwestii widać jednak zimną kalkulację: jesteśmy katolikami, ale uznamy protestanckie państwo pruskie, które straci w ten sposób protekcję papieża i cesarstwa.

I dzięki temu znikła obawa przed ingerencją papiestwa i cesarstwa, a więc czynnik, który sprawiał wcześniej Polsce sporo problemów. Papiestwo nie uznało przecież do końca II pokoju toruńskiego i wiążących się z nim cesji terytorialnych.

Polska była wielokrotnie silniejsza demograficznie od państwa zakonnego, ale jednak zewnętrzne czynniki polityczne ograniczały opcje militarne. W przypadku zsekularyzowanego księstwa część tych problemów politycznych znikała.

Albrecht Hohenzollern jako wielki mistrz zakonu krzyżackiego. Obraz Hansa Krella

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

W jakim stopniu na takim załatwieniu kwestii pruskiej zaważyły koligacje rodzinne? Albrecht Hohenzollern był przecież siostrzeńcem polskiego króla.

Czynnik rodzinny na pewno odgrywał w całej tej historii pewną rolę. Widać to było choćby w trakcie negocjacji z Polakami, gdy delegaci Albrechta oświadczyli, że nie mają pełnomocnictw do podpisania tak daleko idącego układu. W tej sytuacji Zygmunt Stary wściekł się, uznając, że Krzyżacy grają na zwłokę. Wkrótce jednak opanował gniew i okazał gotowość do kompromisu. Więcej – król przykazał posłom, by zapewnili siostrzeńca o jego przyjaznych uczuciach. Ale jednak nie przeceniałbym czynnika rodzinnego. W tej historii decydującą rolę odegrała wielka polityka.

Czy Zygmunt Stary kiedykolwiek na poważnie myślał o całkowitym zgnieceniu Krzyżaków?

Polski król przede wszystkim liczył na wygaśnięcie linii Albrechta. W tamtym czasie nic jeszcze nie było wiadomo o jego potomstwie. Układ krakowski wykluczał sukcesję w Prusach przez inne linie Hohenzollernów. A była to przecież bardzo rozgałęziona rodzina. Król liczył, że demografia załatwi inkorporację Prus Książęcych do Polski.

Jednak opcja wojenna była poważnie brana pod uwagę. Polska podjęła próbę budowy sojuszu antykrzyżackiego. Prymas Łaski był inicjatorem zawartego w Gdańsku w marcu 1524 r. układu koalicyjnego obejmującego Danię, Meklemburgię i książąt pomorskich. Gdyby udało się go zrealizować w praktyce, istniała szansa na militarne pokonanie Krzyżaków.

Tym bardziej że nie brakowało pieniędzy, bez czego nie sposób myśleć o wojnie. Szlachta zdobyła się wcześniej na zebranie znacznych podatków, więc istniała możliwość opłacenia wojsk koalicyjnych.

Czyli szlachta chciała wojny z Prusami Zakonnymi?

Szlachta była gotowa ponosić ciężary, by definitywnie rozwiązać problem z Prusami Zakonnymi. Jednak król i magnateria obawiali się, że jeżeli szlachta się zbierze na wojnę, może wystąpić z pretensjami wobec elity państwa i zawalczyć o prawa, które – jak uważała – są jej odbierane. I to był istotny czynnik w kalkulacjach polskiego monarchy.

eprasa.pl 3fb0395e21

RYS. MARZENA WŁÓCZYK

Jak wyglądała sytuacja w samych Prusach Zakonnych? Czy Albrecht musiał się wtedy poważnie obawiać wroga wewnętrznego?

W czasie konfliktu z lat 1454–1466 pojawiła się szansa, by inkorporować tzw. Prusy Wschodnie, ponieważ zaistniały tam silne nastroje propolskie. Jednak na początku trzeciej dekady XVI w., gdy doszło do wojny pomiędzy Albrechtem, wciąż jeszcze wielkim mistrzem krzyżackim, a Polską, sytuacja nie wyglądała już tak dobrze dla Zygmunta Starego. Doszło wprawdzie do wystąpienia burmistrza Królewca, który sprzeciwiał się wywołaniu przez Albrechta wojny, co przynosiło głównie straty dla Prus Wschodnich, ale jednak zbyt mała część elit pruskich sympatyzowała z Polską.

W Prusach Wschodnich bardzo silne było mieszczaństwo, które widziało, że w Polsce pojawiły się tendencje do ograniczania pozycji tej grupy społecznej na rzecz szlachty. To wszystko nie pomagało w tworzeniu w państwie Albrechta nastrojów propolskich. I również dlatego Zygmunt Stary przychylał się do pomysłu zawarcia kompromisu z państwem zakonnym, a nie szykowania akcji siłowego przyłączenia tych terenów do Polski.

10 kwietnia 1525 r., dwa dni po zawarciu traktatu krakowskiego, Albrecht Hohenzollern złożył na krakowskim rynku hołd przed Zygmuntem Starym, co zainspirowało Jana Matejkę do namalowania słynnego obrazu. Pan jednak napisał książkę nie o jednym, a o wielu hołdach pruskich.

Hołd z 1525 r. jest najsłynniejszy, ale przecież po 1466 r. wielcy mistrzowie mieli składać hołdy lenne za każdym razem, gdy dochodziło do zmiany władcy. Zazwyczaj – poza jednym przypadkiem – ociągali się w tej kwestii. Także następcy Albrechta składali hołdy polskim władcom. Ostatni hołd złożony został ponad 100 lat po wydarzeniu uwiecznionym przez Matejkę.

Hołdy były tematem kontrowersyjnym. Nie tylko wielcy mistrzowie nie mogli przeboleć po II pokoju toruńskim faktu, że z pozycji władców silnego państwa zostali zredukowani do lenników Polski. I dlatego knuli, by wywikłać się z tego obciążenia.

Jednym z ich argumentów był fakt, że II pokój toruński nie był zatwierdzony przez Rzym...

Brak akceptacji nie zawsze oznacza sprzeciw, ale jednak Polsce faktycznie brakowało sankcji papieskiej dla II pokoju toruńskiego. Krzyżacy twierdzili ponadto, że w II pokoju toruńskim nie było mowy o tym, że stają się lennikami polskiego władcy. Dlatego traktat krakowski bardziej precyzyjnie regulował obowiązek lenny. Jednak w kolejnych dekadach władcy Królewca robili wszystko, by rozwodnić te ustalenia. Pojawiły się nawet pomysły wysyłania delegatów mających złożyć hołd, a także organizowania tej uroczystości w bardziej kameralnych warunkach, bo hołd osobisty uważany był za poniżający.

Czy założenia polskiego króla, przewidujące, że wygaśnięcie linii Albrechta załatwi problem pruski, nie były jednak zbyt optymistyczne? Można odnieść wrażenie, że polski król liczył po prostu na dobrą „pogodę".

Na to wygląda. Najwidoczniej nie wyobrażał sobie, że jego następca, Zygmunt August, dopuści do dziedziczenia tronu Prus Książęcych brandenburską linię Hohenzollernów. W konsekwencji doprowadziło to do unii personalnej Prus z Brandenburgią, co z kolei otworzyło drogę do wzrostu potęgi tego państwa i stworzenia śmiertelnego zagrożenia dla Rzeczypospolitej. Jednak trudno winić za to Zygmunta Starego.

Na obronę Zygmunta Augusta można przywołać fakt, że tą samą drogą poszedł Stefan Batory, który zgodził się utrwalić prawo brandenburskiej linii Hohenzollernów do sukcesji w Prusach Książęcych. Batory zasłynął w dziejach Polski jako doskonały strateg, a jednak również ten król nie dostrzegł w tym śmiertelnego niebezpieczeństwa.

Dokładnie. Batory również uczestniczył w uchylaniu wrót dla przejęcia Prus Książęcych przez Berlin. Najwyraźniej to zagrożenie dla Rzeczypospolitej nie było wtedy dla wszystkich aż tak uderzające, jak mogłoby się to nam dziś wydawać.

Paweł Jasienica mówił w kontekście hołdu pruskiego o „klęsce 1525 roku"...

Cenię Pawła Jasienicę, ale uważam, że zbyt ostro tu ocenił Zygmunta Starego. Dla równowagi można byłoby przywołać prof. Andrzeja Nowaka, który w swoich „Dziejach Polski" podkreślił, że decyzja Zygmunta Starego z 1525 r. „oznaczać miała w rzeczywistości dla Polski co najmniej 130 lat spokoju od strony północno-niemieckich sąsiadów".

Chociaż z drugiej strony już w czasie wojny ze Szwecją o ujście Wisły (1626–1629) wyraźnie było widać, że Prusy Książęce działają przeciw Rzeczypospolitej, dokonując zdrady. Władca Królewca powinien zostać wtedy pozbawiony swego lenna. Polskie siły były już jednak wówczas zbyt rozproszone. Rzeczpospolita stopniowo słabła, a Prusy się wzmacniały. Finał tego procesu wszyscy doskonale znamy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Profesor Stefan Ciara
jest historykiem, emerytowanym wykładowcą Uniwersytetu Warszawskiego, autorem książki „Hołdy pruskie. Zmarnowana szansa Rzeczypospolitej", która właśnie ukazała się w księgarniach.

eprasa.pl 3fb0395e21

Różne punkty widzenia / Wielki błąd czy sukces?

Historycy o hołdzie

Badacze dziejów Polski do dziś ostro spierają się w kwestii oceny hołdu pruskiego. Dla jednych był to niewybaczalny błąd polityczny i przejaw krótkowzroczności ze strony polskiego władcy, dla innych – mądra decyzja, podyktowana realizmem politycznym

MICHAŁ BOBRZYŃSKI, „DZIEJE POLSKI W ZARYSIE":
W niczym jednakże zgubny system Zygmunta tak nie zaszkodził w Polsce, jak w sprawie pruskiej. Pozostawieni w roku 1466 w Prusach Wschodnich Krzyżacy, chociaż zupełnie bezsilni, nie mogli jednak zapomnieć dawniejszej swojej świetności i niemieckiej buty, oglądali się na Niemcy, cesarza i papieża, wzbraniali składać hołdu i nieustanne

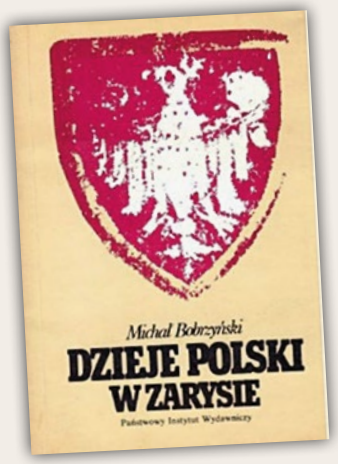

Polsce gotowali kłopoty. Były to jednak ostatnie porywy zapowiadające ich niechybny upadek, a za Zygmunta rozstrój wewnętrzny Zakonu takie już przybrał rozmiary, ludność pruska tak głośno za panowaniem polskim się oświadczała, że Polska tylko gotowy owoc zerwać z drzewa potrzebowała [...].

Byłaby Zygmuntowi przebaczyła historia i utratę Smoleńska, i ustępstwo zrobione Habsburgom, gdyby wiedziała, że owocem tych ustępstw było wcielenie Prus i ostateczne złamanie Zakonu i tej niemieckiej przewagi, której chorągiew Zakon w samym wnętrzu Polski i Litwy podnosił [...].

Zygmunt miłował nade wszystko spokój, pognębionemu Albrechtowi podał rękę do zgody, zwrócił zabrane grody, dozwolił zrzucić habit zakonny, przyjąć protestantyzm i dziedzicznym księciem Prus pod zwierzchnictwem Polski się ogłosić [...]. Tak dla chwilowej korzyści i miłego spokoju podpisano hańbiący traktat, który niejako był przyznaniem, że już Polska żadnej wielkiej sprawy podjąć i przeprowadzić nie zdoła.

ANDRZEJ NOWAK, „DZIEJE POLSKI", T. 4:
„Chwilowa korzyść", jaką przyniósł „haniebny traktat" krakowski z 1525 roku, wedle jego XIX-wiecznych i późniejszych krytyków, oznaczać miała w rzeczywistości dla Polski co najmniej 130 lat spokoju od strony północnoniemieckich sąsiadów, umocniła związek z Prusami Królewskimi i pozwoliła na swobodny rozwój tej formy gospodarki i polityki,

która odpowiadała obywatelom Rzeczypospolitej. Ośmielę się powiedzieć mocniej: traktat krakowski pozwolił na swobodny rozwój tej Rzeczypospolitej jako specyficznego modelu politycznej wspólnoty, opartej nie na wojnie przede wszystkim, nie na podboju, nie na dynastycznych rachubach, ale na radzie, na wspólnych interesach, na próbie osiągania konsensusu [...].

eprasa.pl 3fb0395e21

Wspomniałem przed chwilą o „tylko" 130 latach spokoju po traktacie krakowskim, biorąc pod uwagę już czas „potopu" szwedzkiego i zaangażowania w nim przeciw Polsce ówczesnego księcia w Prusach – elektora brandenburskiego. Tego jednak właśnie autorzy traktatu krakowskiego chcieli uniknąć: z jakiegoś powodu sprzeciwili się przecież dziedziczeniu lenna pruskiego przez linię elektorską. Czy można ich winić za błędy popełnione przez następców?

ROBERT FROST, „OKSFORDZKA HISTORIA UNII POLSKO-LITEWSKIEJ":
Całe pokolenia polskich historyków, prezentując wątpliwą mądrość po fakcie, surowo ganiły Zygmunta Starego za to, że nie zmiażdżył wtedy Albrechta i państwa krzyżackiego, chociaż [Oskar] Halecki i [Adam] Vetulani słusznie przekonywali, iż traktatu krakowskiego nie powinno się oceniać przez pryzmat jego niemożliwych do przewidzenia konsekwencji. Z pewnością byli też w tamtej epoce politycy, tacy jak Dantyszek i biskup warmiński Moritz (Maurycy) Ferber, którzy krytykowali Zygmunta za zbytnią ostrożność, podkreślając, iż nie musiał być aż tak wspaniałomyślny. Bez względu jednak na to, jakie były konsekwencje decyzji króla o zawarciu porozumienia z Albrechtem – a zdawał on sobie sprawę z zagrożeń wiążących się z zainstalowaniem w Prusach księcia z rodu Hohenzollernów – miał niewiele powodów, aby przypuszczać, iż łatwo mu będzie zmiażdżyć przeciwnika […].

Bez względu na to, jakie były dalekosiężne konsekwencje owego „hołdu pruskiego" z 1525 r., bo pod taką nazwą stał

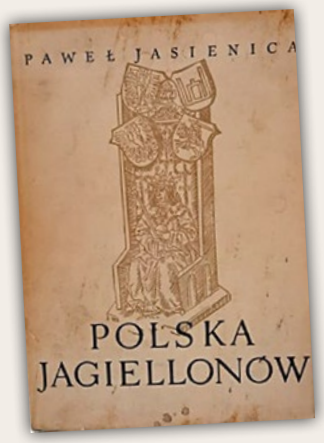

się on znany, oznaczał on całkowite zwycięstwo Polski nad zakonem krzyżackim i zapoczątkował długi okres stabilności politycznej na południowym wybrzeżu Bałtyku, który umożliwił rozkwit Gdańska oraz całych Prus Królewskich.

PAWEŁ JASIENICA, „POLSKA JAGIELLONÓW":
Człowiekiem, który przeważył szalę na korzyść Albrechta, był Krzysztof Szydłowiecki, zdecydowany przeciwnik wojny, wymagającej pospolitego ruszenia. On i magnaci bali się tego, ponieważ było zupełnie pewne, że powołana pod broń szlachta natychmiast wysunie żądania polityczne, zaprotestuje przeciwko łamaniu praw z roku 1504, zabraniających skupiania rozmaitych godności w jednym ręku i szafowania dobrami skarbu.

Stanowy interes magnacki odegrał dużą rolę, ale nie wolno go uważać za czynnik wszystko wyjaśniający. Jan Łaski też był bardzo wielkim panem […]. Nieustannie układał projekty usunięcia Zakonu z Prus i aby to ułatwić, gotów był oddać Albrechtowi własną godność prymasa Polski. Umysł i charakter człowieka! – skreślcie te czynniki, a dzieje narodów staną się niezrozumiałe […].

Jak się wspomniało, brandenburska linia Hohenzollernów została wykluczona od dziedziczenia po Albrechcie. Było do łatwego przewidzenia, że ród zrobi wszystko, co w jego mocy, by nie wypuścić zdobyczy z rąk […]. Zygmunt I dopuścił do tego, że władzę nad Berlinem i Królewcem objęła jedna i ta sama dynastia niemieckich książąt, umiejąca rządzić i zdobywać sympatie poddanych. Taki oto czynnik zastąpił zdegenerowanych, powszechnie pogardzanych Krzyżaków [...].

Nie ma niczego mistycznego w klęsce 1525 roku. Zemściły się wykroczenia przeciwko prawidłom logiki, nawet techniki politycznej, wypróbowanym od niepamiętnych czasów.

WŁADYSŁAW KONOPCZYŃSKI, „DZIEJE POLSKI NOWOŻYTNEJ", T. 1:
Dla Polski ważnem było, że nowy książę pruski stracił oparcie w Rzymie i Rzeszy, a nawet musiał nadal szukać opieki Zygmunta przed gniewem cesarskim. Od dalszej zręcznej polityki oraz od siły cywilizacyjnej obu stron zależało, czy Prusy przylgną na stałe do Polski, czy też, połączone z Brandenburgią, odcinać ją będą od Bałtyku […].

Wszystkie te cnoty i zalety, które król wniósł na Wawel, zwłaszcza w pierwszych latach panowania, ostały się jako fakt, przed krytyką badaczy. Zygmunt naprawdę był takim, jakiego żegnała i opłakiwała

go Polska: mądry, zapobiegliwy, do czasu czujny i energiczny, szczerze pobożny, lojalny, sprawiedliwy, wobec swoich i obcych sumienny. Pozazdrościć nam mogły inne narody takiego ojca i opiekuna; odżałować go było trudno tym, co na obyczaje i zamiary królewskiego jedynaka patrzeli z obawą lub nieufnością.

Dziś potomność przez usta historyków wyraża zazdrość właśnie sąsiadom, że mieli na tronach Karola V, Ferdynanda, Franciszka I, Henryka VIII, Gustawa Wasę – omal im nie zazdrości Solimanów i Wasylów, którzy bądź na zewnątrz, bądź w domu dokonali większych dzieł politycznych niż Zygmunt. Jest w tych sądach trochę mądrości po szkodzie, lecz jeszcze więcej leży na ich spodzie mylnych założeń.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3fb0395e21

XV w. / Ratunek dla zakonu

Ostatnie chwile Ulryka von Jungingena. Fragment obrazu Jana Matejki „Bitwa pod Grunwaldem"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

„Cud" nad Nogatem

Sławomir Koper

Bitwa pod Grunwaldem słusznie uchodzi za jeden z największych triumfów polskiego oręża. Jednocześnie jest to wręcz sztandarowy przykład zmarnowania znakomitej koniunktury politycznej. Dlaczego Jagiełło nie dobił rycerzy w habitach?

Ostatnim akordem bitwy grunwaldzkiej było zdobycie krzyżackiego obozu. Znaleziono w nim bogate zapasy wina przygotowanego na ucztę po spodziewanej wiktorii nad Jagiełłą. Zwycięzcy zaczęli się raczyć winem, ale Jagiełło natychmiast po pojawieniu się na miejscu polecił rozbić beczki, obawiając się utraty kontroli nad podwładnymi, szczególnie zaś samosądów wobec pokonanych. W rękach polskich i litewskich znalazło się bowiem wielu prominentnych członków znakomitych rodów, za których można było otrzymać sowity okup. Zresztą monarcha nie tolerował alkoholu, był zupełnym abstynentem, co wynikało z obawy o własne bezpieczeństwo. W tradycji rusińskiej i litewskiej popularne było bowiem trucicielstwo, a wino dobrze maskowało podejrzane smaki.

Po zwycięstwie grunwaldzkim szybko zaczęły się dziać rzeczy, które trudno zrozumieć. Jagiełło i Witold nagle stracili motywację do dalszego prowadzenia wojny. Zupełnie tak, jakby coś się zacięło w sprawnie działającej dotychczas machinie. Następnego dnia król i wielki książę przez cały dzień wspólnie objeżdżali pole bitwy. Nie wiadomo, o czym rozmawiali, ale najwyraźniej to wówczas zapadły ustalenia, których efekty widać było w kolejnych tygodniach.

„Podczas gdy jedni doradcy królewscy – relacjonował Jan Długosz – na naradzie nalegali, by król polski Władysław z całym swoim wojskiem spędził 3 dni na polu walki jako zwycięzca, inni byli temu przeciwni i jak najusilniej doradzali, by niezwłocznie zmierzać szybko, dniem i nocą, w kierunku Malborka. A gdyby król tę radę odrzucił jako nieużyteczną, to niech jednak dokona wyboru i pośle możliwie najszybciej znaczniejsze wojska celem otoczenia zamku Malborka".

To, co się wówczas wydarzyło, do dzisiaj wzbudza namiętne spory wśród badaczy. Trzydniowy odpoczynek był zdecydowanie zbyt długi jak na niedokończoną jeszcze wojnę. Wprawdzie rozmiar zwycięstwa pod Grunwaldem przeszedł najśmielsze oczekiwania i zdawano sobie sprawę z faktu, że na polu bitwy poległa elita zakonu, ale każdy zdrowo myślący polityk rozumiał, iż dopóki Malbork nie zostanie zdobyty, dopóty trudno będzie mówić o całkowitym triumfie. W polsko-litewskim obozie wiedziano też, że stolica krzyżacka była jedną z najlepiej umocnionych twierdz w ówczesnej Europie i każdy dzień

eprasa.pl 3fb0395e21

działał na korzyść obrońców. Można było opanować panikę, ściągnąć dodatkowe oddziały i powiększyć zapasy żywności.

Gdy wreszcie armia Jagiełły i Witolda wyruszyła w kierunku Malborka, to tempo jej marszu było iście żółwie. Przed bitwą pod Grunwaldem pokonywano 100 km w ciągu trzech dni, a teraz prędkość spadła do 18 km na dobę. Wliczając w to czas postoju na polu bitwy, droga do Malborka zajęła aż 10 dni. Dość powiedzieć, że wcześniej do krzyżackiej stolicy dotarł nawet wóz ze zwłokami Ulryka von Jungingena, które na polecenie króla odnaleziono na polu bitwy, obmyto i przystrojono purpurą. Wszystko wskazywało na to, że Jagiełło i Witold wcale nie byli zainteresowani zdobyciem Malborka i ostatecznym zniszczeniem zakonu krzyżackiego.

Plany von Plauena

W tym czasie w Malborku panowała panika podsycana relacjami uciekinierów spod Grunwaldu. W tej tragicznej dla zakonu sytuacji pojawił się jednak mąż opatrznościowy, dzięki któremu państwo krzyżackie miało przetrwać jeszcze ponad 100 lat. Był nim komtur Świecia Henryk von Plauen, który na swoje szczęście nie zdążył pod Grunwald i na wiadomość o klęsce zawrócił ze swoimi oddziałami do stolicy.

Natychmiast przywrócił dyscyplinę, zaczął ściągać posiłki i żywność. Początkowo załoga twierdzy liczyła zaledwie kilkaset osób, ale gdy pojawiły się wojska polskie i litewskie, w fortecy znajdowało się już 5 tys. ludzi, którzy wcale nie zamierzali się poddać.

Krzyżacki dostojnik nie był jednak dobrej myśli. Pod Grunwaldem zakon stracił armię i zginęli tam niemal wszyscy jego przywódcy. Dlatego chciał za wszelką cenę uniknąć oblężenia, które musiało się zakończyć zdobyciem zamku przez Polaków i Litwinów. Zaproponował więc oddanie Polsce Pomorza w zamian za pokój. Wiedział

Władysław Jagiełło. Malowidło w Kaplicy Świętej Trójcy w Lublinie FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BORNHOLM

też, że kolejne miasta posyłały do króla posłów, uznając jego władzę. W związku z tym von Plauen nie widział możliwości zachowania stanu posiadania zakonu. Chciał ratować, co się da, by państwo krzyżackie przetrwało kryzys.

Rada królewska odrzuciła jednak ofertę krzyżacką, żądając bezwarunkowej kapitulacji. Nie mając wyboru, von Plauen bronił Malborka. Nie miał z tym jednak większych problemów, ponieważ oblężenie prowadzono wyjątkowo nieudolnie, a Jagiełło sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie zależało mu na zdobyciu zamku.

Na pewno nie chciał tego Witold, którego zadowalało złamanie siły ofensywnej zakonu. Po kilku tygodniach leniwie prowadzonego oblężenia postanowił wrócić na Litwę; Jagiełło nie oponował. Witold miał zresztą znakomitą wymówkę, ponieważ właśnie kończył się rozejm z inflancką gałęzią zakonu i wielki książę postanowił zabezpieczyć północną granicę. Wkrótce król nakazał powrót do kraju i rozpuścił armię. Von Plauen twierdził później, że gdyby Jagiełło przedłużył oblężenie o dwa tygodnie, Malbork skapitulowałby z braku żywności.

Pieczęć wielkiego księcia Witolda FOT. WIKIPEDIA

W obozie królewskim musiano zdawać sobie sprawę z faktu, że zakonnikom kończyły się zapasy. Żadne oblężenie nie bywa całkowicie szczelne i zawsze znajdą się dezerterzy, którzy trafiają do obozu wroga. Niewykluczone zresztą, że Jagiełło miał wewnątrz murów swoich ludzi, którzy przesyłali raporty tylko do jego wiadomości. Być może nie wiedziała o tym jednak rada królewska, gdyż pozwoliła zakończyć oblężenie.

Nieprawdziwa jest teoria, jakoby polskie siły były przemęczone wojną i dlatego nie potrafiły zdobyć krzyżackiej stolicy. Trzy tygodnie po zakończeniu oblężenia, 10 października 1410 r., doszło do bitwy pod Koronowem. Naprzeciwko 4 tys. wojsk krzyżackich zwerbowanych w zachodniej Europie stanęły o połowę słabsze siły polskie, a mimo to odniosły zwycięstwo. Do niewoli dostał się naczelny wódz armii krzyżackiej Michael Küchmeister von Sternberg, a Polacy zdobyli liczne łupy. Bitwa wzbudziła prawdziwy zachwyt Jana Długosza, który stwierdził, że wprawdzie „wygrana pod Koronowem była mniejsza niż pod Grunwaldem, ale wszelako ze względu na niebezpieczeństwo, wytrwałość i zapał walczących można ją wyżej kłaść nad grunwaldzką".

Naszego kronikarza można łatwo zrozumieć, gdyż wstydził się nieco grunwaldzkiej wiktorii, którą według niego odniesiono w nie do końca rycerskich okolicznościach (Jagiełło dowodził bitwą z odległego wzgórza, w przeciwieństwie do wielkiego mistrza, który osobiście walczył, a dodatkowo Litwini przeprowadzili w pierwszej fazie bitwy pozorowaną ucieczkę). Natomiast pod Koronowem wszystko odbyło się zgodnie z wymogami epoki; przed starciem doszło do wielu rycerskich pojedynków, a samą bitwę dwukrotnie przerywano, aby walczący mogli pokrzepić się winem.

Losy unii

Jagiełło był wytrawnym politykiem, mógł nosić polską koronę, ale dbał o interesy Litwy. W przypadku zniszczenia zakonu Polska uzyskałaby przewagę nad Wielkim Księstwem Litewskim i łatwo by je zdominowała. Jedną z przyczyn zawiązania unii było zagrożenie ze

eprasa.pl 3fb0395e21

strony rycerzy w habitach, a – jak wiadomo – nic tak nie cementuje sojuszy, jak posiadanie wspólnego wroga.

Zagrożenie polską dominacją nie było wymysłem Jagiełły. Wystarczy przypomnieć sobie ustalenia unii w Krewie z 1385 r., gdzie była mowa o inkorporacji wielkiego księstwa do Korony. Wprawdzie później temat zniknął, ale po zniszczeniu zakonu zapewne znów by go podniesiono, czego nie chciał ani Jagiełło, ani Witold. Obaj pragnęli utrzymania unii, ale na partnerskich zasadach. Doskonale wiedzieli, że Korona dysponowała znacznie większą siłą militarną niż ich księstwo i bez jej pomocy Litwa nie tylko nigdy nie pokonałaby Krzyżaków, lecz także nie poradziłaby sobie z narastającym zagrożeniem moskiewskim, jednak byli zajadłymi przeciwnikami inkorporacji.

Witold osiągnął zakładany cel wojny. Obaj z Jagiełłą wiedzieli, że osłabiony zakon będzie musiał się zgodzić na oddanie Litwie zagarniętej Żmudzi, gdyż nie będzie jej w stanie utrzymać i skolonizować. Zatem z litewskiego punktu widzenia wszystko się zgadzało.

Nie bez powodu u schyłku życia Witold za zgodą Jagiełły myślał o koronacji. Bez wątpienia podniosłoby to jego prestiż, a przy okazji znaczenie dynastii. Podkreślałoby też niezależność Litwy od Polski, a dla Jagiełły byłoby kolejnym elementem nacisku na polską szlachtę, która ociągała się z uznaniem sukcesji jego synów. Witold nie miał synów, więc w przypadku powołania na Wawel innego kandydata potomkowie Jagiełły odziedziczyliby litewską koronę, co oznaczałoby zerwanie unii.

Symptomatyczne, że Wielkie Księstwo Litewskie od czasu bitwy pod Grunwaldem udzielało się coraz mniej na froncie krzyżackim. Wprawdzie wspólnie z Polakami Litwini pokonali jeszcze inflancką gałąź zakonu pod Wiłkomierzem (1435 r.), ale już wojna trzynastoletnia była starciem Korony z zakonem, a Litwa właściwie zachowywała neutralność. Nie przeszkadzał w tym fakt, że wielkim księciem był wówczas król polski, Kazimierz Jagiellończyk.

Diebold Schilling Starszy: scena z bitwy pod Grunwaldem

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Luksemburczyk na horyzoncie

Niewiele się wspomina o kolejnym ważnym elemencie tej politycznej układanki. Przed bitwą pod Grunwaldem wojnę Polsce wypowiedział król Węgier i sojusznik Krzyżaków Zygmunt Luksemburski. Wprawdzie był on pochłonięty zabieganiem o niemiecką koronę, ale dysponował realną siłą. Drugi front na południu nie był Jagielle do niczego potrzebny, a wojna z Luksemburczykiem mogła mieć nieprzewidywalny wynik. Co gorsza, król Węgier był prawnukiem Kazimierza Wielkiego, a w żyłach Jagiełły nie płynęła nawet kropla piastowskiej krwi. Nie miał też jeszcze wówczas męskiego potomstwa i sytuacja mogła stać się groźna. Tron polski w praktyce był elekcyjny i niewykluczone, że po swoim ewentualnym zwycięstwie król Węgier mógłby zgłosić pretensje do polskiej korony.

Henryk von Plauen

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Zygmunt na pewno nie pozwoliłby na całkowite zniszczenie zakonu, gdyż taki krok zmieniałby realia geopolityczne w Europie Środkowej. Natomiast osłabienie państwa krzyżackiego mógł zaakceptować, zresztą nie miał tu specjalnego wyboru. Krzyżacy ponieśli bowiem straszliwą klęskę pod Grunwaldem i nic już tego nie mogło cofnąć.

Jednak osłabienie państwa zakonnego a jego likwidacja to zupełnie różne sprawy. Tym bardziej, że samemu Luksemburczykowi zdarzało się walczyć z niewiernymi, a zakon wciąż cieszył się znaczną estymą w Europie jako główna siła nawracająca bałtyckich pogan. To, że Litwa oficjalnie przyjęła chrzest kilkanaście lat wcześniej, nie miało większego znaczenia, gdyż nikt nie wierzył w nagłe nawrócenie się mieszkańców wielkiego księstwa. Całkiem zresztą słusznie, gdyż relikty tradycyjnych wierzeń miały tam pozostać jeszcze przez stulecia, czego dowiódł Adam Mickiewicz. Wystarczy przypomnieć obrzęd dziadów oraz fakt, że jeszcze jako nauczyciel w Kownie nasz wieszcz z zapałem hodował węże uważane nad Bałtykiem za święte zwierzęta.

Opinia europejska

Krzyżacy słynęli z doskonale rozwiniętej dyplomacji i po swojej klęsce

eprasa.pl 3fb0395e21

Zamek w Malborku, 1834 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

nasilili działania propagandowe. Wysłannicy zakonu na sobór w Konstancji starali się przedstawić polskiego króla w jak najgorszym świetle. Krzyżacy promowali też własną wersję wojny, według której nieliczne chorągwie „pobożnych braci" zostały pokonane przez półmilionową armię pogańską dowodzoną przez fałszywych chrześcijan: Witolda i Jagiełłę. Tłumaczono jednak, że pomimo tej porażki państwo zakonne znajduje się w dobrej kondycji. Dowodem miał być pokój toruński zawarty w lutym 1411 r. – nie przyniósł on Krzyżakom praktycznie żadnych strat terytorialnych na rzecz Korony.

W tamtych czasach informacje rozchodziły się stosunkowo wolno, a znajomość pisma była dość ograniczona. Istniała jednak „szeptana propaganda", a plotki z dworów chętnie powtarzano w szerszym kręgu odbiorców. Można było mieć pewność, że pismo odczytane księciu czy biskupowi prędzej czy później trafi do wiadomości rycerstwa czy mieszczaństwa. Na to liczył zakon, kierując swoich dyplomatów na dwory europejskie.

W oczernianiu polskiego władcy szczególnie odznaczył się dominikanin Jan Falkenberg. Na zlecenie Krzyżaków napisał utwór pt. „Satyra na herezje i inne niegodziwości Polaków i ich króla, Jagiełły". Był to wyjątkowo brutalny paszkwil polityczny, w którym głoszono, że Polacy oddają cześć nie Chrystusowi, lecz swojemu bożkowi – Jagielle. Z tego powodu są obrzydliwymi heretykami, którzy sprzymierzyli się z pogańskimi Litwinami, aby zniszczyć pobożny Zakon Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie. Autor dowodził, że skoro pogan można bezkarnie zabijać, to ich sprzymierzeńcy zasługują na taki sam los. Dlatego każdy, kto będzie mordował Polaków, zostanie zbawiony, a jeżeli nie udałoby się pozabijać wszystkich poddanych Jagiełły, to tych, którzy przeżyli, należałoby zamienić w niewolników, by służyli prawdziwym chrześcijanom. W pamflecie nie zabrakło również stwierdzenia, że ten, kto mógłby podjąć walkę z Jagiełłą, a tego nie czyni, popełnia grzech śmiertelny.

Jagiełło mógł być barbarzyńcą z litewskich borów, ale doceniał znaczenie dyplomacji. Poza tym szybko się uczył i w czasie wojny z zakonem był już politykiem europejskiego formatu. Doskonale zdawał sobie sprawę z faktu, że całkowite zniszczenie Krzyżaków odbije się echem w całej Europie i opinia publiczna będzie uważała to za triumf pogaństwa nad chrześcijanami. Na pewno oburzyłoby to papiestwo, dla którego państwo zakonne pozostawało ważną siłą zbrojną powołaną do nawracania pogan. A na złe stosunki ze stolicą apostolską król neofita nie mógł sobie pozwolić.

Pomorze i Żmudź

Otwarte pozostaje jednak pytanie, dlaczego rada królewska nie chciała zawrzeć pokoju z Krzyżakami pod Malborkiem i odrzuciła ofertę Henryka von Plauena, który proponował oddanie Pomorza Gdańskiego. Przecież utrata tej dzielnicy była stratą, której nie mógł przeboleć ani Władysław Łokietek, ani Kazimierz Wielki. Wydaje się jednak, że decyzją rady na zimno kierował Jagiełło, który nie chciał zbyt mocno osłabiać zakonu. Państwo rycerzy w habitach pozbawione dochodów z pomorskich miast, a szczególnie z Gdańska, straciłoby ekonomiczne podstawy bytu. Założenie to znalazło zresztą potwierdzenie pół wieku później. Gdy na mocy drugiego pokoju toruńskiego zawartego po wojnie trzynastoletniej państwo zakonne straciło Pomorze, jego gospodarka zanotowała olbrzymie tąpnięcie. Zresztą już w czasie wojny z Krzyżakami z latach 1409–1411 secesja miast pomorskich spowodowała, że Krzyżacy zbankrutowali, nie mając środków na prowadzenie wojny. Osłabienie i plajta finansowa Krzyżaków nie leżały jednak w planach Jagiełły i Witolda i dlatego mieszczanie pomorscy musieli jeszcze poczekać na wyzwolenie spod władzy Krzyżaków.

Niewykluczone też, że król Polski nie doceniał znaczenia Pomorza dla Korony. Litwa miała niewielki dostęp do Bałtyku (na odcinku zaledwie 15 km) i była państwem typowo lądowym. Jagiełło doskonale orientował się w niuansach polityki europejskiej, ale jego horyzonty umysłowe nie sięgały Bałtyku. Dla polskiego króla znaczenie miały dochody z handlu prowadzonego drogą lądową utartymi szlakami kupieckimi. Zresztą – mógł myśleć Jagiełło – Polska straciła dostęp do morza ponad 100 lat wcześniej, a i tak dobrze prosperowała pod względem ekonomicznym. Do czego zatem było jej potrzebne Pomorze?

Pokój toruński kończący wojnę z lat 1409–1411 był zwycięstwem Litwy, która odzyskała Żmudź. W granice Korony powróciła ziemia dobrzyńska, a ziemię zawkrzeńską ponownie przyłączono do posiadłości lennika króla Polski, księcia Siemowita IV mazowieckiego. Zwolniono też z obowiązku wierności poddanych zakonu, którzy podczas wojny złożyli przysięgę królowi polskiemu. Nie uchroniło to ich jednak przed represjami.

Mieli się o tym osobiście przekonać dostojnicy z Gdańska, burmistrzowie Letzkau i Hecht oraz rajca Gross. Zaproszeni na gdański zamek w Niedzielę Palmową 1411 r. zostali uwięzieni, poddani torturom, a wreszcie ścięci. Ich ciała wrzucono do zamkowej fosy i dopiero po kilku dniach wyłowiono je i wydano rodzinom. Płyta nagrobna ofiar krzyżackiej zemsty znajduje się do dnia dzisiejszego w gdańskiej Bazylice Mariackiej.

Gdańszczanie zapamiętali zbrodnie popełnione na swoich urzędnikach i dlatego po opanowaniu zamku w trakcie wojny trzynastoletniej rozebrali go. Pozostałością po zamku, która przetrwała do dziś, jest fragment ceglanego muru nad Motławą. Natomiast po wiekach możemy uznać urzędników grodu nad Motławą za dodatkowe ofiary bitwy pod Grunwaldem i polityki polskiego króla.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3fb0395e21

Propagandowy obraz Arthura Kampfa, „Fryderyk Wielki jako chorąży na polu bitwy". Stary „Fryc" ma twarz rozświetloną przeczuciem dziejowej misji Prus

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MILITARYPAINTINGS.BLOGSPOT.COM

XVIII w. / Cud domu brandenburskiego

Ratunek starego „Fryca"

Piotr Semka

Zaskakujące ocalenie Królestwa Prus w trakcie wojny siedmioletniej zdumiało współczesnych i utwierdziło Prusaków w przekonaniu, że nad ich państwem czuwa Opatrzność

W wiekach XIX i XX dzieciom od Akwizgranu po Kłajpedę wbijano do głowy tę opowieść jako dowód na plan Boży wobec „Regnum Borussiae". Legenda o uratowaniu państwa Fryderyka Wielkiego elektryzowała też przywódców III Rzeszy tuż przed ostatecznym upadkiem ich zbrodniczego imperium. W Polsce natomiast tzw. cud domu brandenburskiego zawsze wspominany był z niechętną zazdrością. Nic dziwnego. Uratowanie Królestwa Prus oznaczało jednocześnie podpisanie przez historię ostatecznego wyroku na Rzeczpospolitą – pruska bestia po cudownym ocaleniu ostatecznie wyzbyła się wszelkich skrupułów.

Historycy, którzy lubią prowokować swoich czytelników, nazywają wojnę siedmioletnią (1756–1763) „pierwszą wojną światową". Ma to o tyle sens, że w walkach brały udział mocarstwa kolonialne – Francja i Wielka Brytania – przez co zmagania toczyły się nie tylko na terenie Europy, lecz także na szerokich połaciach Ameryki Południowej, a potyczki rywalizujących mocarstw miały też miejsce w tak egzotycznych zakątkach Azji jak Indie czy Filipiny.

Jednak w opowieści o tym, co poprzedzało cud domu brandenburskiego, należy się skupić na rywalizacji w trójkącie Prusy-Austria-Rosja. Na terenie środkowej Europy inicjatorem wojny siedmioletniej był cieszący się zasłużenie w naszej tradycji złą sławą król Prus Fryderyk II, zwany przez Niemców Wielkim. To właśnie on w 1740 r. uznał, że Prusy muszą pod jego wodzą awansować z pozycji pań-

eprasa.pl 3fb0395e21

stwa drugoligowego do rangi czołowego rozgrywającego na naszym kontynencie.

Prusy miały już za sobą dwa wcześniejsze etapy emancypacji: najpierw poprzez faktyczne zrzucenie z siebie zależności lennej od Rzeczypospolitej, gdy nasz kraj walczył o przetrwanie w trakcie potopu szwedzkiego, a potem poprzez ustanowienie w 1701 r. Królestwa Prus. Dekadę później Fryderyk II zerwał z ostrożną polityką swego ojca, króla Fryderyka Wilhelma I.

Pruski monarcha ma wtedy 29 lat i jest żądnym sławy politycznym drapieżnikiem. W pierwszej kolejności na kierunek swojej ekspansji wybiera austriacki Śląsk, który nie tylko jest bogatą dzielnicą podporządkowaną Habsburgom, lecz także stanowi drugie ramię militarnych „kleszczy", którymi chciał w przyszłości zmiażdżyć Rzeczpospolitą.

Trzy wojny

„Fryc" zaskakująco szybko zajął Śląsk, po czym przyjął we wrocławskim ratuszu hołd zastraszonych szlacheckich stanów śląskich. Ale rządząca w Wiedniu Maria Teresa nie zamierzała ławo oddać jednej ze swoich najbogatszych prowincji. Monarchini nie tylko walczyła o stan posiadania swojego cesarstwa, lecz także jako gorliwa katoliczka z genialną przenikliwością wyczuła we Fryderyku ideologiczne zło, które było zapowiedzią ducha agresji cesarstwa wilhelmińskiego, a następnie objawiło się w wyjątkowo złowieszczej formie – III Rzeszy. „Fryc" był dla niej symbolem nowej pogańskiej Europy, gdzie agresja i siła górować miały nad prawem i tradycją.

Pruski batalion lejbgwardii w bitwie pod Kolinem. Obraz Richarda Knötela

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Dlatego, mimo porażek, przez ponad 20 lat prowadziła z Prusami wojnę na śmierć i życie.

Historycy mówią więc o trzech wojnach śląskich – pierwszej (1740–1742), drugiej (1744–1745) i wreszcie trzeciej (1756–1763), która była elementem wojny siedmioletniej. I właśnie w tej trzeciej rozgrywce o Śląsk ważnym i nowym elementem staje się Rosja. To państwo, bardzo wzmocnione za rządów Piotra I, za swój cel uważało wówczas ekspansję terytorialną w kierunku zachodu. Idée fixe cara było wtedy przebijanie się do Bałtyku. Rosja zdominowała już Estonię i północną część Łowy, ale marzyła o pozyskiwaniu kolejnych portów nad Bałtykiem.

W Petersburgu jeszcze nie myślało się o całkowitym rozbiorze Rzeczypospolitej, ale już powstawały plany odebrania Polsce Kurlandii i Semigalii oraz dobicia politycznego handlu w celu zebrania „odwiecznie ruskich" wschodnich części Wielkiego Księstwa Litewskiego. Już wtedy ideologia „ruskiego miru", napędzana przez szowinistyczny kler prawosławny, wpływała na strategów kształtujących rosyjską myśl imperialną. Dlatego caryca Elżbieta Romanowa, córka Piotra Wielkiego, która rządziła Rosją od 1741 r., podjęła próbę włączenia się do wojny po stronie Austrii i odebrania Fryderykowi Prus Wschodnich, które potem mogły stać się kartą przetargową wobec Polski w grze o uzyskanie części wschodnich terytoriów Rzeczpospolitej.

Ten zwrot w polityce Rosji wspierali dyplomaci austriaccy i francuscy, którzy po latach wrogości nagle stworzyli udany sojusz między Wiedniem i Paryżem. I wtedy doszło do zdumiewającej zmiany sojuszy. Wcześniej rysował się blok Austria-Wielka Brytania-Rosja, ale nagle wszystko odwróciło się jak w kalejdoskopie. U progu 1756 r. wyłoniły się dwie nowe, wrogie sobie konstelacje. Po jednej stronie Wielka Brytania, Prusy i część mniejszych państw niemieckich, po drugiej – wielka trójka: Francja, Austria i Rosja wspomagane przez Szwecję i część państw niemieckich stawiających na Wiedeń, np. Saksonia. Prusy teoretycznie były w tej układance znacznie słabsze, ale miały jeden atut – despotycznego władcę, który był doskonałym strategiem. Fryderyk hołdował zasadzie, że Bóg jest po stronie silniejszych batalionów. A pruski arogant, choć w Boga nie wierzył, był przekonany, że silniejsze bataliony miał właśnie on.

Do trzech razy sztuka

Widząc na horyzoncie nową, wrogą mu koalicję, „Fryc" postanowił uderzyć pierwszy. W sierpniu 1756 r. prewencyjnie zaatakował Królestwo Saksonii. Jednak główne działania zaczęły się w 1757 r.; wtedy pewny siebie król pruski otrzymał pierwszy „cios w nos". Austriacy błyskotliwie zwyciężyli jego grenadierów w bitwie pod czeskim Kolinem (18 czerwca 1757 r.). Klęska wysadziła w powietrze strategiczną układankę władcy z Berlina, który chciał najpierw pokonać Austrię, a potem skupić się na walce z Francją i Rosją. Porażka pod Kolinem nie tylko przekreśliła te rachuby, lecz także jeszcze w tym samym miesiącu na Prusy Wschodnie runęła rosyjska armia pod dowództwem gen. Williama Fermora, syna Szkota i bałtyckiej Niemki, który zrobił karierę w armii rosyjskiej. Notabene jego armia zgrupowała się wokół Kowna, co było w tamtych latach normalną praktyką Rosji (armie carycy Elżbiety przekraczały ziemie Rzeczypospolitej, zupełnie nie przejmując się reakcją Warszawy).

Fermor rozpoczął „obgryzanie" Prus Wschodnich od zdobycia pruskiej Kłajpedy. 22 sierpnia 1757 r. cesarzowa Elżbieta ogłosiła manifest, w którym stwierdziła, że występuje w obronie napadniętych przez Prusy Saksonii i Austrii. Oczywiście wszędzie tam, gdzie zwyciężała, zajmowała terytoria w imieniu własnego imperium. 30 sierpnia 1757 r. Rosjanie osiągnęli błyskotliwe zwycięstwo nad Prusakami w krwawej bitwie pod Gross-Jägersdorf, niedaleko Królewca (dziś jest to rosyjska wieś Motornoje w obwodzie królewieckim). Mimo to wojska Fermora były na tyle osłabione, że wycofały się na teren Polski (zatrzymały jednak w swych rękach zdobytą Kłajpedę). Kolejny atak na

eprasa.pl 3fb0395e21

Maria Teresa

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ASP W WIEDNIU

Prusy miał miejsce w styczniu 1758 r. Rosyjscy żołnierze najpierw zdobyli Tylżę, a 21 stycznia wkroczyli do Królewca – stolicy Prus. Do lutego całe Prusy Wschodnie znalazły się w rękach żołnierzy cesarzowej Elżbiety, której urzędnicy ogłosili, że oto powstała kolejna prowincja imperium o nazwie „Nowa Rosja".

To, co zdarzyło się w ciągu kolejnych miesięcy i lat, wygląda dziś z perspektywy czasu jak próba generalna przed utworzeniem Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Niemal wszyscy wschodni Prusacy bez szemrania uznali swoje poddaństwo wobec Rosji. Pruskie stany szlacheckie złożyły na zamku królewieckim przysięgę wierności carycy i to samo uczynili profesorowie „Albertyny" – królewieckiego uniwersytetu. Gubernatorem nowej prowincji został sam gen. William Fermor, który kazał bić nowe monety z podobizną carycy z odległego Petersburga. Rosyjscy oficerowie zaczęli uczęszczać na wykłady na Uniwersytecie Królewieckim, a armii zakazano grabić ludność cywilną.

Zaskoczony tą aktywnością Rosji Wiedeń został poinformowany, że udział w wojnie daje Rosji prawo do aneksji terytorialnych. Rosjanie poszli za ciosem. Ich oddziały przesunęły się w okolice Odry i 12 sierpnia 1759 r. znów błyskotliwie zwyciężyli pod Kunowicami (Kunersdorf). Ten triumf wojskowy oznaczał, że Rosjanie mogli sięgnąć po Berlin. A jednak nie zrobili tego.

Fryderyk nie mógł uwierzyć swojemu szczęściu, bo wiedział, że między Odrą a metropolią pruską nie było żadnych sił, które byłyby w stanie zatrzymać armię imperatorowej. W liście do brata Henryka Pruskiego pisał z emfazą: „Ogłaszam cud domu brandenburskiego. W czasie, gdy wróg po przekroczeniu Odry mógł zdecydować się na kolejną bitwę i zakończyć wojnę – wycofał się w kierunku na Müllrose i Lieberose [dwie miejscowości w Brandenburgii nadodrzańskiej – przyp. red.]". A jak było w rzeczywistości? Mimo wygranej bitwy pod Kunowicami Rosjanie ponieśli tak duże straty, że ich dowódca, nie będąc pewny, jak poważne siły bronią Berlina, nie zdecydował się na atak na miasto.

W końcu jednak Rosjanie zebrali siły i w październiku 1760 r. opanowali – na kilka dni – Berlin. Mieszkańcy miasta nad Szprewą po raz pierwszy poczuli wtedy twardą rękę Rosjan. Na Berlin nałożono kontrybucję w wysokości 4 mln talarów; po otrzymaniu pieniędzy Rosjanie się wycofali. Jednak sytuacja Prus pozostawała bardzo zła. Fryderyk II poważnie zaczął brać pod uwagę klęskę, a jego szpiedzy donosili, że w Wiedniu i w Petersburgu mówi się nawet o rozbiorze Prus po zwycięskim zakończeniu wojny. Wtedy jednak zdarzyło się coś, czego nikt nie przewidywał.

Wszystko się zmienia

Tajemnicą dworu petersburskiego był fakt, że caryca Elżbieta od wielu lat trapiona była licznymi chorobami. W tej sytuacji uwaga rosyjskiej elity władzy skupiała się na następcy tronu – Piotrze III Fiodorowiczu. Właściwie wszystko w nim było niemieckie. Następca tronu urodził się w 1728 r. w Kilonii i całą młodość spędził w niemieckim Holsztynie w otoczeniu tamtejszych oficerów. Ożeniony z przyszłą carycą Katarzyną po cichu fascynował się Fryderykiem II.

5 stycznia 1762 r. caryca Elżbieta przeniosła się na łono Abrahama, dzięki czemu na tron wstąpił Piotr III, od dawna już przeciwny wojnie z Fryderykiem. Nowy imperator natychmiast podjął decyzję o wycofaniu swoich wojsk z Prus. Co więcej, nakazał części swych oddziałów, by zgłosiły się do Fryderyka i od tej chwili wykonywały jego rozkazy.

Rejterada Rosji z obozu koalicji antypruskiej miała natychmiastowe efekty. Szwecja mająca i bez tego mały zapał do wojowania natychmiast wycofała się z konfliktu. Fryderyk odzyskał inicjatywę strategiczną i szybko podjął nową ofensywę, atakując Śląsk i Saksonię. Zaszokowani nagłą zmianą Austriacy w popłochu zaczęli się wycofywać.

5 maja 1762 r. w Petersburgu Prusy zawarły formalny traktat z Rosją o zwrocie wszystkich ziem pruskich i likwidacji prowincji Nowa Rosja. Nowemu władcy Rosji te gwałtowne zmiany nie wyszły na dobre. Nocą z 9 na 10 lipca 1762 r. car Piotr III został obalony w wyniku zamachu stanu uknutego przez jego żonę Katarzynę. Spiskowcy wymusili na nim abdykację, wywieźli byłego cara do Ropszy, rezydencji pod Petersburgiem, gdzie zamordowali go oficerowie gwardii. Jako oficjalny powód śmierci podano „atak kolki hemoroidalnej", co według kronikarzy miało być próbką czarnego humoru Katarzyny. Miłośnik Fryderyka Wielkiego panował zaledwie 186 dni.

Do władzy doszła Katarzyna II, która

Alexander von Kotzebue, „Bitwa pod Kunersdorfem (Kunowice)"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ERMITAŻ

eprasa.pl 3fb0395e21

Alegoria I rozbioru Rzeczypospolitej

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

wprawdzie nie zmieniła decyzji o zakończeniu wojny z Fryderykiem, ale jednak nie chciała, aby jej wojska walczyły po stronie króla Prus. Austria zrozumiała, że niczego już nie osiągnie w tej wojnie, w każdym razie na pewno nie odzyska Śląska. Dyplomacja wiedeńska zaczęła się szykować do negocjacji. W rezultacie 15 lutego 1763 r. podpisano traktat pokojowy w Hubertusburgu, który kończył trzecią wojnę śląską. Umowa zatwierdzała ostatecznie pruskie panowanie nad Śląskiem, a wszystkie strony – w tym Saksonia – zobowiązały się do zaakceptowania aktualnych granic i nierozpoczynania nowych działań wojennych.

Równolegle w Paryżu zawarty został traktat pokojowy między Wielką Brytanią, Francją i Hiszpanią. Wojna siedmioletnia zakończyła się na wszystkich frontach. Historycy polscy są zgodni, że cud domu brandenburskiego rozpoczął sekwencję wydarzeń prowadzących do likwidacji Rzeczypospolitej. Tak samo jak Piotr III we Fryderyka II zapatrzony był syn Marii Teresy – Józef II, który właśnie w tym czasie zaczął współrządzić monarchią habsburską.

W sierpniu 1769 r. Józef spotkał się potajemnie ze starym „Frycem" i wysłuchał jego propozycji rozebrania Polski. Józef przekonał następnie matkę, aby Austria bezceremonialnie zajęła dobra spiskie, które należały do Rzeczypospolitej, a dwa lata później, 5 sierpnia 1772 r., w Petersburgu podpisany został pierwszy traktat rozbiorowy Polski. Sygnatariuszami byli Rosja, Prusy i Austria.

„Fryc" i Hitler

Czy rozbiór Prus w wyniku aliansu Wiednia i Petersburga w latach 60. XVIII w. zatrzymałby proces wiodący do rozbiorów? Na pewno stworzyłby nowe konstelacje polityczne, ale nie ulegajmy zbyt optymistycznym wizjom. Odpadłby jeden śmiertelny wróg Polski, natomiast w grze wciąż byłaby druga przeciwniczka Rzeczypospolitej – caryca Katarzyna II.

Na koniec ciekawostka z bliższych nam czasów: motyw cudu domu brandenburskiego pojawił się w historii Niemiec jeszcze raz, tym razem w formie burleski. Gdy 12 kwietnia 1945 r. do przygotowującego się do obrony przed Sowietami Berlina dotarła informacja o śmierci prezydenta USA Franklina Delano Roosevelta, Joseph Goebbels entuzjazmował się nadzieją na powtórkę z cudu, który może uratować III Rzeszę. Jak opisał to w swych pamiętnikach minister finansów Rzeszy Johann Ludwig Graf Schwerin von Krosigk, Goebbels miał zarazić samego Hitlera surrealistyczną wiarą w zerwanie sojuszu USA i Rosji sowieckiej.

Ten dziwaczny incydent pokazuje, jak głęboko mitologia pruska wryła się w myślenie wodzów III Rzeszy. Trzy tygodnie później Berlin skapitulował przed Sowietami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl 3fb0395e21

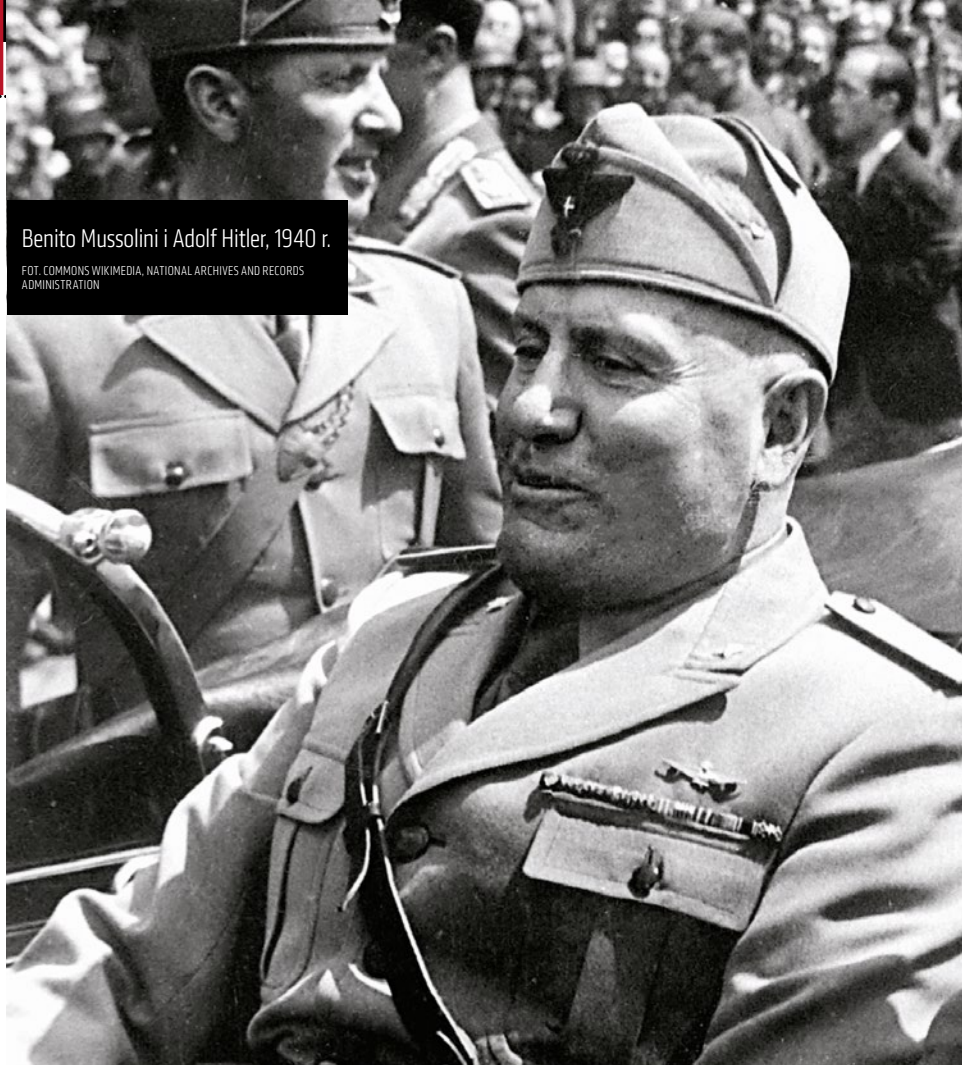

Benito Mussolini i Adolf Hitler, 1940 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NATIONAL ARCHIVES AND RECORDS ADMINISTRATION

Wywiad / Z Krzysztofem Drozdowskim, historykiem, autorem książki „Tajemnice sojuszników Hitlera"

rozmawia Piotr Włoczyk

Sieć Hitlera

PIOTR WŁOCZYK: Na ile poważnie Stalin brał pod uwagę wspólne uderzenie III Rzeszy i Japonii na Związek Sowiecki?

KRZYSZTOF DROZDOWSKI: Stalin musiał traktować taki scenariusz bardzo poważnie, ponieważ dla niego wojna na dwa fronty – Niemcy uderzające od zachodu i Japonia nacierająca od strony Mandżurii – oznaczałaby konieczność rozproszenia sił na olbrzymim obszarze. To byłoby potężne obciążenie, nawet dla państwa o tak wielkich zasobach ludzkich i terytorialnych.

W książce zwracam uwagę na to, że Hitler bardzo liczył na japońskie zaangażowanie przeciwko ZSRS. Gdyby tak się stało, Stalin nie mógłby tak swobodnie przerzucić dobrze wyposażonych i wypoczętych dywizji syberyjskich pod Moskwę. A przecież właśnie informacja o tym, że Japonia nie zamierza uderzyć na Sowietów, przekazana m.in. przez siatkę Richarda Sorgego, pozwoliła Stalinowi wykorzystać te siły w krytycznym momencie obrony stolicy.

Czy wzięcie Stalina w niemiecko-japońskie kleszcze musiałoby się skończyć dla niego klęską?

Tu trzeba być ostrożnym. Nie powiedziałbym, że byłoby to nieuchronne. Związek Sowiecki był państwem ogromnym, ale jednak upadek Moskwy, utrata węzłów komunikacyjnych, paraliż administracji i konieczność utrzymywania frontu dalekowschodniego mogłyby zmienić przebieg wojny.

Dlaczego w 1941 r. nie doszło do skoordynowanego ataku Niemiec i Japonii na ZSRS?

Przede wszystkim dlatego, że Japonia miała własne cele. Sojusz z Niemcami nie oznaczał, że Tokio podporządkuje swoją strategię Berlinowi. Pakt Trzech tworzył blok polityczny, miał znaczenie propagandowe i odstraszające, ale nie był mechanizmem pełnej koordynacji wojskowej. Niemcy i Japonia były zbyt daleko od siebie, miały inne teatry działań, inne interesy i inne wyobrażenia o tym, gdzie można uzyskać największe korzyści.

Poza tym nie zapominajmy, że w 1939 r. nad Chałchyn-Goł Japończycy przekonali się, iż Armia Czerwona nie jest przeciwnikiem łatwym. Porażka ta spowodowała zmianę japońskiej strategii. Tokio zaczęło patrzeć nie na Syberię, lecz na południe – ku Chinom, Indochinom i Pacyfikowi, czego efektem było podpisanie ze Stalinem w kwietniu 1941 r. paktu o nieagresji. I tak doszło do paradoksu: Berlin uderzył na ZSRS, licząc na efekt domina, a Japonia wybrała drogę, która prowadziła nie na Syberię, lecz do Pearl Harbor.

Co tak właściwie ten sojusz dawał Berlinowi i Tokio, skoro oba państwa dzieliła tak wielka odległość?

Sojusz dawał więcej w wymiarze politycznym niż w sensie operacyjnym. Niemcy i Japonia nie mogły wspólnie prowadzić jednej kampanii. Działa-

eprasa.pl 3fb0395e21

Adolf Hitler i japoński ambasador Hiroshi Ōshima, 1944 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA

nia Japonii miały angażować Wielką Brytanię i Stany Zjednoczone na Pacyfiku, zmusić przeciwników Niemiec do rozproszenia sił i pokazać, że Rzesza nie jest samotnym agresorem. Tokio natomiast liczyło, że związek z Niemcami i Włochami wzmocni jego pozycję wobec Stanów Zjednoczonych. Było to jednak zbyt optymistyczne założenie. Można powiedzieć, że był to sojusz wzajemnych złudzeń. W praktyce każde z tych państw prowadziło własną wojnę.

W książce opisuje pan, jak 20 kwietnia 1945 r., w dniu urodzin Hitlera, japońscy dyplomaci chcieli przekonać Niemców do wysłania im okrętów podwodnych. Czyżby również Japończycy pod koniec wojny utracili kontakt z rzeczywistością?

To rzeczywiście było nierealistyczne, ale właśnie dlatego ta sprawa jest tak ciekawa. Ten epizod dobrze pokazuje pełną desperacji końcową fazę sojuszu niemiecko-japońskiego. Japonia wciąż próbowała uzyskać od Niemiec technologię, sprzęt i pomoc wojskową. Problem polegał na tym, że w realiach 1945 r. było to niemal fantastyczne życzenie. Niemcy walczyły już tylko o przetrwanie. U-Booty były potrzebne samej Rzeszy, Kriegsmarine cierpiała na brak paliwa, porty były bombardowane, a rejs do Japonii był wyprawą przez akweny kontrolowane przez aliantów. W książce przywołuję reakcję Niemców, którzy byli poirytowani japońskim pomysłem i jedynie wielki admirał Karl Dönitz udzielił formalnej odpowiedzi odmownej.

W Europie głównym sojusznikiem Niemiec były Włochy. Jak Hitler patrzył na Mussoliniego, „ojca" faszyzmu?

Na początku Hitler był nim niewątpliwie zafascynowany. Trzeba pamiętać, że Mussolini był dla niego kimś w rodzaju „starszego brata" w dyktaturze. To Włochy stworzyły model państwa wodzowskiego, kultu przywódcy i imperialnej retoryki. Hitler patrzył na Duce jako na człowieka, który już przeszedł drogę, na którą on sam dopiero wchodził.

Bardzo ważnym momentem był Anschluss Austrii. Jeszcze w 1934 r. Mussolini występował jako obrońca austriackiej niezależności i był gotów blokować niemieckie plany. Ale cztery lata później sytuacja wyglądała już inaczej. Kiedy okazało się, że Duce nie będzie protestował, Hitler był zachwycony. Kazał przekazać Mussoliniemu, że nigdy mu tego nie zapomni, i podkreślał, że nie opuści go „w złej czy dobrej doli". W książce przywołuję ten moment jako początek prawdziwie bliskiej relacji politycznej obu dyktatorów. Hitler spłacił swój dług w 1943 r., uwalniając Duce z niewoli.

Ale ta fascynacja Mussolinim nie była stała. Z czasem Hitler coraz bardziej dostrzegał słabość włoskiego sojusznika, który miał wielkie ambicje, ale nie potrafił ich zrealizować. Podziw przeradzał się więc w irytację. Hitler nadal miał wobec Mussoliniego pewien sentyment, ale jako strateg musiał widzieć, że Włochy stają się ciężarem.

Czego konkretnie Mussolini oczekiwał od Niemiec?

Przede wszystkim potwierdzenia swojej mocarstwowości. Chciał, aby Włochy były traktowane nie jako dodatek do Rzeszy, ale jako równorzędny filar Osi. Marzył o nowym Imperium Rzymskim, o dominacji na Morzu Śródziemnym, o wpływach na Bałkanach, w Afryce Północnej i w basenie Morza Czerwonego. Niemcy miały mu pomóc w realizacji tej wizji. Jednak po podpisaniu paktu stalowego Mussolini bardzo szybko obnażył słabość własnego państwa. W memorandum skierowanym do Hitlera wskazywał, że Włochy będą gotowe do pełnowymiarowej wojny dopiero za kilka lat.

Mussolini oczekiwał także udziału w zwycięstwie. Dlatego w 1940 r., widząc klęskę Francji, uznał, że nie może dłużej stać z boku. Bał się, że Niemcy same

eprasa.pl 3fb0395e21

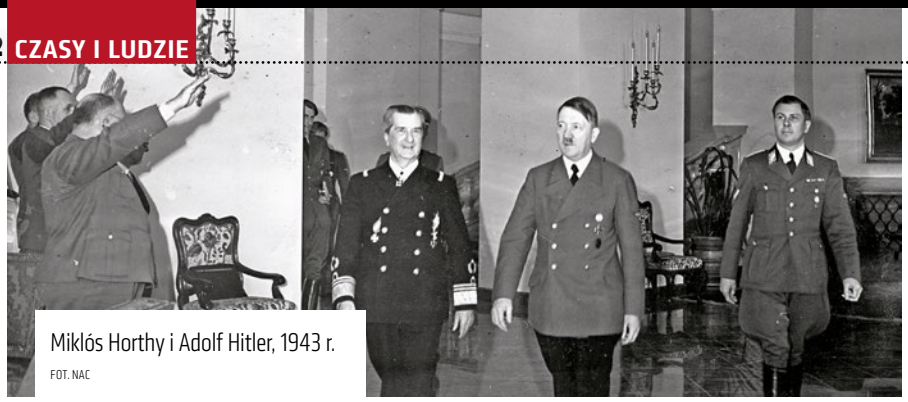

Miklós Horthy i Adolf Hitler, 1943 r.
FOT. NAC

pokonają Zachód, a Włochy nie dostaną niczego przy stole zwycięzców. Wejście do wojny 10 czerwca 1940 r. było więc w dużej mierze próbą dopisania się do triumfu, zanim będzie za późno. Z punktu widzenia Berlina coraz wyraźniej widać było, że Włochy więcej biorą, niż dają.

W którym momencie Hitler stwierdził, że Włochy generują już właściwie same problemy?

Relacja niemiecko-włoska przeszła kilka etapów. Najpierw była nieufność, zwłaszcza w sprawie Austrii. Potem nastąpił okres zbliżenia, symbolizowany przez Oś Berlin-Rzym, pakt stalowy i osobistą relację Hitlera z Mussolinim. Następnie przyszła faza wojennej współpracy, która bardzo szybko zaczęła ujawniać nierównowagę potencjałów. Lata 1940–1942 to pasmo włoskich kompromitacji w Afryce Północnej i w Grecji. Włochy nie dawały sobie rady bez niemieckiej pomocy.

Momentem szczególnie ważnym była wojna z Grecją. Mussolini chciał pokazać, że także potrafi prowadzić samodzielną ekspansję, ale włoska ofensywa utknęła, a sytuacja wymagała niemieckiej interwencji na Bałkanach. To miało nie tylko prestiżowe znaczenie. Niemcy musieli angażować swoje zasoby w regionie, który nie był elementem ich planów. Podobnie było w Afryce Północnej. To również spowodowało opóźnienie w rozpoczęciu operacji „Barbarossa", co w konsekwencji było pierwszym symptomem późniejszej klęski. Czy Hitler wprost uznał, że Włochy generują same problemy? W praktyce musiał tak myśleć coraz częściej, nawet jeśli osobisty sentyment do Mussoliniego długo łagodził jego ocenę.

Jakimi sojusznikami byli Węgrzy i Rumuni?

Węgry Miklósa Horthyego były klasycznym przykładem państwa rewizjonistycznego – węgierskie elity marzyły o odzyskaniu utraconych ziem. Berlin potrafił to wykorzystać. Węgry stopniowo wchodziły w orbitę Niemiec, korzystając z dyplomacji Osi w celu uzyskiwania terytorialnych korekt. W 1940 r. podpisały Pakt Trzech, rok później uczestniczyły w rozbiorze Jugosławii, a następnie weszły do wojny przeciwko ZSRS. Ale wewnątrz węgierskich elit narastał konflikt między realistami a zwolennikami twardego kursu proniemieckiego. Kiedy Horthy próbował w 1944 r. wyprowadzić kraj z wojny, Niemcy odpowiedzieli okupacją i wyniesieniem do władzy strzałokrzyżowców Ferenca Szálasiego.

Rumunia była dla Hitlera jeszcze ważniejsza, ponieważ dysponowała dużymi zasobami ropy naftowej. Dlatego Ion Antonescu był dla Berlina partnerem o znaczeniu strategicznym. Rumunia wystawiła też jeden z największych kontyngentów Osi na froncie wschodnim. Jej udział w wojnie przeciw ZSRS miał wymiar zarówno militarny, jak i polityczny: chodziło o odzyskanie Besarabii oraz o zabezpieczenie się przed sowiecką ekspansją. Dramat pod Stalingradem obnażył słabość wojsk sojuszniczych i pokazał, że Niemcy wykorzystują partnerów do osłaniania newralgicznych, najcięższych odcinków frontu. W 1944 r., gdy sytuacja stała się beznadziejna, król Michał przeprowadził przewrót, Rumunia zmieniła front, a Antonescu został obalony.

Adolf Hitler i Ion Antonescu, 1941 r.
FOT. NAC

Finowie, walczący ramię w ramię z Niemcami przeciw Związkowi Sowieckiemu, pokazali w czasie wojny mistrzowską wręcz finezję w kwestii polityki zagranicznej.

Finlandia jest przypadkiem szczególnym. Nie była typowym członkiem Osi ani też krajem marionetkowym. Była raczej państwem współwalczącym z Niemcami przeciwko ZSRS, ale z własnych powodów i z własnymi ograniczeniami. Finlandia straciła terytoria na rzecz Moskwy i uznała, że tylko w cieniu niemieckiej potęgi może odzyskać utracone ziemie oraz zabezpieczyć swoją niepodległość. Elastyczność Finów polegała na tym, że starali się maksymalnie wykorzystać Niemcy, równocześnie nie pozwalając na to, by Berlin całkowicie zdominował ich politycznie. To była bardzo ryzykowna gra.

Finlandia walczyła z ZSRS, ale jej cele były ograniczone. Nie chodziło jej o ideologiczną krucjatę nazistowską, lecz o przetrwanie państwa i korektę granic. Oczywiście ta linia obrony moralnej nie rozwiązuje wszystkich problemów, bo współpraca z Hitlerem zawsze miała swoją cenę. Finlandia jednak wykazała znacznie większą zręczność polityczną niż większość sojuszników Rzeszy. Najlepiej widać to było w 1944 r., gdy ofensywa sowiecka zagroziła istnieniu Finlandii. Prezydent Risto Ryti złożył wtedy osobiste zobowiązanie wobec Hitlera, tzw. list-umowę Ryti-Ribbentrop, aby uzyskać natychmiastową pomoc wojskową. Jednocześnie rozwiązanie to było pomyślane jako wybieg. Po rezygnacji Rytiego Mannerheim został prezydentem i otworzył drogę do rozejmu ze Stalinem. Finlandia zachowała niepodległość, choć zapłaciła terytoriami, reparacjami i musiała walczyć z Niemcami w wojnie lapoń-

eprasa.pl 3fb0395e21

KRZYSZTOF DROZDOWSKI „TAJEMNICE SOJUSZNIKÓW HITLERA"
REPLIKA

skiej. To była elastyczność wymuszona, ale skuteczna.

Dlaczego Hitler nie podbił bogatej Szwajcarii, która na mapie wyglądała jak dziura w „niemieckiej Europie"?

Szwajcaria rzeczywiście wyglądała na mapie jak anomalia: neutralna, bogata, położona w środku Europy zdominowanej przez państwa Osi. Niemcy przygotowywali plany ataku, znane jako operacja „Tannenbaum"; Szwajcarzy odpowiedzieli na to mobilizacją, która objęła ok. 150 tys. żołnierzy.

Dlaczego Hitler nie uderzył? Szwajcaria była trudnym terenem do podboju. Góry, fortyfikacje i koncepcja reduty alpejskiej oznaczały, że okupacja byłaby kosztowna. Niemcy oczywiście mogli ją przeprowadzić, ale musieliby zapłacić za nią siłami i czasem.

Po drugie, niezależna Szwajcaria była dla Rzeszy użyteczna. W książce pokazuję ją jako „hub": finansowy, handlowy, przemysłowy i dyplomatyczny. Szwajcaria prowadziła wymianę z Niemcami, jej banki odgrywały ważną rolę, a gospodarka funkcjonowała w szarej strefie. Prawo neutralności nie nakazywało całkowitego zerwania kontaktów gospodarczych z walczącymi stronami, ale moralny problem polegał na tym, że ta neutralność bywała bardzo korzystna dla Niemiec.

Czy Hitler planował też zajęcie Szwecji, dysponującej kluczowymi zasobami rudy żelaza?

Po zajęciu Danii i Norwegii w 1940 r. Szwecja znalazła się w położeniu niezwykle trudnym. Była formalnie neutralna, ale otoczona niemiecką potęgą i zmuszona do ustępstw. Sztokholm zgodził się m.in. na porozumienia tranzytowe umożliwiające Niemcom przerzut żołnierzy i towarów. Dopiero kiedy sytuacja strategiczna zaczęła się zmieniać na niekorzyść Rzeszy, Szwecja stopniowo ograniczała skalę współpracy i wypowiadała wcześniejsze rozwiązania.

Możliwość opanowania Szwecji brano pod uwagę w sensie strategicznym, ale pełna okupacja nie była konieczna. Zadziałał tu podobny mechanizm jak w przypadku Szwajcarii: państwo neutralne mogło być bardziej użyteczne jako formalnie niezależny partner gospodarczy niż jako okupowane terytorium wymagające garnizonów i administracji.

Jak Hiszpania i Portugalia grały z Hitlerem?

Hiszpania Franco była ideologicznie bliższa Osi, ale praktycznie niezdolna do wzięcia udziału w wielkiej wojnie. Ten kraj wyszedł z wojny domowej wyniszczony gospodarczo, a jego społeczeństwo było wymęczone. Franco sympatyzował z Hitlerem i Mussolinim, zawdzięczał im przecież pomoc w czasie wojny domowej, ale nie chciał wciągać Hiszpanii w konflikt, którego mogła ona nie przetrwać. Dlatego wybrał formułę pośrednią – gesty przyjaźni wobec Osi, ale bez wypowiedzenia wojny aliantom. Najważniejszym gestem była Błękitna Dywizja, czyli jednostka ochotników hiszpańskich walczących u boku Wehrmachtu na froncie wschodnim w latach 1941–1943. Gdy szala zwycięstwa zaczęła przechylać się na stronę aliantów, Franco zaczął się dystansować od III Rzeszy i w 1943 r. ogłosił powrót do neutralności.

Portugalia Salazara była jeszcze bardziej wyrachowana. Salazar utrzymywał neutralność, ale handlował z obiema stronami. Kluczowy był wolfram – ważny surowiec używany w produkcji zbrojeniowej. Portugalia sprzedawała go Niemcom, obawiając się ich reakcji i konsekwencji gospodarczych, ale jednocześnie utrzymywała stare więzi sojusznicze z Wielką Brytanią. W 1943 r. zgodziła się udostępnić aliantom bazy na Azorach, co miało ogromne znaczenie dla kontroli Atlantyku. W 1944 r., pod naciskiem aliantów, wprowadziła embargo na eksport wolframu.

A jak wyglądałaby pańskim zdaniem przyszłość Polski, jeżeli nasz kraj zawiązałby sojusz z III Rzeszą, do czego Hitler dążył przecież aż do 1939 r.?

To jest jedno z najtrudniejszych pytań, bo dotyka historii alternatywnej, a także moralnej granicy w polityce. Można oczywiście wyobrazić sobie scenariusz, w którym Polska próbuje dogadać się z Hitlerem, przyjmuje niemieckie żądania, a następnie bierze udział w wojnie przeciwko ZSRS. Ale to nie oznacza, że byłaby to droga prowadząca do ocalenia. Wręcz przeciwnie, mogła to być droga do innej, późniejszej katastrofy. III Rzesza nie traktowała przecież Polski jako naturalnego partnera. W nazistowskiej wizji Europy Polacy nie mieli być równorzędnym narodem sojuszniczym. Polska była przeszkodą geopolityczną, obszarem ekspansji, rezerwuarem siły roboczej i elementem niemieckiej wizji przebudowy Wschodu. Sojusz taktyczny nie zmieniłby głębokich założeń ideologicznych nazizmu.

Czyli uważa pan, że Polska wcale nie musiała wyjść na sojuszu z III Rzeszą lepiej, niż miało to miejsce w rzeczywistości?

Gdyby Polska weszła w sojusz z Niemcami, musiałaby zapłacić bardzo wysoką cenę: polityczną, moralną i strategiczną. Po pierwsze, stałaby się współuczestnikiem wojny napastniczej przeciwko ZSRS. Po drugie, uzależniłaby swoją przyszłość od zwycięstwa Hitlera. Po trzecie, w przypadku pokonania Związku Sowieckiego Polska znalazłaby się w Europie całkowicie zdominowanej przez III Rzeszę. A wtedy niemiecki partner nie musiałby już udawać, że respektuje polską suwerenność...

Najbardziej prawdopodobny byłby scenariusz stopniowej wasalizacji. Polska mogłaby przez pewien czas istnieć jako sojusznik pomocniczy, ale po rozbiciu ZSRS jej znaczenie gwałtownie by spadło. Hitler, mając opanowany kontynent, mógłby narzucić Warszawie dowolne warunki: gospodarcze, wojskowe, terytorialne i demograficzne. Polska armia, wykrwawiona na Wschodzie, nie byłaby już gwarantem niezależności. Dlatego nie uważam, że Polska popełniła błąd, nie wchodząc w alians z Hitlerem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Krzysztof Drozdowski jest historykiem, znawcą drugiej wojny światowej. Na polskim rynku wydawniczym ukazało się wiele jego książek o tej tematyce, w tym najnowsza – „Tajemnice sojuszników Hitlera".

eprasa.pl 3fb0395e21

XX w. / Białe plamy na mapach ZSRS

Sowieckie „strefy 51”

Mikołaj Iwanow

W czasach ZSRS w tzw. miastach zamkniętych testowano i produkowano najnowsze rodzaje broni, m.in. biologicznej. Po rozpadzie Związku Sowieckiego wiele tych miast pojawiło się na mapach, ale ich mieszkańcy wciąż żyją pod kontrolą specsłużb

Związku Sowieckiego nie ma na mapie świata już od 35 lat. W Rosji wyrosło nowe pokolenie, które nie zna realiów tego państwa, ale cienie sowieckiej przeszłości są tu jednak widoczne na każdym kroku. Jednymi z najbardziej zauważalnych reliktów komunizmu są tzw. miasta zamknięte (ZATO). W Związku Sowieckim istniało bowiem wiele miast, które nie zostały zaznaczone na mapach, a ich mieszkańcy byli zmuszeni do milczenia na temat tego, gdzie żyją.

Paradoksalnie rozpad ZSRS nie spowodował zniknięcia tych miast. Jedyną zmianą było pojawienie się większości tych miejsc na mapach. W dobie totalnej inwigilacji terytorium Federacji Rosyjskiej przez Amerykanów i NATO za pomocą satelitów dalsze ukrywanie tych miast nie miało już sensu. Natomiast do dziś pozostają one strefami zamknięty-

eprasa.pl 3fb0395e21

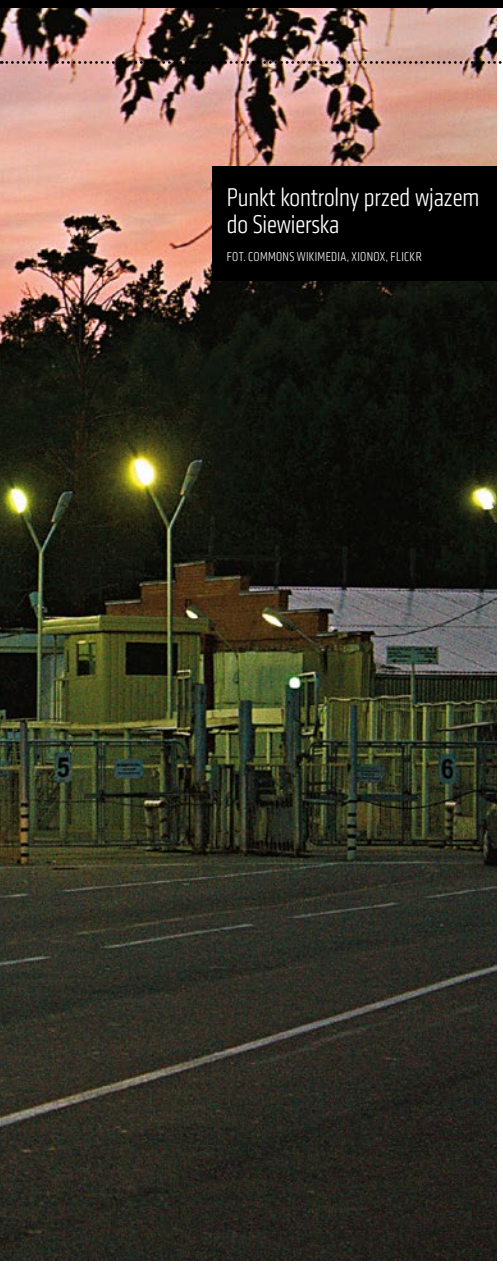

Punkt kontrolny przed wjazdem do Siewierska

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, XIONOX, FLICKR

Car-bomba w Muzeum Broni Jądrowej w Sarowie FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CROQUANT HEX

mi, do których wstęp mają jedynie ich stali mieszkańcy oraz ci, którzy dostaną specjalne przepustki. Według danych oficjalnych w dzisiejszej Rosji znajdziemy 37 takich miast.

Jak ukryć bombę

Historia miast zamkniętych rozpoczęła się w 1946 r., gdy rozpadła się zwycięska koalicja państw walczących przeciwko III Rzeszy. ZSRS, nie przejmując się kosztami dla zniszczonego przez wojnę kraju, rozwijał swój program atomowy. Własna broń jądrowa była na gwałt potrzebna Stalinowi, aby utrzymać kruchą równowagę na arenie międzynarodowej. Pierwszą „czerwoną" bombę atomową przetestowano już w 1949 r. Wyścig zbrojeń trzeba było jak najlepiej ukryć przed wścibskim wzrokiem Amerykanów, więc zaczęły powstawać miasta przemysłowe, które nie były zaznaczone na mapach.

Dla ich mieszkańców opracowano zbiór zasad regulujących przebywanie na terenie zamkniętym. Przy czym nie do końca byli oni więźniami swoich małych „ojczyzn" – w razie potrzeby pozwalano im wyjeżdżać na wakacje lub w podróże służbowe. Jednak ich krewnym i znajomym z zewnątrz surowo zabraniano wjazdu do miast zamkniętych. Jedynie wysoko postawieni urzędnicy, pracownicy niektórych firm i funkcjonariusze służb specjalnych mieli prawo pojawiać się w tych miejscach.

Lokalizacja ZATO stanowiła tajemnicę państwową. Wszyscy mieszkańcy tych stref powyżej 18. roku życia podpisywali dokument, w którym zobowiązywali się do zachowania poufności w kwestii ich faktycznego miejsca zamieszkania. Naruszenie umowy pociągało za sobą sankcje karne.

Zatrudnieni w miastach zamkniętych zajmowali się tworzeniem nowych rodzajów broni. Zakres ich obowiązków był bardzo szeroki: od budowania bomb atomowych i wodorowych po opracowywanie broni biologicznej. Niedogodności związane z życiem w izolacji z nawiązką kompensowano im za pomocą wielu przywilejów. Pracownicy otrzymywali dodatki do pensji sięgające niekiedy 100 proc., korzystali również ze sklepów dla uprzywilejowanych, gdzie mogli kupować towary, których zazwyczaj brakowało poza zamkniętymi strefami.

Zazwyczaj ich mieszkańcy otrzymywali fikcyjne zameldowanie w dużych miastach znajdujących się w pobliżu. I tak przykładowo mieszkańcy Penzy-19 byli zameldowani w Penzie właściwej i na fikcyjny adres otrzymywali wszelką korespondencję. Często bywało tak, że nawet najbliżsi krewni nie podejrzewali, gdzie tak naprawdę mieszka ich bliski.

Po upadku Związku Sowieckiego lista zamkniętych miast została odtajniona, a oznaczenia numeryczne zastąpiono ich oryginalnymi nazwami. Wiele miejscowości udostępniono zwiedzającym i obecnie znajdziemy już na mapach Federacji Rosyjskiej zamknięte jednostki administracyjno-terytorialne. Widać, że rozlokowane są one stosunkowo równomiernie na terenie tego ogromnego kraju. Najwięcej zamkniętych miast – pięć – znajduje się w obwodach moskiewskim i murmańskim, cztery leżą w obwodzie swierdłowskim na Uralu, a po trzy w obwodach krasnojarskim i czelabińskim. Obecnie mniej więcej jeden Rosjanin na 100 mieszka w mieście zamkniętym, czyli mówimy o ponad milionie ludzi z ZATO. Co istotne, teraz już nie ma zakazu ujawniania swojego miejsca zamieszkania. Wciąż jednak ludzie mieszkający w ZATO nie mogą upubliczniać informacji o obiektach wojskowych ani zakładach przemysłowych działających w takich miejscach.

Bomba z Sarowa

Pierwszym założonym w ZSRS miastem zamkniętym był Arzamas-16, nazywany dziś „ojczyzną bomby atomowej". Historia tego miejsca jest fascynująca.

eprasa.pl 3fb0395e21

Przepustka do Żeleznogorska

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ALEXANDER MIKHALENKO

Leżący w obwodzie niżnonowogrodzkim Sarow – bo tak brzmi historyczna nazwa tego miasta – już od kilku stuleci znany jest w Rosji dzięki cerkwi prawosławnej i klasztorowi zwanemu „pustelnią sarowską". Co roku do miasta udawały się tysiące pielgrzymów z całej Rosji, aby pomodlić się w tym świętym dla prawosławnych miejscu. Walka z religią w latach 30. XX w. doprowadziła do niemal całkowitego spustoszeniu Sarowa. Zamknięto cerkwie, a księży uwięziono lub zabito.

Po wojnie okazało się, że Sarow idealnie nadaje się do przekształcenia z ośrodka religijnego w kombinat naukowo-badawczy, czyli właśnie Arzamas-16. Ściągnięto tu najlepszych naukowców z całego kraju, a także kilkunastu złapanych przez Armię Czerwoną niemieckich fizyków, którzy w III Rzeszy pracowali nad bronią atomową. Arzamas-16 był najpilniej strzeżonym miastem w kraju: mieszkańcom nie wolno było opuszczać go nawet w czasie wakacji i świąt państwowych. Jedynym legalnym sposobem na wyjazd były podróże służbowe. Władze rekompensowały to całkowite zamknięcie świetnymi warunkami życia, co w warunkach powszechnej powojennej biedy było czymś wyjątkowo kuszącym.

Po upadku ZSRS to niemal 100-tysięczne miasto odzyskało swoją dawną nazwę. Na nowo odżyła „pustelnia sarowska", a na ulicach znów pojawili się pielgrzymi (w 2009 r. w mieście otwarto szkołę cerkiewną im. św. Serafina z Sarowa). Jednak o Arzamasie-16 przypomina Muzeum Broni Jądrowej, założone na terenie Wszechrosyjskiego Instytutu Badawczego Fizyki Doświadczalnej. Można tu zobaczyć repliki najpotężniejszych bomb wodorowych, których użyciem groził ówczesny sowiecki przywódca Nikita Chruszczow.

Co ciekawe, inne bardzo ważne dla sowieckiego przemysłu zbrojeniowego ZATO również założono w miejscu świętym dla rosyjskich prawosławnych. Czyżby komuniści na wszelki wypadek zabiegali o przychylność Boga, tworząc swoje machiny zagłady? Słynne obecnie wśród rosyjskich prawosławnych podmoskiewskie miasto Siergijew Posad do 1991 r. znane było jako Zagorsk i obejmowało dwa zamknięte ośrodki – Zagorsk-6 i Zagorsk-7. Do dziś istnieje tu Instytut Badań Mikrobiologicznych. Jego tajne laboratoria za czasów Związku Sowieckiego zajmowały się wytwarzaniem broni biologicznej. A dziś czym się zajmuje ten instytut? Jest to tajemnica państwowa, ale można się domyślać, co wytwarza się w jego murach, ponieważ ta część miasta cały czas pozostaje strefą zamkniętą.

Kosmodrom

Jednym z najstarszych miast zamkniętych jest Znamiensk, leżący w obwodzie astrachańskim na południu kraju. Powstał tu poligon doświadczalny służący do testowania rakiet. Korzystając z pomocy niemieckich inżynierów, sowieccy konstruktorzy stworzyli dokładne kopie rakiet V-1 i V-2.

W czasach sowieckich to nieistniejące na ówczesnych mapach miasto znane było jako Kapustin Jar-1 (po odtajnieniu w latach 90. przemianowano je właśnie na Znamiensk). Mimo ujawnienia położenia miasta do dziś pozostaje ono zamkniętą jednostką administracyjno-terytorialną.

Początki budowy poligonu rakietowego Kapustin Jar, wraz z jego zapleczem, nie były łatwe. Robotnicy przybyli w sierpniu 1947 r., a już dwa miesiące później miał tu miejsce pierwszy start sowieckiej rakiety balistycznej. Od tego czasu przez kolejne 10 lat Kapustin Jar był jedynym w całym Związku Sowieckim poligonem doświadczalnym dla tego typu rakiet. Z czasem wystrzeliwano stąd również rakiety służące do badań meteorologicznych i geofizycznych. Po nadejściu ery kosmicznej Kapustin Jar przekształcił się z poligonu rakietowego w kosmodrom: 16 marca 1962 r. wystrzelono stąd pierwszy Sputnik nazwany Kosmos-1.

Innym ważnym ośrodkiem rozwoju sowieckiej broni rakietowej było – i nadal pozostaje – miasto Sołnieczny na Syberii. Nie brak opinii, że to miasto było jednym z najbardziej tajemniczych (i zarazem tajnych) miejsc w historii tego kraju. W latach 1946–1953 w tym ośrodku pracowali niemieccy specjaliści, którzy wcześniej tworzyli projekt V-2, ściśle nadzorowany przez Wernera von Brauna. Założono dla nich specjalny obóz jeniecki na wyspie Gorodomla położonej na jednym z okolicznych jezior. Około

Człon rakiety R-2A, wzorowanej na niemieckiej rakiecie V-2. Poligon Kapustin Jar

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MINISTERSTWO OBRONY ROSJI

eprasa.pl 3fb0395e21

200 niemieckich specjalistów pracowało na wyspie ramię w ramię ze swoimi sowieckimi kolegami nad najbardziej zaawansowanymi projektami i technologiami rakietowymi.

Wyspa znajdowała się pod ścisłą ochroną. Otoczono ją drutem kolczastym, a kontakt ze światem zewnętrznym odbywał się wyłącznie za pomocą specjalnych, zamkniętych kanałów komunikacji. Po 1953 r. wybudowano nową fabrykę (korzystającą z niemieckich technologii), która specjalizowała się w produkcji żyroskopów i innych zaawansowanych urządzeń wojskowych. Do dziś wyspa pozostaje strefą zamkniętą.

Wiele ZATO w Związku Sowieckim i w Federacji Rosyjskiej powstało z myślą o projektowaniu i konstruowaniu broni jądrowej. Jednym z takich miast jest Czelabińsk-70. To właśnie tam wyprodukowano potężną bombę wodorową, która przeszła do historii jako „Car Bomba". W październiku 1961 r. Związek Sowiecki zdetonował ją na archipelagu Nowa Ziemia na Oceanie Arktycznym. Był to najpotężniejszy wybuch wywołany przez człowieka. Według badaczy rozbłysk miał jasność ok. 1 proc. Słońca, a fala uderzeniowa okrążyła kulę ziemską trzykrotnie. W 1993 r. Czelabińskowi-70 przywrócono poprzednią nazwę: Snieżynsk. Miasto nadal jednak pozostaje zamknięte, ponieważ wciąż działa tu ośrodek jądrowy.

Tajemnica góry

Na Syberii w okolicach Krasnojarska powstał w latach 50. największy w Związku Sowieckim zakład produkcji plutonu. W pobliżu zakładu zbudowane zostało miasto zamknięte – Krasnojarsk-26. Początkowo osiedle miało służyć wyłącznie zakwaterowaniu pracowników zakładu i dopiero w 1954 r. zostało uznane za pełnoprawne miasto.

Penza-19 to kolejny klasyczny przykład ZATO specjalizujący się w produkcji broni jądrowej. Do dziś utrzymuje ono status zamkniętego ośrodka naukowego i przemysłowego. Nazwa miasta przez wiele lat była utrzymywana w tajemnicy i nie została opublikowana w żadnych źródłach. Nie pojawiała się również na mapach i dopiero wraz z upadkiem Związku Sowieckiego Penza-19 otrzymała oficjalną nazwę – Zariecznyj. Zakłady przemysłu obronnego w tym mieście włączono do koncernów Rosatom i Roskosmos. Ten punkt na gospodarczej mapie Federacji Rosyjskiej stał się wyjątkowo ważny – kierownictwo państwa wiązało ogromne nadzieje ze sprzedażą za granicę wytwarzanych tam nowoczesnych rodzajów broni.

W górze Jamantau, obok miasta zamkniętego Mieżgorje, wybudowano bunkier dla ludzi ze szczytów władzy

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, DMITRIJ MAKSIMOW

Wiele ZATO w Związku Sowieckim i w Federacji Rosyjskiej powstało z myślą o projektowaniu i konstruowaniu broni jądrowej

Nie wiadomo, kiedy dokładnie powstało zamknięte miasto Tomsk-7 na Syberii. Wiadomo natomiast, że również ono zbudowane zostało w ramach projektu rozwijania broni jądrowej. Stworzono tu m.in. zakład wzbogacania uranu oraz przetwarzania zużytego paliwa jądrowego i innych odpadów. Jego głównym przeznaczeniem była jednak produkcja materiałów jądrowych do bomb i reaktorów. Ostatecznie zakład stał się jednym z trzech najważniejszych obiektów w Związku Sowieckim, które dostarczały materiały do broni jądrowej. Tomsk-7 przez długi czas pozostawał nieoznaczony na mapach, nie wspominano o nim w prasie i znajdował się pod ścisłym nadzorem KGB. Po upadku Związku Sowieckiego miasto przemianowano na Siewiersk, ale do dziś zachowało ono status ściśle tajnego.

Osobne miejsce na liście miast zamkniętych w Rosji zajmuje Mieżgorje w autonomicznej republice Baszkirii. Za czasów sowieckich nosiło ono nazwę Biełoriecka-16 i przez wiele lat funkcjonowało za szczelną kurtyną specsłużb. W mieście powstało wiele przedsiębiorstw, z których większość zajmowała się budową i utrzymaniem obiektów strategicznych, w tym schronów dla elity kraju na wypadek wojny. Niestety, informacje na temat Biełoriecka-16 są skąpe – miasto nie było nigdzie wspominane aż do lat 90. ubiegłego wieku. Jednak za prezydentury Borysa Jelcyna do prasy przedostała się informacja, że w głębi leżącej tuż obok Mieżgorje góry Jamantau zbudowano bunkier dla wysoko postawionych urzędników. Władze Federacji Rosyjskiej nie skomentowały tych informacji, co dodatkowo podsyciło lawinę plotek na temat istnienia rządowego olbrzymiego centrum dowodzenia na wypadek wojny. Po rozpadzie ZSRS miasto pozostawało terenem zamkniętym, a w 2018 r. przeszło pod nadzór Ministerstwa do spraw Sytuacji Nadzwyczajnych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3fb0395e21

Tomasz Stańczyk

Bronili wiary, świadczyli o niej, żyli, myśląc o Bogu, a także o ludziach – nie tylko chrześcijanach

Wanda Błeńska

FOT. KRZYSZTOF TADEJ/FOTONOVA

Wieki XIII–XXI / Polscy kandydaci na błogosławionych

W łagrach, Auschwitz i leprozorium

Pod koniec marca 2026 r. Leon XIV zatwierdził dekret o heroiczności cnót Barbary Samulowskiej, co otwiera drogę do jej beatyfikacji. Barbarze i jej koleżance – gdy były dziewczynkami – ukazała się w 1877 r. w Gietrzwałdzie Matka Boska. Objawienie maryjne w tej warmińskiej miejscowości jest jedynym w Polsce oficjalnie uznanym przez Kościół katolicki. Wydarzenie to, poza wymiarem duchowym, miało duże znaczenie dla podtrzymania polskości na Warmii, która należała wówczas do Cesarstwa Niemieckiego. Matka Boska mówiła bowiem do dziewczynek w ich języku – gwarze warmińskiej języka polskiego. Dlatego objawienie spotkało się z bardzo niechętną, a nawet wrogą reakcją Niemców, także niemieckich księży.

Barbara Samulowska wstąpiła później do zakonu szarytek – Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia św. Wincentego à Paulo. Skierowano ją na misję do Gwatemali, gdzie była m.in. dyrektorką nowicjatu oraz sierocińca. Nigdy nie chwaliła się swoimi wizjami z Gietrzwałdu. Zmarła w Gwatemali w 1950 r. Jej proces beatyfikacyjny rozpoczął się ponad 20 lat temu. Czy zostanie zakończony w 2027 r., gdy w Gietrzwałdzie odbędą się obchody 150-lecia objawień – nie wiadomo. Dlaczego jednak druga z dziewczynek nie jest kandydatką na ołtarze? Justyna Szafryńska również była szarytką, lecz wystąpiła z tego zgromadzenia, wyszła za mąż, a o jej dalszym życiu niewiele wiadomo.

Barbara Samulowska jest jedną z Polek i Polaków, którzy są kandydatami na ołtarze. Prawo kanoniczne mówi, że proces beatyfikacyjny – również kanonizacyjny – nie może być rozpoczęty wcześniej niż pięć lat po śmierci kandydata, choć czasami zdarzają się (za zgodą papieża) wyjątki od tej zasady. Wygląda na to, że najdłużej na beatyfikację czeka książę Henryk Pobożny, który poległ w 1241 r. w wielkiej bitwie pod Legnicą z mongolskimi najeźdźcami i jest uznawany za męczennika za wiarę. Był synem Henryka Brodatego i Jadwigi z Andechs, zwanej też Jadwigą Śląską, świętą Kościoła katolickiego. Został pochowany w Kościele św. Jakuba we Wrocławiu, ale jego szczątki zaginęły podczas drugiej wojny światowej. Proces beatyfikacyjny Henryka Pobożnego rozpoczął się w 2021 r. w diecezji legnickiej.

Trwa także proces beatyfikacyjny Eufemii (Ofki), żony księcia Przemysława Raciborskiego, żyjącej w XIV w. zakonnicy dominikanki, przełożonej klasztoru w Raciborzu. Jej relikwie spłonęły wraz z kościołem w tym mieście podczas walk w 1945 r. Proces beatyfikacyjny Eufemii rozpoczął się w 2014 r.

Na wyniesienie na ołtarze czeka również ks. Piotr Skarga, jezuita. Był on pierwszym rektorem uniwersytetu w Wilnie, założonego przez Stefana Bato-

eprasa.pl 3fb0395e21

rego jako kolegium jezuickie. Duchowny był wieloletnim kaznodzieją na dworze króla Zygmunta III, a uwieczniony został przez Jana Matejkę na obrazie „Kazanie Skargi". W swoich kazaniach wzywał do wzmocnienia władzy królewskiej i piętnował wady szlachty, przestrzegał przed obojętnością na losy Rzeczypospolitej. Był autorem „Kazań sejmowych". Jedno z nich nosiło tytuł „O miłości ku ojczyźnie i o pierwszej chorobie Rzeczypospolitej, która jest z nieżyczliwości ku ojczyźnie". Napisał także bardzo popularne, wielokrotnie wznawiane „Żywoty świętych". Ksiądz Skarga należał do najwybitniejszych przedstawicieli kontrreformacji. Zapisał się również jako dobroczyńca ludzi ubogich. Spoczywa w Kościele św. Piotra i Pawła w Krakowie. Długo utrzymywało się przekonanie, że ks. Skargę pochowano w stanie letargu, z którego miał się wybudzić już po pogrzebie i dopiero potem umrzeć. Miała to być przeszkoda do rozpoczęcia starań o beatyfikację. Najwyraźniej jednak tak nie było, skoro w 2013 r. rozpoczął się proces beatyfikacyjny, a teraz akta tego postępowania są rozpatrywane w Watykanie.

Fatalny strzał

Z pomysłem rozpoczęcia procesu beatyfikacyjnego Romualda Traugutta, dyktatora powstania styczniowego, straconego przez Rosjan wraz z członkami Rządu Narodowego, wystąpił przed laty jego biograf, ks. Józef Jarzębowski. Był on przekonany o głębokiej wierze i świątobliwym życiu Traugutta. Przeszkodą był jednak fakt, że Traugutt postrzelił śmiertelnie jednego z powstańców. Najprawdopodobniej chcąc nastraszyć niesubordynowanego członka swojego oddziału, Traugutt przystawił mu pistolet do głowy, a strzał padł przypadkowo: odwiedziony kurek rewolweru zahaczył o ubranie i padł fatalny strzał. Mimo że zwolennikiem beatyfikacji był prymas Stefan Wyszyński, nie doszło do rozpoczęcia procesu.

Najsłynniejszą polską mistyczką jest św. Faustyna Kowalska, zakonnica Zgromadzenia Sióstr Matki Bożej Miłosierdzia, autorka słynnego „Dzienniczka", w którym opisała swoje objawienia Jezusa Chrystusa, propagatorka kultu

Barbara Samulowska

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ZBIORY SIÓSTR SZARYTEK

Miłosierdzia Bożego, który dzięki niej rozprzestrzenił się na cały świat. Na beatyfikację czeka inna nasza mistyczka, Wanda Malczewska, ciotka malarza Jacka Malczewskiego. 15 sierpnia 1873 r. usłyszała ona od Matki Boskiej: „Uroczystość dzisiejsza wnet stanie się świętem narodowym, dla was, Polaków, bo w tym dniu odniesiecie zwycięstwo nad wrogiem, dążącym do waszej zagłady". Interpretuje się te słowa jako zapowiedź zwycięstwa w wojnie z Rosją bolszewicką w 1920 r.

W dzienniku przeżyć mistycznych Wanda Malczewska zanotowała też słowa Chrystusa: „Zbliżają się czasy przewrotne. Ojczyzna wasza będzie wolna od ucisku wrogów zewnętrznych, ale ją opanują wrogowie wewnętrzni. Przede wszystkim starać się będą wziąć w swe ręce młodzież szkolną i dowodzić będą, że religia w szkołach niepotrzebna, że można ją zastąpić innymi naukami. Spowiedź i inne praktyki religijne, kontrola Kościoła nad szkołami zbyteczna, bo ścieśnia myślenia ucznia. Krzyże i obrazy religijne ze sal szkolnych będą chcieli usunąć, aby te wizerunki chrześcijańskie nie drażniły żydów. Przez młodzież pozbawioną wiary zechcą w całym narodzie wprowadzić niedowiarstwo. Jeżeli naród uwierzy temu i pozbędzie się wiary, straci przywróconą Ojczyznę".

Piotr Skarga. Fragment „Kazania Skargi" Jana Matejki na pocztówce

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Mistyczka była świecką katechetką, wspierała ubogich i chorych. Jan Paweł II powiedział o niej: „Wanda Malczewska zmarła w opinii świętości pod koniec zeszłego wieku [XIX w. – przyp. red.]. Przez całe życie odznaczała się czcią do Najświętszego Sakramentu. Jest wspaniałym wzorem apostołowania dla osób świeckich". Wanda Malczewska spoczywa w kościele w Parznie. Jej proces beatyfikacyjny rozpoczął się w 1996 r., 100 lat po śmierci.

Bohaterki w obozowym piekle

Postać św. Maksymiliana Marii Kolbego nierozerwalne wiąże się z obozem Auschwitz-Birkenau. Męczennik oddał tam swoje życie, by ocalić więźnia skazanego na śmierć. Obecnie trwają procesy beatyfikacyjne dwóch więźniarek, które przeżyły ten niemiecki obóz. Stanisława Leszczyńska była położną, a do Auschwitz trafiła w związku z aresztowaniem członków jej rodziny, zaangażowanej w walkę podziemną w Narodowych Siłach Zbrojnych. Również w obozie pracowała jako położna, odbierając wiele porodów i chroniąc noworodki przed śmiercią z rąk Niemców. Osławionemu zbrodniarzowi Josefowi Mengele powiedziała w oczy: „Nigdy nie wolno zabijać dzieci".

Kardynał Grzegorz Ryś powiedział o niej w liście pasterskim: „Celebrowała każde rodzące się życie, wiedząc, że za chwilę niemowlę zostanie odebra-

eprasa.pl 3fb0395e21

Wanda Malczewska

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ZBIORY PRYWATNE

ne matce i utopione w beczce [...]. Według jej relacji z 3 tysięcy dzieci, których porody odebrała, obóz przeżyło 30! [...] Czy warto było? Dla jednego dziecka na sto?! Czy ktoś z nas w ogóle odważyłby się zadać jej takie pytanie?!".

Swoje przeżycia z Auschwitz Leszczyńska zawarła w „Raporcie położnej". Zmarła w 1974 r. i jest pochowana w Kościele Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w Łodzi. Jej proces beatyfikacyjny został zamknięty w 2024 r.

W tym samym roku został także zakończony proces beatyfikacyjny Stefanii Łąckiej, która przed drugą wojną światową była harcerką, nauczycielką i redaktorką pisma diecezji tarnowskiej „Nasza Sprawa". Do Auschwitz trafiła wraz z innymi członkami redakcji konspiracyjnego pisma. W obozie pracowała m.in. jako pielęgniarka. Otwierając jej proces beatyfikacyjny w 2021 r., biskup tarnowski powiedział w homilii: „Naznaczona heroizmem miłość Stefanii Łąckiej do Boga i bliźnich ukazała się szczególnie wyraziście w warunkach obozowych. Można powiedzieć, że jej ustawicznym wysiłkiem było pomaganie i ratowanie drugiego człowieka, jego godności, ciągłe podtrzymywanie na duchu, czuwanie przy umierających. Stefania nieustanne narażała swoje życie dla innych, gdy będąc blokową pisarką, w nocy podmieniała kartoteki chorych na tyfus przeznaczonych do zagazowania na kartoteki już zmarłych wcześniej kobiet. W ten sposób ocaliła mnóstwo ludzkich istnień.

W kontekście dzisiejszej uroczystości Narodzenia Najświętszej Maryi Panny warto szczególnie podkreślić pomoc, jaką Stefania niosła w warunkach obozowych kobietom oczekującym narodzin dzieci. Jedna z jej koleżanek obozowych, Elżbieta Bryg Jarosik, wspominała, że los matek i ich dzieci był przesądzony – śmierć. Jeżeli nie zabrano ich zaraz do zagazowania albo nie zabito zastrzykiem fenolu – rodziły w obozie. Stefania, kiedy tylko nadarzała się okazja, pomagała tym kobietom, chrzciła narodzone niemowlęta, zanim zostały uśmiercone. Z wielkim poświęceniem codziennie przebywała przy łóżkach najbardziej chorych kobiet, niosła im pomoc, uśmiech, duchowe wsparcie. Ryzykując własne życie, potrafiła się wystarać o lekarstwa, zastrzyki, witaminy. Jej heroizm szedł jeszcze dalej, gdyż była nawet gotowa pójść na śmierć za swoją koleżankę Helenę Panek" (opracowanie internetowe diecezji tarnowskiej). Stefania Łącka, nazywana „Aniołem z Auschwitz", wyczerpana przeżyciami obozowymi, zmarła w 1946 r. w wieku 33 lat.

Wojenni męczennicy

W diecezji łuckiej na Ukrainie od 2016 r. trwa proces beatyfikacyjny ks. Ludwika Wrodarczyka, oblata, pochodzącego z Radzionkowa. Tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej został administratorem parafii w Okopach. Zatrudnił jako organistę młodego Żyda, Benedykta Halicza, chroniąc go przez Niemcami. Pomagał też przeżyć dwóm żydowskim chłopcom, którzy uciekli z getta. Halicz został po wojnie biologiem, profesorem Uniwersytetu Łódzkiego. Na wniosek jednego z przygarniętych chłopców ks. Wrodarczyk pośmiertnie został uhonorowany tytułem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata, przyznawanym przez Instytut Yad Vashem.

„O. Ludwik o każdej porze dnia i nocy spieszył do chorych z lekarstwem lub sakramentem ostatniego namaszczenia – czytamy na stronie internetowej parafii w Radzionkowie. – Garnęli się do niego jednakowo Polacy, Ukraińcy, Rosjanie, katolicy i niekatolicy, a nawet partyzanci. Ponadto o. Wrodarczyk zaczął osobiście odwiedzać chorych w ich domach, będąc dla nich lekarzem ducha i ciała. Chorym przynosił różnego rodzaju napary, maści i napoje. Po najdalszej okolicy rozchodziła się fama o księdzu-lekarzu, stąd pod plebanią niejeden raz można było zobaczyć stojące furmanki, na których leżeli chorzy i których często tam przywożono po ostatni ratunek. Nikomu nie odmawiał pomocy. Szedł do każdego, kto go potrzebował. Był lekarzem, nauczycielem, kapłanem, ratował chorych, wspomagał biednych".

Figura Stanisławy Leszczyńskiej w Kolegiacie św. Anny (Warszawa-Wilanów)

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, KUSTOSZKA

W grudniu 1943 r., pomimo ostrzeżeń parafian, by się ukrył przed nadciągającym oddziałem Ukraińskiej Powstańczej Armii, nie zrobił tego. „W kościele klęczał i leżał krzyżem przed ołtarzem, modlił się i czekał, aż przyjdą po niego. Godzina jego nadeszła i przyjął ją świadomie wraz z tym wszystkim, co miało nastąpić. O godz. 22.00 płonęły już pierwsze domy w Okopach, Dołhani i Borowskich Budkach podpalane przez bandy ukraińskie. Ludzie szukając schronienia, uciekali do lasu. Jeśli kogoś napotkano żywego, musiał zginąć. Ginęli mężczyźni, kobiety i dzieci. Owej nocy tylko w Okopach zostało zamordowanych około kilkadziesiąt, może nawet 50 osób. Rabowany dobytek był ładowany na wozy. Żołnierze Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA) wtargnęli do kościoła w Okopach. Dopadali go na stopniach ołtarza i od pierwszych chwil zaczęli się znęcać nad bezbronnym proboszczem. Wstawiły się za nim dwie kobiety również przebywające w kościele; 18-letnia Weronika Kozińska i 90-letnia Łucja Skurzyńska. Obie na miejscu zostały zamordowane.

Na stopniach ołtarza pozostała po proboszczu zakrwawiona koloratka, a na podłodze, jak rozsypane ziarno, leżały guziki jego sutanny. Przed drzwiami kościoła leżały wiązki słomy, którą chciano podpalić kościół. Błagalne prośby ks. Wrodarczyka odprowadziły od złych zamiarów banderowców i kościół ocalał. Bandyci nie omieszkali jednak obrabować kościoła. Splądrowali i ograbili zakrystię. Włamali się do tabernakulum i sprofa-

eprasa.pl 3fb0395e21

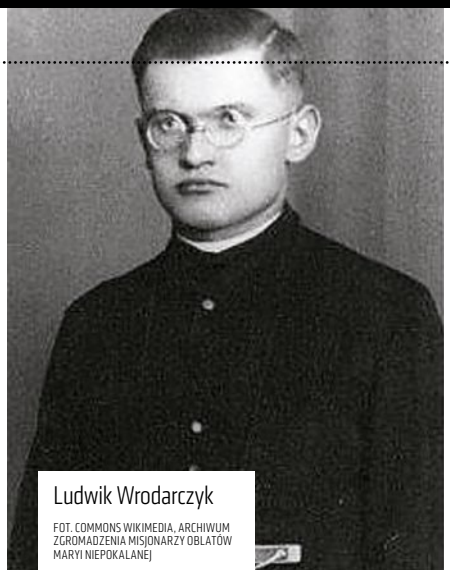

Ludwik Wrodarczyk

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ARCHIWUM ZGROMADZENIA MISJONARZY OBLATÓW MARYI NIEPOKALANEJ

nowali ołtarz. Jeszcze następnego dnia ludzie zbierali na podłodze rozsypane komunikanty" (parafia w Radzionkowie). Ksiądz Wrodarczyk został uprowadzony przez banderowców i zamordowany, prawdopodobnie po wymyślnych torturach, a jego szczątków, pomimo poszukiwań, nie udało się odnaleźć.

Męczennikiem z kresów i kandydatem na ołtarze jest także ks. Stanisław Szulmiński, pallotyn. Urodził się w Odessie, wstąpił do seminarium w Żytomierzu, a gdy miasto to znalazło się po traktacie ryskim w granicach Rosji sowieckiej, wyjechał do Polski. Był profesorem teologii orientalnej. Jesienią 1939 r. został aresztowany przez NKWD w Nowogródku. Oskarżono go, jak każdego duchownego katolickiego, o to, że jest „szpiegiem watykańskim", i skazano na pięć lat łagru.

„Ks. Szulmiński jako więzień miał swoją motywację. Ciężką pracę, głód, poniżenie uważał za pokutę i ofiarę, którą składał Bogu w intencji pojednania prawosławia z Kościołem katolickim – pisał ks. Henryk Kietliński. – Heroicznie służył więźniom, starał się o ich uwolnienie, potajemnie spowiadał, odprawiał msze święte, podnosił na duchu, był dla wszystkich dobrym samarytaninem". Po podpisaniu układu Sikorski-Majski ks. Szulmiński mógł opuścić łagier. Pozostał jednak w nim dobrowolnie, chcąc nadal służyć pociechą i opieką duchową dla tych, którzy musieli pozostać za drutami. Zmarł z wycieńczenia pod koniec 1941 r.

Współczesną męczennicą jest Helena Kmieć, absolwentka Politechniki Śląskiej, działająca w duszpasterstwie akademickim, zaangażowana w Wolontariat Misyjny Salvator w Trzebini, następnie misjonarka w Zambii, gdzie pracowała z „dziećmi ulicy", oraz w Boliwii. Do tego drugiego kraju wyjechała, by pomagać polskim zakonnicom (służebniczkom dębickim) w prowadzeniu ochronki dla dzieci w miejscowości Cochabamba. Miał to być jej ostatni wyjazd na misję, po powrocie zamierzała się zaręczyć. Kilkanaście dni po przyjeździe do Boliwii, w styczniu 2017 r., została zamordowana podczas napadu na tę placówkę, krótko przed swoimi 26. urodzinami. Jej ciało sprowadzono do Polski; została pochowana w Libiążu. W 2024 r. rozpoczął się jej proces beatyfikacyjny.

Opieka nad trędowatymi

Za granicą pracowali także kandydaci na ołtarze – ks. Marian Żelazek oraz lekarka Wanda Błeńska, idąc śladami jezuity, bł. Jana Beyzyma (zm. 1912 r.), który opiekował się przez wiele lat na Madagaskarze trędowatymi i wybudował dla nich szpital. Marian Żelazek na początku drugiej wojny światowej złożył śluby zakonne u werbistów, w 1940 r. został aresztowany przez Niemców i wywieziony do obozu Auschwitz. Od 1950 r. pracował na misji w Indiach, zajmował się trędowatymi w leprozorium w Puri nad Zatoką Bengalską i tam też zmarł w 2006 r. Cztery lata wcześniej został zgłoszony do Pokojowej Nagrody Nobla przez katolicki Ruch Solidarności z Ubogimi Trzeciego Świata „Maitri".

„Przez te lata i kolejne pobyty obserwowałam, jak zmieniało się życie mieszkańców wioski – wspominała lekarka Anna Tarajkowska – jak powoli następowała integracja tych biednych chorych i izolowanych do tej pory ludzi z mieszkańcami miasta. Hodowane kurczaki już nie były »trędowate« jak na początku i restauracje je kupowały, inne produkty wyrabiane przez podopiecznych Ojca – jak sznurki, torby, wycieraczki orzechy kokosowe – już miały zbyt w mieście i zapewniały zarobek. Najważniejsze jednak było to, że działalność Ojca Mariana przywracała im człowieczeństwo i już nie byli »niedotykalni«. I to było największe dzieło Ojca, którego mieszkańcy wioski nigdy nie zapomną i czczą Jego pamięć, już uznając Go za świętego („Medicus Mundi Polonia", listopad 2015 r., kwiecień 2016 r., nr. 53–54). Proces beatyfikacyjny ks. Żelazka toczy się w Indiach.

Wanda Błeńska, wybitna specjalistka w leczeniu trądu, w 1934 r. ukończyła studia medyczne i podjęła pracę w szpitalu. Podczas drugiej wojny światowej wstąpiła w szeregi AK i Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski". Z powodu tej działalności została aresztowana przez Niemców, ale szczęśliwie udało się ją wykupić. Po ukończeniu kursu medycyny tropikalnej od 1950 r. przez ponad cztery dekady pracowała w ośrodku leczenia trądu w miejscowości Buluba w Ugandzie, a przez ponad 30 lat była tam głównym lekarzem.

Wykładała na uniwersytecie w Kampali. Nazywano ją „Matką trędowatych". Odbierając medal Benemerenti z rąk Jana Pawła II, powiedziała: „Mówi się tyle o moim poświęceniu, ale co to za poświęcenie, skoro to, co czynię, jest właściwie spełnieniem marzeń mojego życia [...]. Usuwamy głazy cierpienia, zapalamy promyk nadziei. Może przez naszą pracę prostujemy ścieżki do Pana? W Bulubie nie nawracamy innowierców. Oni patrzą na nasze życie, patrzą na nasze zachowanie. To ich zachęca. Niektórzy mówią,

Helena Kmieć

FOT. FUNDACJA IM. HELENY KMIEĆ

że trzeba nam się bliżej przypatrzeć, ale są tacy, których odstręczamy, bo nie jesteśmy dla nich wystarczająco dobrzy [...]. Potrzebujemy modlitwy. Lekarstwa leczą chorobę, ale nie leczą chorego. Nasi chorzy zdrowieją dzięki troskliwej pielęgnacji. Nie wiem, ilu chorych wyleczyłam lekarstwami, ilu pielęgnacją, a ilu modlitwą" (misyjne.pl). Proces beatyfikacyjny lekarki rozpoczął się w 2020 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3fb0395e21

Kadr z filmu „Królowa wojownik" Giny Prince-Bythewood

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Film a prawda historyczna / Dahomejskie amazonki

Wokeistowska królowa wojownik

Jakub Ostromęcki

W tym filmie niemal wszystko jest na opak, na czele z kwestią handlu niewolnikami na Czarnym Lądzie. Nie mogło jednak być inaczej, jeżeli twórcy tego obrazu chcieli się wpasować w oczekiwania specyficznej widowni

W maju 2020 r. przez USA przetoczyła się fala zamieszek, których motywem przewodnim było oskarżanie amerykańskich instytucji o „systemowy rasizm". Przyczyną chaosu była głośna śmierć George'a Floyda, który zginął podczas policyjnej interwencji. Tłum szybko zaczął atakować pomniki amerykańskich bohaterów narodowych, a poza wzywaniem do zwalczania spuścizny kolonializmu pojawiły się też hasła nawołujące do obalenia patriarchatu. Wkrótce na ławie oskarżonych zasiadła cała zachodnia cywilizacja.

Ulicy wtórował show-biznes. W apogeum tej histerii na ekrany kin weszła „Królowa wojownik" Giny Prince-Bythewood, do której scenariusz napisała Dana Stevens. Reżyserka, której ulubionym toposem są silne czarne kobiety, nie mogła lepiej trafić w nastroje społeczne. Film jest swego rodzaju „biblią" wokeizmu. W uniwersum Bythewood i Stevens za niewolnictwo odpowiadają głównie biali, jego zniesienie postulują czarne, świetnie wyszkolone w walce wręcz kobiety, a królestwo Dahomeju (państwo istniejące od XVII do początku XX w. na obszarze dzisiejszego Beninu), którego są zbrojną podporą, idzie na wojnę tylko w samoobronie. Niewolników państwo to, a i owszem, posiada, ale tylko takich, którzy wcześniej dopuścili się napaści. Czyli na temat dziejów tej części Afryki twórcy filmu ordynarnie wręcz kłamią.

Od ochroniarek do żołnierek

Lata 20. XIX stulecia. Wojowniczki Dahomeju atakują obozowisko swoich wrogów, rozprawiają się z nimi w krwawej walce, odbijając przebywające tam niewolnice, po czym wracają triumfalnie do swojej stolicy, gdzie rządzi sprawiedliwy i mądry Ghezo. Prawdą jest, że jedną trzecią armii Królestwa Dahomeju w XIX w. stanowiły kobiety i że złożone z nich jednostki miały, jak na warunki lokalne, dużą wartość bojową. Na tym jednak zgodność filmu z tym, co wiemy o owych amazonkach, się kończy. A wiemy przecież od europejskich podróżników, dyplomatów i oficerów całkiem sporo.

Pierwotnie amazonki Dahomeju były osobistą ochroną króla. Kobiety uzbrojone w muszkiety strzegły tam komnat i tronu w czasie audiencji. Król Agaja mówił w 1726 r.: „Żaden mężczyzna, oprócz mnie, nie śmie spać w ścianach moich pałaców po zachodzie słońca". Kobiety miały zapobiec jego obaleniu przez innych mężczyzn. Nie były przy tym związane z żadną frakcją lub dominującym możnym rodem Dahomeju.

eprasa.pl 3fb0395e21

Początkowo ochrona liczyła kilkaset wojowniczek podzielonych na cztery–pięć kompanii, każda od 45 do 100 kobiet w wieku ok. 16–17 lat. Brały one udział w przewrotach pałacowych i w walkach o władzę między pretendentami do tronu, ale jeszcze nie w bitwach. W 1774 r., po śmierci króla Tegbesu, miało ich zginąć 285, a w 1789 r., gdy dla odmiany z życiem rozstawał się król Kpengla, aż 595. Anarchia po śmierci władcy była więc dla Dahomejczyków czymś naturalnym.

Królem, który uczynił z ochroniarek żołnierki, był Ghezo. Stało się to najwcześniej w latach 40. XIX w., gdy amazonki zdobyły niezidentyfikowaną wioskę po tym, jak atakujący ją wcześniej dahomejscy mężczyźni zostali pokonani przez obrońców. Zaraz potem amazonki uczestniczyły w podboju ludu Mahi.

Armia Dahomeju podzielona była na cztery hufce: prawe skrzydło, centrum, lewe skrzydło i ariergarda. Każdy dowodzony był przez zaufanego szefa plemiennego. Prawym skrzydłem dowodził Mogan i jego zastępca Gau, lewym Mehu i jego zastępca Posu. Do każdego hufca dołączano amazonki, co – wbrew filmowi – oznaczało, że opuszczając pałac, nie tworzyły odrębnej jednostki taktycznej. Męscy dowódcy mieli obok siebie stojące na czele wojowniczek „matki". Kobiece dublowanie dowodzenia spowodowane było tym, że król nie ufał swoim plemiennym wodzom. Nie świadczy to dobrze o jakości dahomejskich instytucji.

Przyczyn postępującej militaryzacji kobiet szukać należy w demografii – dahomejscy mężczyźni ginęli masowo w plemiennych wojnach z sąsiadami. Rację ma więc filmowy władca państwa Oyo, brutalny i arogancki ciemiężyciel Dahomeju, szydząc ze swoich wiarołomnych wasali, że w muszą uciekać się do rekrutowania kobiet. W filmie jego postać jest jednak przedstawiona tak skrajnie negatywnie, że każde jego słowo widz odbiera jako kłamstwo.

Strzały z barku

W latach 40. i 50. XIX w. kobieca formacja mogła liczyć nawet 8 tys. wojowniczek i stanowiła jedną trzecią armii. Brytyjczycy i Francuzi wysoko je oceniali. „Ich wygląd jest bardziej bojowy, a gdybym podejmował się prowadzenia kampanii dla tego kraju, preferowałbym kobiety nad mężczyzn" – pisał w 1845 r. brytyjski oficer i podróżnik John Duncan. Komandor Arthur Wilmot w 1863 r. komentował: „Przewyższają mężczyzn na każdym kroku, w wyglądzie, ubraniu, postawie, aktywności, żołnierskim zachowaniu, w odwadze". Brytyjski konsul i zarazem pionier antropologii Richard Burton zauważył, że dahomejskie kobiety strzelają z barku, co pomaga w celności, a mężczyźni z biodra. Francuzi obliczyli, że w 1890 r. amazonki przeładowywały broń w mniej niż 30 sekund, a mężczyźni w 50. Konkluzja Burtona była jednak miażdżąca dla całej armii Dahomeju: „Kobiety walczą tu słabo, ale mężczyźni jeszcze gorzej".

Bitwa stoczona w 1851 r. o leżące w państwie Joruba miasto Abeokuta była jednak dla Dahomeju straszną klęską, a obecność kobiet zadziałała tu mobilizująco na wroga. Gdy bowiem obrońcy Abeokuty odkryli, że walczą przeciwko kobietom, podwoili swoje wysiłki, bojąc się upokorzenia. Podobno zginęły wtedy 2 tys. amazonek. W 1864 r. król Glele znów próbował zaatakować Abeokutę i kolejny raz Dahomej poniósł klęskę.

Gezo, król Dahomeju

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Następnie przyszły zmagania z Francją. W 1890 r., według oficerów Legii Cudzoziemskiej, z liczącej niegdyś 8 tys. wojowniczek jednostki zostało 2,5 tys. kobiet.

Filmowe amazonki walczą głównie wręcz, nie gorzej niż wojownicy ninja lub mnisi biegli w sztuce kung-fu. W ruch idą włócznie, oszczepy, kordelasy, noże, sznury zakończone grotami, a także pięści. Nie walczą w szyku, lecz dążą do indywidualnych pojedynków. Jest to bardzo daleko posunięta filmowa heroizacja.

Świadectw sposobów walki dahomejskich amazonek mamy całkiem sporo. Jedno z nich pochodzi nawet z XX w. w postaci opisu zachowania pewnej staruszki, która służyła niegdyś w kobiecej formacji i co jakiś czas – ni stąd, ni zowąd – ogarnięta bojowym szałem odtwarzała dawne odruchy. Ulubioną bronią zarówno wojowniczych Dahomejek, jak i całej amii był muszkiet, a potem karabin (nie broń biała, choć ona również była na wyposażeniu), co wymuszało walkę w szyku. Kordelas noszony stale u boku służył do dobijania rannych lub egzekucji jeńców.

Armia niewolników

Do połowy XIX w., a więc w okresie, gdy toczy się akcja filmu, armia Dahomeju, zarówno komponent męski, jak i żeński, rekrutowana była z jeńców pochwyconych w wojnach z innymi plemionami jeszcze jako dzieci lub młodzieńcy. Film natomiast stara się wytworzyć wrażenie, że w kobiecej formacji mamy do czynienia ze swoistym autoramentem narodowym. Frederick Forbes, brytyjski oficer marynarki, który nieraz bywał w Dahomeju, w 1850 r. stwierdził, że oficerami w armii Dahomeju byli miejscowi, żołnierze natomiast to cudzoziemcy – jeńcy lub kupieni niewolnicy. Na czterech pochwyconych do niewoli żołnierzy Dahomeju po klęsce pod Abeokuta tylko jeden był urodzony w Dahomeju.

To, jak bardzo kobiety jeńcy zrastały się z nową społecznością, pokazuje następująca historia. W 1851 r. pokonane dahomejskie amazonki były trzymane dla okupu w mieście Ketu należącym

eprasa.pl 3fb0395e21

do ludu Joruba. Jedną z nich była urodzona w Ketu kobieta, porwana przez Dahomej, gdy była dziewczynką. Jej rodzice chcieli ją odkupić, ale ona uparła się, że chce wracać do porywaczy. Najstarsza żyjąca jeszcze w 1920 r. amazonka również pochodziła z Ketu i została pochwycona przez Dahomej w 1858 r.

Kobiety jeńcy adaptowały się do nowej sytuacji lepiej niż mężczyźni. Były wszak uprzywilejowane jako królewskie żony, na które nie wolno było nawet spojrzeć. Musiało to budować specyficzny esprit de corps. Inne było też szkolenie kobiet. Trwało od najmłodszych lat, w systemie koszarowym, i było bardziej brutalne od męskiego. Zdobywanie fikcyjnej wioski podczas święta Xwetanu polegało na przedzieraniu się przez zasieki ułożone z kłujących cierni. Kobiety, które najlepiej znosiły ból i najbardziej zajadle wdzierały się w rwące ciało krzaki, były przez monarchę nagradzane.

W 1858 r. kobieca gwardia rekrutowała się już z miejscowych kobiet, córek wodzów zabranych do wojska w wieku ośmiu lat. Jednak wbrew filmowi córki nie trafiały do wojska za karę. Ich służba była zaszczytem. W kamasze za karę mogły trafić natomiast dahomejskie żony, przykładowo za to, że denerwowały swoich mężów lub ich zdradzały.

Jednym z niewielu wątków filmu Bythewood, które są zgodne z historią, jest ustrój Dahomeju. Faktycznie nie była to monarchia absolutna. Co roku w czasie święta Xwetanu, podczas którego upamiętniano czyny zmarłych władców, zbierała się Wielka Rada, rekomendująca królowi najważniejsze kroki w polityce międzynarodowej. Z każdego zakątka królestwa przybywali dygnitarze w otoczeniu zbrojnej świty. Obrady potrafiły przeciągnąć się nawet do miesiąca. Rada podzielona była na trzy sekcje. W pierwszej, liczącej 20–30 dostojników, zasiadali ministrowie, dowódcy wojskowi i najbogatsi handlarze niewolników, z reguły kreolskiego pochodzenia. Każdy z nich był na tyle bogaty, by przyprowadzić królowi kontyngent liczący od 50 do 300 żołnierzy.

Następna grupa liczyła 50–80 ludzi i składała się z kupców i urzędników średniego szczebla. Każdy z nich przyprowadzał od 10 do 50 żołnierzy. Najwięcej członków, bo aż kilkuset, liczyła grupa złożona z głów rodów, których stać było na wyekwipowanie jedynie samych siebie. W jej skład wchodziły również amazonki. Nie było to jednak podyktowane żadną „polityką równościową", ale faktem, że wojowniczki były swojemu władcy ślepo oddane i w razie tumultu mógł on liczyć na ich wsparcie. Dla kobiet spoza armii miejsca w polityce nie było. O tym, że w Dahomeju nie było równouprawnienia, świadczy też podzielane powszechnie przekonanie, iż prostytutki zobowiązane są do służenia mężczyznom (kobiety lekkich obyczajów, obok amazonek, również mieszkały w pałacu króla).

Prawdziwa Nanisca

Dahomejskimi wojowniczkami dowodzi Nanisca. To postać prawdziwa, choć żyjąca kilkanaście lat później, niż sugerują to twórcy filmu. W filmie jest ona surowa, ale sprawiedliwa, i dobrze dba o swoje podkomendne. Do tego jest wielką humanistką i prekursorką ochrony praw człowieka. Kilkukrotnie moralizuje, zachęcając Ghezo do rezygnacji z wypraw niewolniczych i przestawienia się na pokojową produkcję przetworów rolnych. Wzorem współczesnych liderów państw afrykańskich zrzuca całe zło niewolnictwa na Europejczyków. Nanisca identyfikuje się jako Afrykanka, twierdząc, że wszyscy nieszczęśnicy sprzedani do Ameryki jako niewolnicy „są przecież nasi". W filmie handlarzami niewolników są w zdecydowanej większości biali.

Seh-Dong-Hong-Beh, zwierzchnik amazonek FOT. COMMONS WIKIMEDIA, FREDERICK FORBES

Wątek ten jest największą bzdurą historyczną filmu. Do lat 40. XIX w. większość dochodu narodowego Dahomeju pochodziła ze sprzedaży niewolników. Rajdy po żywy towar organizowano tu co roku, wybierając oczywiście słabszych sąsiadów. Koncepcja, według której Dahomej chwytał w niewolę tylko tych, którzy sami na niego najeżdżali, jest wyssana z palca.

Inna sprawa, że wbrew modnemu dziś przekazowi to nie Afryka zwalczyła niewolnictwo, ale mocarstwa europejskie. To ich zakazy spowodowały, że lokalni kacykowie zmuszeni zostali do przestawienia się na gospodarkę pokojową. W latach 40. XIX w. Brytyjczycy zorganizowali w rejonie Dahomeju blokadę morską mającą ukrócić handel żywym towarem. Głównym towarem eksportowym Dahomeju stał się wtedy olej palmowy.

W czasach, w których rozgrywa się akcja filmu, europejscy handlarze niewolników znikali już z dahomejskiego wybrzeża. Ich miejsce zajmowali brazylijscy Kreole. Pododdziały amazonek były również obecne w ich orszakach. W czasie głosowań w Wielkiej Radzie Dahomeju gorąco im przyklaskiwały, nie wyobrażając sobie życia bez łowienia niewolników. Zdobywanie fikcyjnej wioski podczas pokazów sprawności bojowej było właśnie ćwiczeniem takiego

Flaga Dahomeju za panowania króla Gezo FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl 3fb0395e21

rajdu. Później, w latach 40. i 50. XIX w., amazonki na Wielkiej Radzie faktycznie głosowały przeciw zaborczym wojnom na wielką skalę. Nie kierowały się jednak pacyfizmem. Wolały po prostu zdobycz łatwiejszą, ale pewniejszą. Za czasów Ghezo wojowniczki mawiały wszak: „Wojna to nasz najlepszy przyjaciel. Bez niej nie byłoby ubrań ani bransoletek".

O tym, jak bardzo zafałszowane są postacie Ghezo i Naniski, przekonują relacje na temat specyficznych obyczajów politycznych Wielkiej Rady. W czasie obrad król demonstrował swoje bogactwo z wysokiej antresoli, rzucając w tłum ubrania, ozdoby i zabitych niewolników, których wcześniej zamordował osobiście lub zrobił to za niego jeden z ministrów. Co jednak zwykłemu zjadaczowi chleba po zabitym niewolniku? W przekonaniu dahomejskiego ludu obfitość niewolników i łupów nie miała jedynie zapewnić ziemskiego dobrobytu całemu królestwu, ale także obłaskawić duchy przodków. Pokazywała, że duchy wspierają króla.

W filmie testem sprawności bojowej młodej wojowniczki jest zadanie polegające na obcięciu kordelasem głowy słomianego manekina. W rzeczywistości w tym celu posługiwano się żywym i skrępowanym jeńcem lub niewolnikiem, któremu kadetka ścinała głowę ku uciesze reszty oddziału. W dobrym tonie było oblizanie skrwawionej broni. Francuski poseł w 1889 r. był świadkiem takiej ceremonii i zanotował imię kadetki – Nanisca. Pierwowzór filmowej pani generał był więc dużo mniej sympatyczny od wersji hollywoodzkiej.

Amazonki dahomejskie podczas pobytu w Paryżu w 1891 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, COLLECTIE STICHTING NATIONAAL MUSEUM VAN WERELDCULTUREN

„Byłyśmy kobietami"

Filmowe wojowniczki, choć wyszkolone po męsku, myślą na wzór współczesnych kobiet. A właściwie myślą tak, jak ruch feministyczny życzyłby sobie, aby kobiety myślały. To kolejne nieporozumienie. Amazonki Dahomeju były społecznością pełną sprzeczności. Co do zasady żyły w celibacie. Każda z wojowniczek musiała jednocześnie pamiętać, że jest Królewską Żoną i częścią jego haremu. Te bardziej urodziwe gościły w królewskim łożu na każde żądanie władcy. Przez cały czas istnienia tej formacji nie widać było wśród nich najmniejszego śladu niezadowolenia z tego stanu rzeczy. Wojowniczka lądująca w królewskiej alkowie była natychmiast zdemobilizowana. Bywało jednak, że niektóre potajemnie uprawiały seks poza haremem. Było to surowo karane. W 1864 r. odkryto, że aż 150 wojowniczek jest w ciąży. Ośmiu kochanków skazano na śmierć, resztę na przesiedlenie. Nie wiadomo, co się stało z ciężarnymi kobietami. Haremowy wątek został w filmie całkowicie pominięty.

Forbes pisał, że amazonki „gardziły miękkim wdziękiem kobiecości". Wszelką zmysłowość tępiono wśród nich do takiego stopnia, że zmuszano je do usunięcia łechtaczki, co miało podobno okiełznać seksualność i niestałość uczuć, a popęd miłosny przekuć w żądzę wojowania. „Reżim, w którym żyją, bez wątpienia wzmaga ich zajadłość w walce" – pisał dalej Brytyjczyk. Amazonki do swojej płci miały faktycznie stosunek zgoła pogardliwy. Obrzęd wojennej inicjacji polegał u nich na zastrzeleniu wroga – dowolnej płci – i wypatroszeniu jego wnętrzności. Starsze towarzyszki mówiły wtedy do rekrutki: „Nie jesteś już kobietą, jesteś mężczyzną". Stwierdzenie to było wyrazem najwyższego uznania. Podobne podejście prezentowały ich pieśni, gdzie pokonani wrogowie nazywani są „babami, które powinny zająć się pieleniem grządek", a prawdziwym wzorem męstwa są Królewskie Żony. Na tchórzy mawiano, że zachowali się jak kobiety. „Maszerowałyśmy przeciw Atahpahma jak przeciw mężczyznom, ale okazali się oni kobietami" – wspominała jedna z weteranek. Trofeum zdobywanym w tej części Afryki, oprócz żuchw wyrwanych z ciał pokonanych wrogów, były skalpy. Nosiły je również amazonki.

Z ich mott, haseł i powiedzonek wyziera bezgraniczne oddanie dla króla: „Ghezo urodził nas ponownie, jesteśmy jego żonami, córkami, żołnierzami i sandałami"; „Byłyśmy kobietami, teraz jesteśmy mężczyznami"; „Tak jak kowal bierze sztabę i za pomocą ognia zmienia jej kształt, tak my zmieniłyśmy swą naturę". Na polu walki, wbrew temu, co pokazuje Bythewood, trudno było odróżnić amazonki od mężczyzn. Do tego stopnia, że podczas przegranej przez Dahomej bitwy o Abeokuta, gdy przeciwnicy zamierzali zgodnie z miejscowym obyczajem wykastrować zwłoki jednego z pokonanych, dopiero zdarłszy jego szaty odkryli, że to kobieta.

W latach 80. XIX w. wybrzeże tej części Afryki spenetrowane było już przez Francuzów. W 1889 r. do jednej z wiosek nad Atlantykiem, nad którą powiewała trzykolorowa flaga, przybył oddział armii Dahomeju z żądaniem poddania się. Naczelnik wioski ufny w ochronną moc Francji kazał im iść precz. Został natychmiast pochwycony, a jedna z wojowniczek kordelasem odcięła mu głowę, zawijając ją kpiąco we francuski sztandar. Na odpowiedź Francji nie trzeba było długo czekać. W toku dwóch wojen armia Dahomeju została zdziesiątkowana, a oddziały amazonek niemal unicestwione.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3fb0395e21

XX w. / Dramat na rajskiej wyspie

Skradzione dzieci Reunionu

Sierociniec dla dzieci z Reunionu w Quezac, centralna Francja, 1965 r. FOT. COLLECTION JEAN-CHARLES PITOU/AFP/EAST NEWS

Anna Szczepańska

To jeden z najbardziej haniebnych epizodów w dziejach Francji. I jeden z najbardziej zapomnianych

Dwunastoletni Jean-Pierre Gosse w 1964 r. mieszkał w slumsach Sainte-Clotilde niedaleko stolicy Reunionu, Saint-Denis. Aby pomóc swojej samotnej matce, zbierał miedź i szkło z wysypiska śmieci. Pewnego dnia podeszło do niego dwóch pracowników socjalnych z paczką pod pachą. Musieli obserwować go od jakiegoś czasu. Wręczyli mu dwie plastikowe ciężarówki i cztery kostki cukru – były to podarunki dla niego i jego młodszego brata. „O której wraca twoja mama? Co robi twój tata? Gdzie śpisz?" – zaczęli wypytywać. Chłopiec zaprowadził ich do domu. W chacie panowały spartańskie warunki: lampa naftowa, piecyk, dwa łóżka. „To nie był czterogwiazdkowy hotel" – wspominał po latach Jean-Pierre. Pracownicy wrócili w niedługim czasie i zasugerowali matce, żeby wysłała go na obóz letni. Te słowa zabrzmiały w uszach czarnoskórej kobiety jak „prawdziwe wakacje dla małych białych dzieciaków". Pozwoliła więc na wyjazd Jeana-Pierre'a. Nie było jednak żadnego obozu. Chłopak trafił do domu dziecka, a stamtąd do centralnej Francji. Swojej rodziny więcej już nie zobaczył.

Mieszkająca niedaleko Tulonu Sylvie pamięta ze swojego życia na Reunionie bardzo niewiele. Wie, że gdy miała cztery lata, na jej matkę doniosła nowa żona jej ojca. Sylvie i jej brat zostali zabrani z domu z powodu biedy. Ostatnią rzeczą, którą Sylvie pamięta z Reunionu, był płacz matki błagającej pracowników placówki, gdzie umieszczono jej dzieci, aby mogła się z nimi zobaczyć. Bezskutecznie. „Odmówili jej, bo… nie miała pracy. To był tylko pretekst. Niektórym matkom odbierano dzieci jedynie dlatego, że paliły papierosy" – wspomina Sylvie, która dopiero po latach pojęła, co się wtedy stało. Niedługo ona sama i jej roczny brat trafili na pokład samolotu, którym wylecieli do Francji. Rodzeństwo nigdy więcej nie ujrzało mamy. Był rok 1971.

Takich historii reuniońskich dzieci są setki. Pracownicy socjalni raz po raz znajdowali nowe powody, aby odbierać dzieci rodzicom; czasem siłą, a innym razem wykorzystując ich ufność, prostolinijność, a także analfabetyzm, manipulując przy tym ich emocjami. „To będzie dla pana dziecka najlepsze", „Czy nie chce pani, aby dziecko skończyło studia?", „Syn ma szansę zostać prawnikiem, pilotem, lekarzem. Czy to nie wspaniała perspektywa?". Który rzodzic odpowiedziałby na takie pytania przecząco? Ludzie

eprasa.pl 3fb0395e21

zgadzali się na wyjazd dzieci, dostawali coś do podpisu i… więcej swoich dzieci już nie widzieli.

Dla małych Reuniończyków był to w większości przypadków początek wielkiej udręki. Gdy dzieci opuszczały rodzinny dom, stawały się już tylko dziewczyną lub chłopakiem „o ciemnej karnacji", „Kreolem", „czarnym". Właściwie nikomu nie zależało na ich szczęściu, a chodziło tylko o to, żeby zabrać ich z wyspy. Nie silono się nawet na szukanie wiarygodnych powodów. W formularze wpisywano często zdawkowe, podobne do siebie formułki. Pochodzenie dziecka? „Wątpliwe". Matka? „Nieciekawa". Ojciec? „Pozbawiony poczucia odpowiedzialności". Dieta? „Mało zbilansowana".

„Czym zasłużyliśmy na taki los? Nie byliśmy bandytami ani przestępcami. Po prostu byliśmy dziećmi, które władze postanowiły odebrać kochającym nas rodzinom" – mówił starszy już mężczyzna, Michel Calteau, mieszkający we francuskim Limoges, który został wywieziony z Reunionu w 1958 r.

Trudny raj

Reunion to wyspa na Oceanie Indyjskim, leżąca 700 km na wschód od Madagaskaru. Niegdyś była to francuska kolonia, natomiast od 1946 r. jest to zamorski departament Republiki Francuskiej ze stolicą w Saint-Denis, liczący niecały milion mieszkańców.

Od lat 50. XX w. Reunion boryka się z licznymi problemami. Krótko po drugiej wojnie światowej na wyspie panowało bardzo wysokie bezrobocie, a większość ludzi żyła w biedzie. Boom demograficzny, który po 1945 r. wybuchł w wielu krajach na świecie, dotarł także tu. I zdawał się nie mieć końca. Dzieci wciąż przybywało, co rodziło problemy dla władz departamentu. Dla młodych brakowało zatrudnienia, a wielopokoleniowe rodziny żyły w slumsach, co zresztą pogarszało wizerunek wyspy, która chciała czerpać dochody z turystyki.

W 1963 r. na Reunionie pojawił się były premier Francji, Michel Debré, który rok wcześniej bezskutecznie ubiegał się o mandat posła do Zgromadzenia Narodowego. Po porażce na kontynencie Debré postanowił poszukać wyborców w departamencie zamorskim. Z powodzeniem. Znany polityk w krótkim czasie zjednał sobie sporą część wyborców, marginalizując jednocześnie rosnące w siłę lewicowe ugrupowania. Rok później został przedstawicielem Reunionu we francuskim parlamencie i był nim przez kilka kadencji, do roku 1988.

Na Reunionie zwano go „Papą", wierząc, że jego duże doświadczenie pomoże wyspie wydostać się z gospodarczej zapaści. Debré miał w końcu bogate CV: w czasie drugiej wojny światowej działał w ruchu oporu, należał do środowiska związanego z Charles'em de Gaulle'em, był ministrem sprawiedliwości, jednym z głównych twórców konstytucji V Republiki, a potem premierem Francji. Choć dzielił swój czas na pracę na Reunionie i w metropolii, to faktycznie zajmował się sprawami wyspy. Jednym z jego najważniejszych pomysłów było wprowadzenie powszechnej edukacji dla dzieci. Zabiegał też, aby młodzi nie kończyli szkoły zaraz po opanowaniu umiejętności czytania i pisania – z jego inicjatywy na całej wyspie zaczęły powstawać szkoły średnie, gdzie młodzież kontynuowała naukę.

Debré realizował jednak inne swoje pomysły, przez co zapisał się w historii Reunionu z dużo mniej szlachetnych powodów. W 1963 r. założył BUMIDOM (Biuro do spraw Rozwoju Migracji w Departamentach Zamorskich). Debré stwierdził, że skoro na Reunionie przyrost naturalny był zbyt duży i brakowało tam pracy, a we Francji wskaźnik urodzeń wyhamował i trudno było znaleźć nie pracę, lecz osoby, które będą ją wykonywać, to najlepszym rozwiązaniem będzie przeniesienie „nadwyżki" ludzi z Reunionu do metropolii. Francuski rząd zaakceptował tę koncepcję, określając ją eufemistycznie jako „przeszczepienie" (fr. transplantation).

Początkowo relokacja miała obejmować tylko dorosłych Reuniończyków. Obiecywano im lepsze życie za oceanem, stałą pracę, dobre zarobki. Wiele osób zdecydowało się na wyjazd, nie widząc przed sobą perspektywy na wyspie. Program BUMIDOM miał jednak również drugie oblicze: relokację dzieci. W tamtym czasie nie uważano tego za coś godnego potępienia. Część francuskich polityków wyszła z założenia, że biedne dzieci mieszkające w złych warunkach tylko w metropolii dostaną szansę na lepsze życie. Inna rzecz, że była to zarazem korzyść dla wyludniających się departamentów centralnych, jak Creuse, Tarn i Lozère, z których po 1945 r. wyjechało wielu młodych ludzi.

Przy czym bez wątpienia wielu polityków czy pracowników socjalnych szczerze wierzyło, że asymilacja dzieci z Reunionu naprawdę jest możliwa. Nie prowadzono jeszcze wówczas

Dzieci z Reunionu

FOT. INA/FRANCE TÉLÉVISIONS

eprasa.pl 3fb0395e21

„Z Michelem Debrém dla naszej przyszłości"

FOT. INA/FRANCE TÉLÉVISIONS

zaawansowanych badań w zakresie psychologii dziecięcej i zapewne mało kto rozumiał, jak taka polityka może wpłynąć na dziecięcą psychikę.

Ukryte dramaty

Nawet jednak jeśli przez chwilę komuś w BUMIDOM przyświecały szczytne intencje, to rzeczywistość szybko zweryfikowała założenia tego programu. W ciągu kolejnych 20 lat z Reunionu wywieziono ok. 2 tys. dzieci.

Urzędnicy, którzy zajęli się „typowaniem" dzieci, nie mieli żadnych skrupułów. Celowali w, ich zdaniem, rodziny patologiczne, choć w praktyce wystarczało, że matka samotnie wychowywała dzieci, jedno z rodziców nie miało stałej pracy czy mieszkanie wyglądało na zbyt małe. Były to dostateczne powody, aby zachęcać rodziców do wyrażenia zgody na wyjazd potomka. Jeśli nie chcieli zrobić tego dobrowolnie, to odbierano dzieci siłą, a ich dokumenty później fałszowano. Dzieciom zmieniano nazwiska, imiona, miejsce czy rok urodzenia, aby rodzice nie byli w stanie ich później odszukać.

Przed wyjazdem rodziców zapewniano, że dziecko otrzyma w metropolii staranne wychowanie, zapisane zostanie do dobrej szkoły oraz że będzie wracać na Reunion w każde wakacje. To oczywiście nigdy nie miało miejsca. Gdy rodzice zaczynali pytać o swoje dzieci w różnych urzędach, nie byli w stanie niczego się dowiedzieć. Otrzymywali tylko zdawkowe informacje w rodzaju: „Dzieci są na razie zajęte, chodzą do szkoły, kiedy będą mogły, odwiedzą Reunion". W wielu przypadkach trwało to latami.

Wspomniana Sylvie, zabrana z domu, kiedy miała cztery lata, dowiedziała się dopiero po ponad 30 latach, że jej ojciec aż do swojej śmierci na początku lat dwutysięcznych poszukiwał jej, ale nie był w stanie wygrać z biurokracją. Nikt nie poinformował go, że państwo francuskie już dawno odebrało mu prawa rodzicielskie, stosując standardową procedurę: zmuszając (czy też skłaniając do tego poprzez manipulację) do podpisania „protokołów porzucenia", których rodzice z Reunionu nie potrafili zrozumieć, a niekiedy nawet przeczytać.

Francuski rząd (konkretnie Departament Zdrowia i Spraw Socjalnych DDASS) kierował dzieci przede wszystkim do wyludniającego się centrum kraju, w dużej mierze do departamentów Creuse, Tarn, Gers, Lozère i Pireneje Wschodnie. Po latach wszystkie dzieci wywiezione z Reunionu zaczęto nazywać zbiorczo „dziećmi z Creuse", ponieważ to tam trafiło ich najwięcej.

Książka jednego z dzieci wywiezionych z Reunionu. W tłumaczeniu na polski tytuł brzmi: „Skradzione dzieciństwo"

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Większość przesiedlonych dzieci przez kilka dekad nie znała w ogóle swojej przeszłości, nieodwracalnie straciła więzi rodzinne i nigdy więcej nie postawiła stopy na Reunionie. Pozbawiono tych ludzi nie tylko najbliższych, lecz także tożsamości oraz własnej historii. Kim bowiem byli we Francji? Na swojej wyspie, pełnej „kolorowych" ludzi mieszanego pochodzenia, nie istniało żadne szufladkowanie ze względu na kolor skóry (Reunion nie ma rdzennej ludności; wszyscy mieszkańcy to potomkowie francuskich kolonizatorów, afrykańskich niewolników oraz azjatyckich robotników sprowadzonych do pracy na plantacjach trzciny cukrowej). We Francji natomiast reunionskie dzieci bardzo szybko dostrzegły, że są wytykane palcami, ktoś usłyszał, że jest „czarnuchem", a kto inny dowiedział się, że jakaś rodzina go nie chce, bo „jest zbyt ciemnoskóry".

Po przyjeździe do metropolii dzieci trafiały najpierw do domów dziecka, a potem do adopcji. Bardzo rzadko zdarzało się jednak, aby francuskie rodziny brały małych Kreolczyków na wychowanie z dobroci serca. Chodziło przede wszystkim o „pozyskanie" darmowego pracownika. Gdy dziecko trafiało do nowego domu, zaraz musiało zabierać się do pracy, najczęściej na polu, w gospodarstwie i przy oprzątaniu zwierząt.

Gwoli sprawiedliwości trzeba zaznaczyć, że zdarzało się, iż mali Reunionczycy trafiali na dobrych ludzi, którzy wychowywali ich jak własne dzieci, w domach pełnych ciepła i miłości. Były to jednak pojedyncze przypadki. Najczęściej Kreolczycy spotykali się z szorstkim przyjęciem i byli traktowani przedmiotowo. Codziennością były znęcenie się, krzyki, bicie. Dochodziło też do molestowania seksualnego, szczególnie młodych dziewcząt.

Dzieci, które zabrano z Reunionu, gdy miały po kilka lat, zachowały co najwyżej strzępy wspomnień ze swojego „poprzedniego" życia. Niektóre nigdy nie poznały prawdy o swoim pochodzeniu, nie dowiedziały się, jak naprawdę się nazywały. Tylko części z nich udało się poznać prawdę. „Dzieci z Creuse" zaczynały poszukiwać swoich korzeni dopiero jako dorośli ludzie; pierwszym krokiem najczęściej było skontaktowanie się z ratuszem w stolicy Reunionu. Z powodu

eprasa.pl 3fb0395e21

upływu lat i wcześniejszego fałszowania danych trudno było im jednak uzyskać informacje, zwłaszcza na odległość. A wyjazd na Reunion był dla większości zainteresowanych nieosiągalny, gdyż koszty podróży były zbyt wysokie.

Tak było ze wspomnianą Sylvie. Kobieta dopiero w 1998 r. odkryła, że jej matka nigdy nie podpisała żadnego „aktu porzucenia". Gdy ostatecznie poznała prawdę, było to dla niej tak szokujące, że doprowadziło ją – dojrzałą już kobietę – do głębokiej depresji. Tylko dzięki wsparciu męża udało się jej pokonać dawne traumy, pojechać w końcu na Reunion i poznać swoje rodzeństwo. Nie wszyscy mieli jednak tyle szczęścia. Zdarzały się przypadki, że dorosłe „dzieci z Creuse", gdy poznały prawdę o swoim pochodzeniu, nie potrafiły poradzić sobie z szokiem: trafiały do szpitali psychiatrycznych, a nawet popełniały samobójstwa.

Reunion. Miejsce pamięci o wywiezionych dzieciach FOT. COMMONS WIKIMEDIA, TUX-MAN

Spóźniona ustawa

Potworna prawda o „dzieciach z Creuse" wyszła na jaw, gdy jedno z nich, dorosły już Jean-Jacques Martial, napisał pamiętnik „Une enfance volée" („Skradzione dzieciństwo"). W 2001 r., po odkryciu, że nadal ma rodzinę na Reunionie, Martial pozwał rząd za „porwania i pozbawianie wolności nieletnich, łapanki i deportacje", domagając się „symbolicznego" 1 mld euro rekompensaty.

Książka Martiala zwróciła uwagę opinii publicznej na ten zapomniany (czy raczej wyparty ze świadomości) epizod francuskiej historii. Jego zaangażowanie zachęciło również inne ofiary polityki „przeszczepień" do dochodzenia odszkodowania i informowania mediów o swojej historii. Wkrótce po publikacji tej książki ok. 50 osób zażądało odszkodowań od państwa francuskiego, jednak w latach 2006–2007 pozwy te zostały odrzucone. W 2011 r. Europejski Trybunał Praw Człowieka również oddalił wniesioną sprawę.

Francuskie instytucje przez długie lata nie przyznawały się do polityki, którą prowadzono względem reuniońskich dzieci. Dopiero na początku 2014 r. Zgromadzenie Narodowe przyjęło rezolucję „w sprawie dzieci z Reunionu, umieszczonych we Francji metropolitalnej w latach 60. i 70. XX w.". Dokument stwierdza, że „państwo nie wywiązało się z moralnej odpowiedzialności wobec podopiecznych" wywiezionych z wyspy, skłania do „pogłębiania i rozpowszechniania wiedzy historycznej na ten temat" oraz do „uczynienia wszystkiego, co możliwe, aby umożliwić ofiarom odtworzenie ich osobistej historii".

Dopiero w styczniu tego roku Zgromadzenie Narodowe Francji przyjęło projekt ustawy o reparacjach dla dzieci, które zostały siłą zabrane z wyspy Reunion

Przez ostatnie dwie dekady powstały liczne organizacje skupiające „dzieci z Creuse". Ich główne postulaty to uznanie „przeszczepienia" za przestępstwo przeciwko dzieciom, wypłata odszkodowań, sfinansowanie podróży na wyspę, dostęp do akt osobowych oraz repatriacja na Reunion ciał zmarłych ofiar.

W listopadzie 2017 r. prezydent Emmanuel Macron oficjalnie przyznał, że Francja ponosi za to winę. Pół roku później opublikowano długi raport pt. „Badanie dotyczące »przeszczepiania« nieletnich z wyspy Reunion do Francji". W wyniku przeprowadzonych badań ustalono, że liczba przesiedlonych do Francji dzieci wyniosła łącznie 2015 osób. A jednak mimo wielu słów i deklaracji Francja nie zrobiła prawie nic, aby zadośćuczynić tym krzywdom. Po 2017 r. ofiary miały zapewnione zaledwie bilety lotnicze i pokrycie kosztów kilkudniowego pobytu na Reunionie. W listopadzie 2019 r. organizacje skupiające „dzieci z Creuse" zażądały ostatecznego uwzględnienia ich postulatów, ale Ministerstwo do spraw Terytoriów Zamorskich ponownie opóźniało sprawę.

Dopiero w styczniu tego roku Zgromadzenie Narodowe Francji przyjęło projekt ustawy o reparacjach dla dzieci, które zostały siłą zabrane z wyspy Reunion. Parlamentarzyści jednogłośnie przyjęli projekt ustawy zakładającej powołanie komisji, która zajmie się upamiętnieniem tamtych wydarzeń, ustanowieniem narodowego dnia hołdu dla pokrzywdzonych (18 lutego) oraz wypłatą odszkodowań.

„Nie mamy mocy, by przywrócić tym ludziom dzieciństwo, ale mamy moc, aby zmierzyć się z historią" – powiedziała w trakcie przemówienia w Zgromadzeniu Narodowym parlamentarzystka Karine Lebon, zasiadająca w izbie z ramienia Reunionu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3fb0395e21

Oddział Horsta Wessela na paradzie w Norymberdze, 1929 r. FOT. BUNDESARCHIV

Lata 30. XX w. / Niemieccy komuniści mordują Horsta Wessela

Nazistowski „męczennik”

Arkadiusz Karbowiak

NSDAP uczyniła z tego mordu bardzo przydatny mit – Horst Wessel stał się kimś w rodzaju nazistowskiego „męczennika”. Ludzie, którzy brali udział w tym krwawym napadzie, szybko zostali okrutnie ukarani

Historia NSDAP przedstawiana jest głównie przez pryzmat zbrodni, które popełnili jej członkowie w okresie istnienia III Rzeszy. Warto jednak pamiętać, że partia narodowosocjalistyczna posiadała również swoich „męczenników”, którzy zginęli w różnych okolicznościach w okresie przed dojściem nazistów do władzy. Jednym z najbardziej znanych spośród nich był zamordowany przez komunistów Horst Wessel.

Jego rozpoznawalność była pokłosiem kampanii propagandowej, którą rozkręcił po śmierci 22-letniego szturmowca gauleiter Berlina, a następnie minister propagandy i oświecenia publicznego dr Joseph Goebbels. Ważnym elementem tworzonego kultu była napisana przez Horsta Wessela pieśń, nosząca potem tytuł „Horst Wessel Lied”, która stała się hymnem NSDAP i nieformalnym drugim hymnem III Rzeszy.

Jej twórca urodził się 9 października 1907 r. w Bielefeld w rodzinie protestanckiego pastora Ludwiga Wessela. Był on pierwszym kapelanem wojskowym armii niemieckiej, który udał się w 1914 r. na front do Belgii. Ludwig Wessel utożsamiał się z ideami pangermańskimi i volkistowskimi, choć trudno jednoznacznie stwierdzić, czy ideały ojca miały zasadniczy wpływ na syna, ponieważ zmarł on w 1922 r. Możliwe, że w większym stopniu poglądy Horsta ukształtowane zostały za sprawą duchowego zwycięstwa środowisk radykalnej prawicy w powojennych Niemczech. Pierwszą organizacją polityczną, do której dołączył młody Horst, była młodzieżówka Bismarckjugend związana z konserwatywną partią Deutschnationale Volkspartei (DVNP), a kolejną rozwiązany przez władze w maju 1926 r. Bund Wiking. W tym czasie 18-letni Wessel zdał egzamin

eprasa.pl 3fb0395e21

maturalny i zapisał się na studia prawnicze na Uniwersytet Fryderyka Wilhelma.

Miazga z policjantów

7 grudnia 1926 r. Horst Wessel zdecydował się wstąpić do NSDAP, gdzie otrzymał legitymację o numerze 48 434. Został też członkiem liczących wtedy ok. 450 osób oddziałów berlińskiej Sturmabteilung. W przeciwieństwie do innych organizacji prowadzących działalność w oparciu o spotkania, dyskusje czy udział w patriotycznych uroczystościach SA przyciągała młodzież ekstremalnym aktywizmem, który sprowadzał się do ścierania w ulicznych walkach z bojówkarzami komunistycznymi. Wessel należał do grupy Alexanderplatz Stammsektion 50 przekształconej potem w Sturm 1, pod dowództwem Hansa Breuera.

Nie tylko komuniści, lecz także policja byli wrogiem SA-manów. Wessel tak opisał jeden z takich epizodów: „Po pobiciu sześciu policjantów na miazgę w Cottbus, zastrzeleniu jednego w Pasewalku i zranieniu kilku innych policja została zmobilizowana przeciwko nam". Udział w akcji w Pasewalku zakończył się dla Horsta Wessela pierwszym wpisem do policyjnych akt. Jednak nic nie wiadomo o jego indywidualnych „sukcesach" w ulicznych rozróbach. Prawdopodobnie na przeszkodzie stała dysfunkcja kilkukrotnie łamanej ręki. Mimo to Wessel starał się utrzymywać tężyznę fizyczną, trenując boks i jujitsu.

W 1928 r., po powrocie do Niemiec z półrocznego pobytu w Austrii, gdzie wysłał go Goebbels w celu zapoznania się z tamtejszymi metodami kształcenia narodowosocjalistycznej młodzieży, Wessel rzucił się w wir pracy na rzecz SA. Szczyt jego aktywności przypadł na rok 1929. Nie mogąc pogodzić swej działalności z nauką, zdecydował się porzucić studia. W tym czasie stał się znanym nazistowskim mówcą. Pod względem liczby wystąpień wyprzedzał go jedynie Goebbels. Do października 1929 r. przemawiał 56 razy. Wessel przyciągał nowych ochotników do SA także poprzez używanie różnorodnych metod oddziaływania na ludzi, jak choćby śpiewanie piosenek marszowych w rytm melodii granej przez orkiestrę SA-manów. W tym czasie stworzył on dzieło swego życia – pieśń, która stała się hymnem NSDAP, zaczynającą się od słów „Die Fahne hoch" (niem. „Podnieście sztandar"). Utwór po raz pierwszy ukazał się drukiem 23 września 1929 r. w dodatku do berlińskiej gazety NSDAP „Der Angriff" i nosił tytuł „Der unbekannte SA-Mann" (niem. „Nieznany SA-Mann"). Śpiewanie tej pieśni, nazwanej po śmierci jej twórcy „Horst Wessel Lied", stało się rytuałem kończącym wszystkie nazistowskie spotkania.

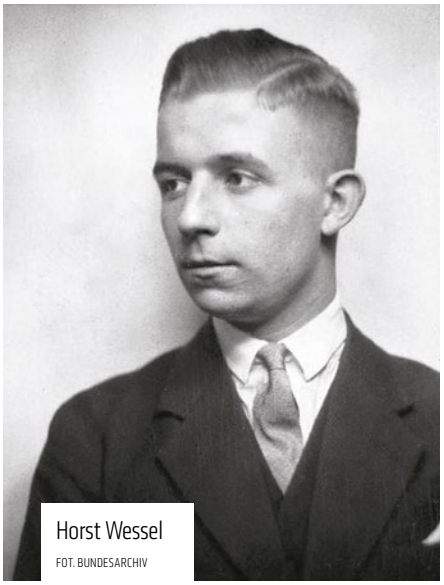
Horst Wessel
FOT. BUNDESARCHIV

W 1929 r. Horst Wessel piął się po szczeblach hierarchii SA. 1 maja został dowódcą SA-Trupp 34, a 19 maja stanął na czele SA-Sturm 5, otrzymał też stopień SA-Sturmführera. Dzielnica Friedrichshain, w której działał Wessel, była bastionem komunistów. Pomimo tego prowokacyjnie przemierzał ją na rowerze w mundurze SA wraz z 20-osobową osłoną szturmowców. Jego sukcesy irytowały komunistycznych przeciwników, którzy dostrzegali, że dzięki jego kreatywności coraz więcej robotników zaczęło przechodzić na stronę narodowych socjalistów.

Emblemat SA
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Zaangażowanie Wessela dostrzegł Joseph Goebbels, który 16 stycznia 1929 r. napisał w swoim dzienniku: „Wspaniały chłopak, który mówi z niewiarygodnym idealizmem". Jednak nagle jego zaangażowanie wyraźnie zmalało. Możliwe, że powodem było wejście w związek z nowo poznaną Erną Jaenichen, która przed nawiązaniem relacji z Wesselem parała się prostytucją. Horst pomógł jej zerwać z tą profesją (gdy mieszkali razem, dorabiała jako krawcowa). Aktywności w partii nie pomogła też śmierć jego brata, który zginął z kilkoma przyjaciółmi podczas wyprawy w góry.

Strzał w twarz

Wessel od listopada 1929 r. mieszkał z Jaenichen w wynajętym pokoju w kamienicy przy Grosse Frankfurter Strasse 62. Mieszkanie należało do Elisabeth Salm. Gdy właścicielka dowiedziała się, że Wessel mieszka z dziewczyną, podniosła czynsz. Brak regularnych płatności za pobyt powodował, że pomiędzy parą a właścicielką zaczął narastać konflikt. 14 stycznia 1930 r. doszło do wielkiej kłótni. Salm chciała zmusić parę kochanków do wyprowadzki, więc wraz z teściową poszła do tawerny, gdzie spodziewała się spotkać przyjaciół swego zmarłego męża, który był bojówkarzem komunistycznego Rotfrontkämpferbund (RFB). Początkowo jej opowieść nie zrobiła na komunistycznych bojowcach większego wrażenia, kiedy jednak padło nazwisko problematycznego lokatora, sytuacja uległa zmianie. „Czerwoni frontowcy" postanowili spuścić Horstowi Wesselowi „proletariackie lanie".

Około godz. 21.30 do mieszkania przy Grosse Frankfurter Strasse 62 wyruszyli trzej bracia Jambrowscy: Max, Walter i Willi, robotnik Josef Kandulski, Walter Junek, Else Cohn i kilka innych osób, członków lub sympatyków KPD.

eprasa.pl 3fb0395e21

Oddział Horsta Wessela, Berlin-Friedrichshain, 1929 r. FOT. BUNDESARCHIV

Walter Junek, wiedząc, że Horst Wessel posiada broń, postanowił wezwać posiłki. W ten sposób grupa poszerzyła się o dwóch uzbrojonych komunistycznych bojówkarzy – Albrechta Höhlera i Erwina Rückerta. Pierwsza do mieszkania weszła właścicielka, by upewnić się, że Wessel jest w swoim pokoju. Kochankowie byli na miejscu – akurat odwiedziła ich dziewczyna jednego z SA-manów, Klara Rehfeld. Przed drzwiami pokoju Wessela stanęli z odbezpieczonymi pistoletami Höhler, Rückert oraz Kandulski. Walter Jambrowski pilnował drzwi do mieszkania, a na dole przed budynkiem stali pozostali frontowcy.

Gdy Wessel otworzył drzwi, Albrecht Höhler oddał do niego strzał prosto w twarz. SA-man upadł, uderzając głową o drzwiczki do pieca. Trzymając obie kobiety na muszce, napastnicy przeszukali pomieszczenie, znaleźli pałkę i pistolet, po czym wyszli. Na koniec samozwańczy komunistyczny mściciel pochylił się nad Wesselem, mówiąc: „Wiesz za co". Sposób oddania strzału ewidentnie wskazywał na zamiar zabicia Wessela. Nie wiadomo jednak, czy uczestnicy ataku ustalili to wcześniej czy też strzelec zrobił to z własnej inicjatywy.

Tymczasem kobiety zadzwoniły po pogotowie i do siedziby berlińskiego okręgu NSDAP. Około godz. 22.30 karetka z pacjentem ruszyła do szpitala, gdzie natychmiast trafił on na stół operacyjny. Lekarz SA Ludwig Conti tak określił obrażenia Sturmführera: „Rana postrzałowa w jamie ustnej, wokół górnej szczęki, nieco po lewej stronie. Rozerwana boczna gałąź lewej tętnicy szyjnej. Miejsce utkwienia kuli nieznane, prawdopodobnie w kręgach szyjnych, a nie w mózgu…, języczek całkowicie utracony, podniebienie poważnie zniszczone, górne przednie zęby (jeden lub dwa!) wybite". 19 stycznia Goebbels odwiedził Wessela. W lutym stan pacjenta pogorszył się. 22 lutego stracił przytomność, a następnego dnia nad ranem zmarł – jak to ujęli lekarze – „z powodu ogólnego zatrucia krwi".

1 marca 1930 r. odbył się pogrzeb. Poza rodziną obecni byli członkowie SA, a także Hermann Göring, syn cesarza Wilhelma II, książę August Wilhelm von Hohenzollern i Goebbels, który przemawiał. Głos zabrał również ówczesny dowódca SA Franz Pfeffer von Salomon. Praktycznie od pogrzebu Wessela Goebbels rozpoczął kampanię propagandową mającą na celu wykreowanie tego SA-mana na męczennika ruchu narodowosocjalistycznego. W „Der Angriff" pisał: „Młody człowiek pokazuje ruchowi, jak można umrzeć, a jeśli zajdzie taka potrzeba, to trzeba umrzeć".

Nazistowska prasa oskarżała komunistów o dokonanie mordu na Wesselu, ale KPD robiła wszystko, by odsunąć od siebie te zarzuty. Nie ma dowodów, że akcja likwidacyjna miała akceptację kierownictwa partii czy choćby dowódcy komunistycznego „Sturmabteilung Berlin-Mitte" Hermanna Kupfersteina. Ale nie ulega wątpliwości, że KPD zrobiła dużo, by ludziom odpowiedzialnym za śmierć Horsta Wessela nic się nie stało. Komuniści zainicjowali propagandową kampanię dezinformacyjną w myśl tezy opublikowanego przez organ prasowy KPD „Die Rote Fahne" artykułu pt.: „Przywódca SA zastrzelony z zazdrości". Horsta Wessela próbowano sportretować jako alfonsa zabitego podczas kłótni z ludźmi z półświatka. KPD chciała za wszelką cenę stworzyć wrażenie, że do mordu doszło w ramach prywatnej wendety.

O ile nie ma dowodów na powiązania Wessela ze światem prostytucji (poza nawiązaniem relacji z Erną Jaenichen i wyciągnięciem jej z tego procederu), o tyle nie da się powiedzieć tego samego o Albrechcie „Alim" Höhlerze, który dokonał egzekucji SA-mana. Należał on bowiem do klubu skupiającego ludzi, którzy czerpali zyski z kontrolowanej przez nich zorganizowanej prostytucji. Z tych środowisk wywodziła się pewna część kadr KPD, a szczególnie RFB. Höhler wstąpił do KPD w 1924 r., a po rozwiązaniu RFB w maju 1929 r. trafił do oddziału czerwonych bojówkarzy dowodzonych przez Erwina Rückerta. Po wojnie NRD-owscy badacze stwierdzili, że składał się on „w większości […] z elementów antyspołecznych".

Pocztówka z tekstem pieśni „Die Fahne Hoch! (Horst Wessel Lied)"

FOT. COLLEGE DIGITAL.KENYON.EDU, DOMENA PUBLICZNA

Śmieszne wyroki

Policja już po trzech dniach po ataku na Wessela rozpoczęła akcję poszukiwania Albrechta

eprasa.pl 3fb0395e21

Höhlera. Jednak zarówno napastnik, jak i Erwin Rückert mogli liczyć na dużą pomoc ze strony KPD. Po całodziennym pobycie w jednym z barów, gdzie regularnie spotykali się komuniści, poszukiwani mężczyźni udali się do mieszkania Hermanna Schmidta położonego przy Rosenthaler Strasse 43. Schmidt kierował Rote Hilfe Deutschland, komunistyczną organizacją zajmującą się zapewnianiem obrony prawnej, a także organizowaniem ucieczek działaczy zagrożonych aresztowaniem. Z jego mieszkania Höhler i Rückert zostali przewiezieni samochodem do willi biznesmena Wilhelma Sandera, sympatyka KPD. Przebywali tam osiem dni. W tym czasie KPD przesłała poprzez swego posła, Ottomara Geschkego, instrukcje, z których wynikało, że partia wycofa swoje wsparcie, jeśli sprawca przedstawi swój czyn jako motywowany politycznie, a nie jako zbrodnię popełnioną z namiętności. Oczekiwanie to poparte zostało groźbą pozbawienia życia. Höhler miał zeznać, że dziewczyna Wessela była jego narzeczoną dopóty, dopóki SA-man mu jej nie odebrał. Czerwoni towarzysze mówili, że „to ma wyglądać na dramat zazdrości".

Ostatecznie Höhler został przerzucony do czeskiej Pragi. Nie posiadał środków pozwalających mu na przeżycie, ale na swoje szczęście poznał tam kobietę, która sfinansowała jego powrót do Niemiec. W Berlinie nie było mu łatwo znaleźć bezpieczne lokum. Pomóc postanowił mu partyjny towarzysz, Karl Godowski. I to w jego mieszkaniu 3 lutego 1931 r. aresztowano Höhlera.

W czasie śledztwa czerwony bojówkarz zdecydował się udzielić bardzo szczegółowych wyjaśnień, licząc na mniejszy wymiar kary. Między innymi podał nazwiska wszystkich osób zaangażowanych w akcję przeciwko Horstowi Wesselowi, co doprowadziło do aresztowań. Głównym adwokatem broniącym jego i resztę podsądnych był wyznaczony przez komunistyczny aparat Alfred Apfel. Postępowanie sądowe rozpoczęło się 22 września 1930 r. Höhlerowi, Rückertowi i Kandulskiemu prokuratura postawiła zarzut nieumyślnego spowodowania śmierci, co – biorąc pod uwagę sposób oddania strzału – było kpiną z prawa. Kiedy Höhler zobaczył, że jest objęty

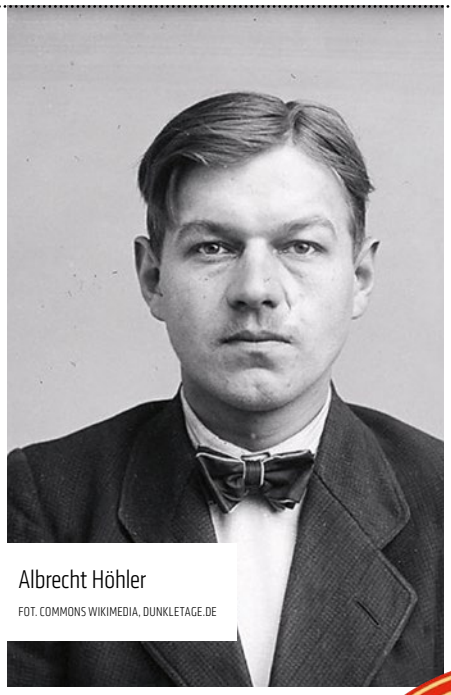

Albrecht Höhler

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, DUNKLETAGE.DE

pomocą procesową, zmienił zeznania, twierdząc, że te złożone w śledztwie były wymuszone.

Wyroki zapadły 26 września 1930 r. Höhler i Rückert skazani zostali na sześć lat i jeden miesiąc więzienia. Kandulski na pięć lat i jeden miesiąc, a Max Jambrowski na dwa lata. Walter i Willi Jambrowski wraz z Elisabeth Salm zostali skazani na półtora roku więzienia, a Walter Junek i Else Cohn na rok.

Zemsta NSDAP

Po przejęciu władzy przez NSDAP było jasne, że naziści będą się chcieli rozliczyć z odpowiedzialnymi za śmierć Horsta Wessela. Jako pierwsza zapłaciła za swój udział w zbrodni Else Cohn. Chociaż się ukrywała, to udało się ją namierzyć. W nocy z 6 na 7 maja 1933 r. Cohn została zamordowana siedmioma strzałami na poboczu drogi między wsiami Gersdorf (Dąbie) i Plau (Pław). Śledztwo zostało umorzone na polecenie ówczesnego premiera Prus Hermanna Göringa.

Drugą osobą, która zapłaciła głową za mord na Wesselu, był jego zabójca odbywający karę więzienia w Wohlau (Wołów). Przywieziono go stamtąd do siedziby gestapo przy Prinz-Albrecht-Strasse, gdzie prowadzono przesłuchania. 20 września 1933 r. co najmniej osiem osób, głównie z SA, przyjechało po niego do aresztu. Wśród nich byli zamordowany podczas „nocy długi noży" dowódca SA-Gruppe Berlin-Brandenburg Karl Ernst, książę Auwim i pierwszy szef gestapo Rudolf Diels. Kiedy kawalkada samochodów wjechała do lasu i zatrzymała się, Ernst wygłosił krótkie przemówienie o winie Höhlera, po czym zabójca Wessela został zastrzelony. Jego ciało zakopano, ale niezbyt głęboko; odkryto je 7 sierpnia 1934 r. Sekcja zwłok ujawniła, że poza kulami w ciele ofiara miała wciśniętą krtań i zmiażdżoną tępym narzędziem czaszkę. 29 listopada 1933 r. Göring wydał polecenie nakazujące „umorzenie wszelkich toczących się śledztw sądowych przeciwko nieznanym osobom" w sprawie Höhlera.

Emblemat Roter Frontkämpferbund

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

W 1934 r. doszło do kolejnej rozprawy przeciwko uczestnikom mordu na Horście Wesselu. Za samo stanie na czatach przed kamienicą skazano na śmierć i stracono poprzez ścięcie toporem członka KPD Sally'ego Epsteina, a także Hansa Zieglera (Peter Stoll usłyszał siedem i pół roku więzienia, jednak niska kara wynikała zapewne z podjęcia przez oskarżonego współpracy).

Inni zamieszani w śmierć Wessela również nie dożyli upadku III Rzeszy. Josef Kandulski zmarł 7 stycznia 1943 r. w KL Gusen. W tym samym obozie 21 stycznia (23 lutego) 1943 r. zginął Erwin Rückert. Walter Jambrowski powiesił się w 1937 r., a w marcu 1945 r. zmarła w KL Bergen-Belsen Elisabeth Salm. Natomiast Walter Junek umarł w 1943 r. na skutek przeżyć, których doświadczył w obozach.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Korzystałem m.in. z książki „The Making of a Nazi Hero: The Murder and Myth of Horst Wessel" Daniela Siemensa oraz „Die Fahne Hoch. Three Biographies of Horst Wessel" (prac. zbior.).

eprasa.pl 3fb0395e21

Król Aleksander I w senacie. Ilustracja ze Statutu Łaskiego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, DZIEDZICTWO.POLSKA.PL

Lata 1476–1513 / Helena Moskiewska

Królowa bez korony

Beata Zubowicz

Jagiellonowie sądzili, że dzięki małżeństwu Aleksandra z córką Iwana Srogiego będą mieli spokój. Zamiast pokoju dostali jednak wojnę. I to niejedną

„Poddani moi widzieli we mnie zwiastuna pokoju, a tymczasem przyniosłam im tylko krew, pożogę i łzy, jakbym na to tylko była wydana na Litwę, aby podpatrywać jej słabe strony" – pisał pod dyktando wielkiej księżnej litewskiej Heleny jej kanclerz Iwan Sapieha. Adresatem listu był wielki książę moskiewski Iwan III Srogi (1440–1505), w rosyjskiej historiografii nazywany Wielkim.

Przydomek nie jest przesadzony: po ponad 40-letnich rządach zostawił on swoim następcom największe państwo w Europie, choć zaczynał jako lennik chana tatarskiego. Córka była dla niego narzędziem w wielkiej grze o „zebranie ziem ruskich"; pech chciał, że także tych, które należały do Wielkiego Księstwa Litewskiego. I to polityka – z jednej strony moskiewska, a z drugiej litewska (lub, jak kto woli, polsko-litewska) – uczyniła z Heleny, żony Aleksandra Jagiellończyka, jedynej niekoronowanej królowej Polski, postać tragiczną. Przynajmniej tak ją widzi Paweł Jasienica.

Pewnie ma rację. Helena doskonale nadawałaby się na bohaterkę szekspirowską: jej los w Rzeczypospolitej od początku był naznaczony pewnym fatalizmem. Małżeństwo syna z moskiewską księżniczką zaplanował jeszcze Kazimierz Jagiellończyk (1427–1492), który liczył, że Rzeczpospolita będzie miała – choćby na jakiś czas – spokój przynajmniej z tej strony. A pamiętajmy, że Litwa i Korona, związane dwiema uniami (w Krewie w 1385 r. i w Horodle w 1413 r.), prowadziły już nieustane wojny na wielu frontach: z Krzyżakami, Tatarami, hospodarem mołdawskim, a do tego szykował się konflikt z Turkami.

eprasa.pl 3fb0395e21

Iwan jednak miał inne plany. „Wysyłając córkę do Wilna, traktował to jako jeden więcej krok na drodze do rzeczywistego władztwa nad całą Rusią" – wskazuje Jasienica.

Osobne modlitwy

Helena wyruszyła poślubić Aleksandra – władcę Litwy (na tronie w Krakowie zasiadał jego starszy brat, Jan Olbracht) – w styczniu 1495 r. Towarzyszyła jej ogromna świta. W jej skład wchodziło wielu wytrawnych dyplomatów, którzy mieli patrzeć i słuchać. Na wozach jechał posag – ponoć wcale nie taki duży, jak można się było spodziewać po takiej pannie. Jedną z najcenniejszych rzeczy była wykonana na srebrnej okładzinie ikona Matki Bożej z postacią adorującej ją niewiasty w stroju ruskim – wszystkim przywodziła ona na myśl samą Helenę. Do stolicy Litwy orszak dotarł w połowie lutego 1495 r.

Kronikarze niezbyt cenili Aleksandra, jego wygląd też nie budził ich entuzjazmu. Opisywali go jako mężczyznę średniego wzrostu, raczej krępego i silnego, o twarzy kościstej i nerwowej, lekko wydłużonej. W wieku 34 lat musiał przypominać dziadka Jagiełłę i ojca Kazimierza. Niestety, jak pisze Marcin Kromer, miał on „dowcip przytępiejszy i dlatez był milczący". Na domiar złego miał wieczne problemy ze zdrowiem – szeptano, że cierpiał na chorobę weneryczną, plotkowano też o jego impotencji.

Dziewiętnastoletnia Helena wręcz przeciwnie: wszystkich zachwycała urodą. Wysłannicy Aleksandra, którzy pojechali po nią na Kreml, długo nie mogli ponoć ochłonąć z wrażenia. Z dużą dozą prawdopodobieństwa można założyć, że – wzorem matki Zoe (Zofii) Paleolog – została starannie wykształcona.

O dziwo, ten niedoceniany królewicz zachował się bardzo taktownie – wyjechał narzeczonej na spotkanie. Trzy kilometry przed Wilnem na polu rozłożono czerwone sukno, przetykane złotem. Helena i Aleksander podali sobie ręce i wymienili się uprzejmościami, a potem książę prostym gestem przygarnął narzeczoną do siebie.

Niemal wszyscy historycy odnotowują z pewnym zdumieniem, że to małżeństwo, zawarte z wyrachowania po długich i upokarzających dla Rzeczpospolitej pertraktacjach, jakby na przekór losowi i polityce okazało się udane.

Helena do Wilna wjechała powozem, a Aleksander konno. Pan młody udał się do katedry, a Helena – do Soboru Przeczystej Bogurodzicy. Ślub odbył się 15 lub 18 lutego (podawane są obie daty) w katolickiej Katedrze św. Stanisława. Udzielał go bp Wojciech Tabor. Obok niego stał ksiądz prawosławny. Duchowni obu wyznań jednocześnie odmawiali modlitwy – oczywiście każdy z osobna. Jednym z warunków, które musieli zaakceptować Polacy, była kwestia wyznania Heleny: Iwan Srogi wymusił zapis, że córce nie wolno przejść na katolicyzm, nawet gdyby tego chciała.

Podejrzewając, że teść mógł wśród dworzan Heleny umieścić szpiegów, Aleksander szybko odesłał ich z powrotem do Moskwy. Dał tym samym Iwanowi pretekst do skargi. Nie pierwszej i nie ostatniej. Przez cztery lata między Wilnem a Moskwą krążyli emisariusze z pogróżkami i zażaleniami od teścia. Kolejną reklamację władcy Moskwy wywołał fakt, że księżna musiała chodzić na nabożeństwo do cerkwi położonej w mieście. Nie pomogły zapewnienia Heleny, że z zamku do soboru prawosławnego ma bliziutko. Mąż i jego dworzanie mieli też nie okazywać należnego szacunku prawosławnej wierze Heleny, a na jej dworze za dużo miało być katoliczek – w rzeczywistości dwór wielkiej księżnej litewskiej złożony był głównie z Litwinów i Rusinów, Polaków było niewielu. Ojciec twierdził jednak, że córka powinna mieć dwór prawosławny. „Iwan utrzymywał szpiegów w Wilnie i nie było takiego drobiazgu, z którego by nie potrafił zrobić użytku do wyrzekań, że uczuciom religijnym jego córki dzieje się krzywda" – pisze Feliks Koneczny, zwracając uwagę, że moskiewski władca poświęcił córkę, żeby „wśród schizmatyckiej Rusi rozbudzać niechęć ku jagiellońskiej dynastii".

Iwan III Srogi FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Ponieważ trwały przygotowania do wojny z Turcją, fochy Iwana znoszono z pokorą. Ale nagle pojawiły się nowe pretensje. Tym razem poszło o to, że Aleksander w listach nie tytułuje teścia „carem wszystkiej Rusi".

Bizantyjskie koneksje

Iwan III z dynastii Rurykowiczów – notabene rodzony prawnuk Witolda, stryjecznego brata Jagiełły – miał wielki talent i ambicje. Uważany jest za postać o fundamentalnym dla Rosji znaczeniu – jeden z najważniejszych władców, architekt państwa moskiewskiego i twórca podstaw późniejszego imperium. W ciągu kilku lat przy pomocy oręża i sakiewki zebrał leżące po sąsiedzku księstwa i republiki, a potem zrzucił ponaddwustuletnią zależność Moskwy od Wielkiej Ordy, co w historiografii rosyjskiej uważane jest za moment kluczowy.

Do tego za żonę wziął Zoe, bratanicę ostatniego cesarza bizantyjskiego Konstantyna Paleologa – jego śmierć w 1453 r. w połączeniu ze zdobyciem Konstantynopola przez Turków pociągnęła za sobą ostateczny upadek Cesarstwa Wschodniorzymskiego.

Ojciec Zoe, Tomasz, który władał księstwem Morei (dziś Peloponez), wraz z rodziną uciekł do Rzymu. Po jego śmierci opiekę nad jego dziećmi przejęli kolejni papieże: Paweł II i Sykstus V. Ponieważ obydwaj uwierzyli wysłannikom Kremla, mamiących ich obietnicami przywrócenia łączności między moskiewską Cerkwią a Rzymem, na męża dla Zoe wybrali Iwana Srogiego. I to Zoe (po konwersji na prawosławie Zofia) – jak pisze Jasienica

eprasa.pl 3fb0395e21

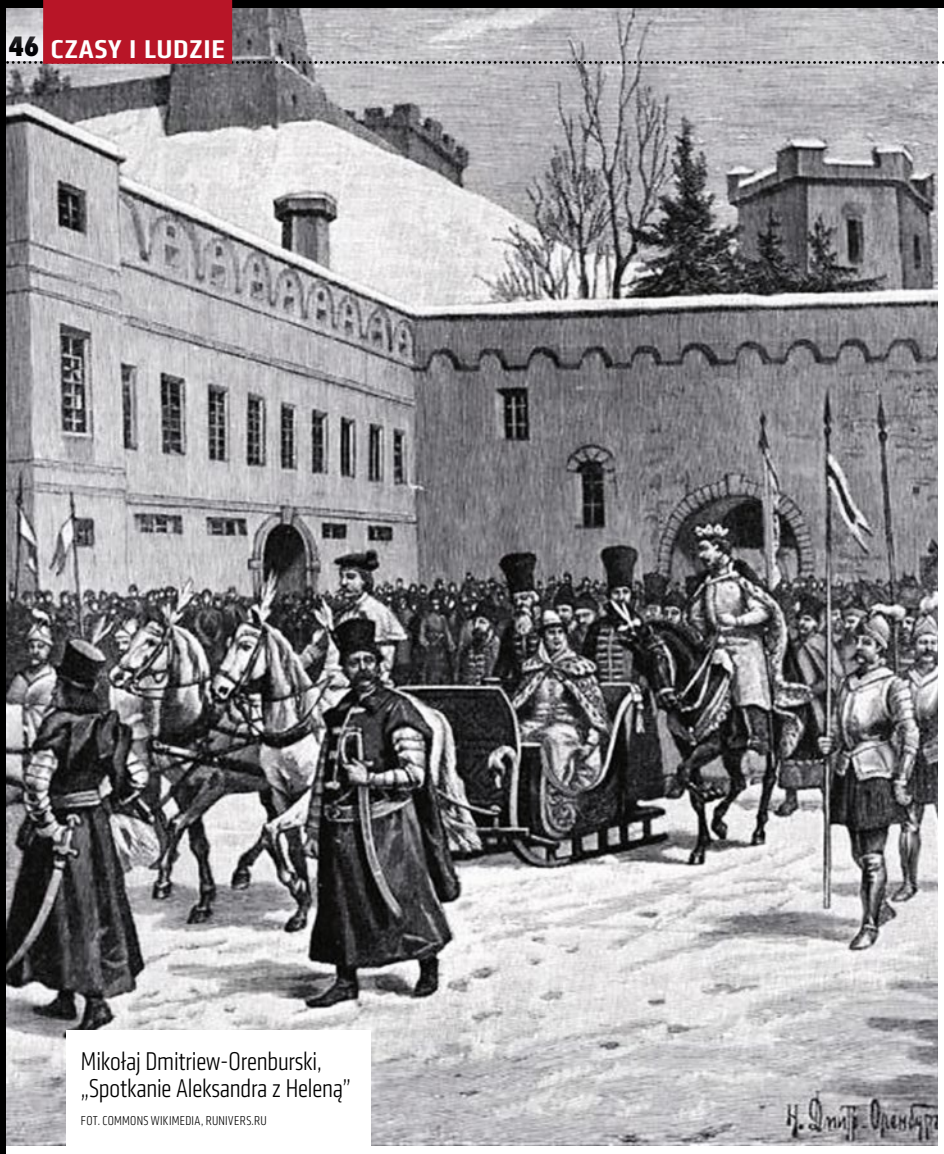

Mikołaj Dmitriew-Orenburski, „Spotkanie Aleksandra z Heleną"
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, RUNIVERS.RU

– wniosła mu w posagu dwugłowego orła oraz spadek ideowy po Bizancjum. Iwan uznał się za następcę władców Cesarstwa Wschodniorzymskiego, Moskwie wyznaczył rolę „trzeciego Rzymu", a sobie opiekuna prawosławnych, także – a może przede wszystkim – na ziemiach wchodzących w skład Wielkiego Księstwa Litewskiego. „Wisiała więc wojna z Moskwą zawsze na włosku po małżeństwie z Heleną, zupełnie tak samo jak przedtem" – pisze Koneczny.

Na dodatek Iwan uparł się, aby z córki zrobić swojego szpiega. Czy mu się udało? Zdania są podzielone: o dziwo, historycy polscy są dla Heleny łaskawi – w większości twierdzą, że raczej była lojalna wobec męża i swych nowych poddanych. Natomiast zdaniem rosyjskich historyków „prawdziwy stan rzeczy" księżna przekazywała ojcu ustnie za pośrednictwem ambasadorów.

Profesor Urszula Borkowska, urszulanka specjalizująca się w historii średniowiecznej i w dziejach Jagiellonów, twierdzi, że w miarę, jak Helena oswajała się z rolą wielkiej księżnej litewskiej, jej opory wobec nacisków z Kremla rosły. Ma na to wskazywać jej korespondencja z ojcem, matką i bratem. Do naszych czasów zachowało się ok. 30 listów.

„A ci kniaziowie przechodni, istni Kainowie, po szyję we krwi zbroczeni, którzy dawniej zdradzili Moskwę, a teraz zdradzają Litwę, jakoż zasługują na wiarę u ciebie, ojcze?" – pytała gorzko Helena w liście, który cytowaliśmy na początku. Jak możemy przypuszczać, chodziło jej o litewskich możnowładców, którzy – jak bezlitośnie ocenia Koneczny – mieli niezbyt wysoko rozwinięty zmysł państwowy i dla własnych korzyści gotowi byli na zdradę. Iwan gromił córkę za podobne wątpliwości i groził jej klątwami.

W 1499 r. zaczęły się moskiewskie podjazdy graniczne, a rok później Iwan wpadł na Litwę z wojskiem, za powód podając niewybudowanie córce cerkwi na zamku wileńskim. Efekt był taki, jak obawiali się Litwini. Po czterech latach walk, kilku nieudanych próbach mediacji (podejmowanych także przez Helenę), kilku wielkich bitwach, w 1503 r. trzeba było zawrzeć rozejm. Wielkie Księstwo Litewskie straciło jedną trzecią swego terytorium.

Bez szans na koronację

17 czerwca 1501 r. 42-letni król Jan Olbracht doznał udaru mózgu i umarł. Zgodnie z umową tron po nim miał przypaść Aleksandrowi. Wielki książę zostawił więc wojnę litewskim hetmanom i pognał do Korony. Dobrze wiedział, co robi: w Piotrkowie na sejmie elekcyjnym swoją kandydaturę do polskiego tronu zgłosił także jego najstarszy brat Władysław, król Czech i Węgier. Na dodatek obecny był także młodszy brat Zygmunt (do historii przejdzie jako Stary). Ostatecznie Aleksander wygrał, dzięki poparciu młodszego brata, kard. Fryderyka, i panów polskich, którzy liczyli zapewne na to, że zajęty Litwą zostawi im rządy w Polsce.

Koronacja nowego króla odbyła się 12 grudnia w katedrze na Wawelu. Ceremonii przewodniczył brat Fryderyk. Helena została w Wilnie. Jako schizmatyczka na koronację nie miała szans – weto postawił sam papież Aleksander VI Borgia. Co gorsza, żądał on od polskiego króla, by przekonał żonę do konwersji, grożąc nawet unieważnieniem jego małżeństwa ze schizmatyczką.

Wyznanie synowej drażniło też matkę Aleksandra, Elżbietę Rakuszankę. Można podejrzewać, że nastawienie starej królowej – córki Albrechta II Habsburga, króla czeskiego i węgierskiego, wnuczki cesarza rzymskiego – miało swoją wagę. Dość przypomnieć, że to ona pomogła Władysławowi zdobyć tron Czech i Węgier. Po śmierci Kazimierza zachowała kontrolę nad sprawami państwowymi. Na wszelki wypadek czuwała nad wyborem Olbrachta na króla Polski, wspierając

eprasa.pl 3fb0395e21

tę elekcję finansowo. Na szczęście dla Aleksandra matka nie sprzeciwiła się jego wyniesieniu na tron.

Helena w Krakowie zjawiła się więc dopiero 4 lutego 1502 r. Król miał nadzieję, że uroczyste powitanie zrekompensuje żonie brak koronacji. Nakazał wszystkim tytułować ją królową, ale nie był w stanie zapanować nad emocjami poddanych. A praktyki religijne Heleny (za zgodą kard. Fryderyka na Wawelu odprawiano nabożeństwa prawosławne) raziły w Krakowie dużo bardziej niż w Wilnie. Domagano się katolickiego chrztu królowej. Na domiar złego dyskusja na ten temat była prowadzona publicznie i król interweniował w tej sprawie u brata kardynała. Faktycznie, nieprzychylne komentarze ucichły, ale konflikt z papieżem trwał w najlepsze i podsycał nieprzychylne Helenie nastroje. Dopiero wysłane do Rzymu poselstwo z kanonikiem wileńskim Erazmem Ciołkiem i kanclerzem Iwanem Sapiehą załagodziło spór.

Aleksander VI zniósł obowiązek ponownego chrztu dla prawosławnych przechodzących na katolicyzm i przestał się wypowiadać na temat Heleny. Ale dopiero jego następca Juliusz II uzna ważność tego małżeństwa; stanie się to 1505 r., 10 lat po ślubie.

Krótko po koronacji Aleksander z Heleną wrócili na Litwę (wciąż trwała przecież fatalna wojna z Moskwą), rządy w Polsce zostawiając Fryderykowi. W 1503 r. zdążyli jeszcze odbyć podróże po Polsce: odwiedzili Lublin, Sandomierz, Kraków, Toruń, Malbork, Tczew i Gdańsk. W drodze powrotnej do Krakowa zatrzymali się w Częstochowie. Dwa dni (9–10 sierpnia 1504 r.) spędzili w jasnogórskim klasztorze, ponieważ oboje czuli wyjątkowe nabożeństwo do Matki Bożej Częstochowskiej.

Spisek z bratem?

Nie nacieszyli się jednak długo tym względnym spokojem. Rok później „paraliżem zarażony" Aleksander nagle zasłabł i utracił władzę w połowie ciała. 19 sierpnia 1506 r. 45-letni Aleksander wyzionął ducha. Pochowano go w katedrze wileńskiej, a nie na Wawelu – Jasienica twierdzi, że była to zemsta magnatów za porażki polityczne. Inni historycy przypuszczają jednak, że panowie litewscy po prostu spełnili życzenie Heleny.

Pogrzeb króla był uroczysty: za jego trumną jechało 31 wozów żałobnych i 32 konie okryte adamaszkiem. Ośmiu rycerzy niosło chorągwie Korony i Litwy, a czterech innych berło, miecz, jabłko i koronę. Aleksander spoczął obok brata, św. Kazimierza Jagiellończyka, głównego patrona Litwy (jego szczątki zostaną odnalezione jesienią 1931 r. podczas prac nad wzmacnianiem fundamentów katedry, naruszonych przez powódź; rozpoznano go po mieczu i trumiennej koronie).

Aleksander I i Helena
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Królowa wdowa została w Wilnie. Choć nie miała dzieci (dwa razy poroniła), to o powrocie do Moskwy nie mogło nawet być mowy – za dużo wiedziała i była zbyt bogata. Szwagier, król Zygmunt, traktował ją jednak z należytym szacunkiem. Nie tylko tytułował ją w listach regina (łac. królowa), a także zadbał o jej wdowie zaopatrzenie: w 1507 r. Helena dostała od niego Briańsk, Bielsk i Suraż; w 1510 r. Zygmunt przekazał jej opiekę nad monastyrem Święto-Troickim, co w połączeniu z dobrami, które otrzymała jeszcze od męża – Kniażyce, Teteryn, Smolniany, Hradyszcze, Łosice i zamek Mohylew z przynależnym majątkiem – czyniło z niej bardzo zamożną kobietą. Helena mogłaby więc spokojnie i dostatnio żyć. Szkopuł w tym, że na przeszkodzie znowu stanęła polityka.

Co prawda, ekspansywny Iwan III Srogi nie żył od 1505 r., ale jego następca Wasyl III, rodzony brat Heleny, ani myślał zmieniać linii nakreślonej przez ojca. Wręcz przeciwnie, sam zapragnął zostać wielkim księciem litewskim. A ponieważ wraz ze śmiercią Aleksandra przestał obowiązywać rozejm, w 1507 r. Wasyl wkroczył na Litwę. Za pretekst i tym razem posłużyła Helena – Zygmunt miał ją rzekomo zmuszać do przyjęcia katolicyzmu.

Ostatnie lata nieszczęsnej królowej owiane są pewną tajemnicą: wszystko wskazuje na to, że w 1511 r. zamierzała wrócić do Moskwy i na tym tle doszło do sporu między nią a panami litewskimi, którzy nie chcieli pozwolić na to, by wywiozła swój legendarny majątek. Urszula Borkowska twierdzi, że wyceniano go na ogromną sumę ok. 400 tys. florenów.

Ponieważ kolejna wojna z Moskwą wisiała na włosku, król Zygmunt nie dał Helenie zgody na wyjazd. Razem z Wasylem królowa ułożyła więc plan ucieczki (a może ułożono go za nią na Kremlu?). Udaremnił go jednak wojewoda wileński Mikołaj Radziwiłł, przez Litwinów obdarzony złośliwym przydomkiem Amor Poloniae (Miłośnik Polski). Wojewoda zablokował wydanie jej 14 skrzyń wypełnionych złotem, srebrem, kosztownościami i drogocennymi naczyniami, które Helena zdeponowała w Klasztorze Bernardynów w Wilnie. Na dodatek miał potraktować ją bez szacunku. Wasyl zyskał tym samym pretekst do kolejnej wojny (1512–1522).

Jej zakończenia Helena już jednak nie doczekała. Zmarła niespodziewanie 20 stycznia 1513 r. – na Litwie plotkowano, że otruto ją z rozkazu Radziwiłła. Miała 37 lat. Pochowano ją w jej ulubionym Soborze Przeczystej Bogurodzicy – cerkiew zostanie zburzona podczas powstania kościuszkowskiego w 1794 r., kiedy Rosjanie będą zajmowali Wilno.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:
Borkowska U., ***„Dynastia Jagiellonów w Polsce"***; *Jasienica P.*, ***„Polska Jagiellonów"***; *Koneczny F.*, ***„Dzieje Polski za Jagiellonów"***; *Przybyliński R.*, ***„Ród książąt Glińskich"***.

eprasa.pl 3fb0395e21

Dekontaminacja pojazdów biorących udział w akcji ratunkowej

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, IAEA IMAGEBANK

1986 r. / 40 lat po wybuchu reaktora nr 4

Czarnobylski horror „likwidatorów”

Piotr Włoczyk

Ludzie usuwający skutki katastrofy nie byli przygotowani na promieniotwórcze piekło, które czekało na nich w Czarnobylu. Najbardziej napromieniowani dosłownie rozpadali się na oczach swoich bliskich

Ludmiłę Ignatienko w środku nocy obudziły krzyki. Dwudziestotrzylatka mieszkała ze swoim o dwa lata starszym mężem Wasilijem w Prypeci, mieście zbudowanym zaledwie kilka kilometrów od elektrowni atomowej w Czarnobylu, w hotelu dla rodzin strażaków. Ignatienkowie spodziewali się właśnie pierwszego dziecka.

„Wyjrzałam przez okno. Mąż mnie zobaczył. »Zamknij lufcik i idź spać. Pali się w elektrowni. Wrócę niedługo«. Samego wybuchu nie widziałam. Tylko płomień. Wszystko się jakby świeciło… Całe niebo… Wysokie płomienie. Kopeć. Straszliwy żar. A męża ciągle nie ma i nie ma – wspominała Ludmiła Ignatienko na kartach książki „Czarnobylska modlitwa” Swietłany Aleksijewicz. – Dym był z sadzą, bo palił się bitumen – dach elektrowni był zalany bitumenem. Mąż potem wspominał, że chodzili tam jak po smole. Tłumili ogień, a on się rozpełzał. Podnosił. Strącali kopniakami gorący grafit… Pojechali bez brezentowych skafandrów, tak jak stali – w samych koszulach. Nikt nie uprzedził, wezwano ich do zwykłego pożaru…”.

Jej mąż szybko został przewieziony do Moskwy, do specjalistycznej kliniki, gdzie trafili też inni strażacy z Czarnobyla, którzy tuż po wybuchu reaktora nr 4 brali udział w akcji gaśniczej. Do stolicy ZSRS dotarła też Ludmiła Ignatienko, która koniecznie chciała być przy mężu, mimo że była już w zaawansowanej ciąży.

„Zaczęła mu pękać skóra na rękach, na nogach… Całe ciało pokryło się bąblami. Kiedy kręcił głową, na poduszce zostawały kępki włosów… A wszystko takie kochane, bliskie… Próbowałam żartować: »To nawet lepiej. Nie muszę przynosić grzebienia« – wspominała Ludmiła Ignatienko. – Ostatnie dwa dni w szpita-

eprasa.pl 3fb0395e21

lu… Podnoszę jego rękę, a kość się rusza, chwieje, oderwała się od ciała. Kawałki płuca, wątroby wypadały przez usta… Krztusił się własnymi wnętrznościami… Owijałam rękę bandażem i wsuwałam mu do ust wszystko to, co z niego wyjmowałam… Tego się nie da opowiedzieć! Nie da się opisać! Nawet przeżyć… To wszystko jest takie moje…".

W wyniku katastrofy w Czarnobylu młoda kobieta straciła nie tylko męża, lecz także dziecko, które zmarło tuż po porodzie.

Najgorszy scenariusz

Relacja przedstawiona w słynnej książce białoruskiej noblistki to być może najbardziej wstrząsający opis pojedynczego dramatu ludzi dotkniętych skutkami atomowej katastrofy w Czarnobylu. Ile podobnych tragedii dokonało się wtedy po cichu? Eksperci zajmujący się tym tematem zwracają uwagę, jak ważne było poświęcenie strażaków, którzy oddali wtedy własne zdrowie i życie, by nie doszło do najgorszego.

„Pamiętajmy, że w Czarnobylu były jeszcze trzy inne reaktory. Nie dziwmy się więc, że w pierwszej fazie akcji ratunkowej specjaliści od energii atomowej byli przerażeni. Istniała olbrzymia obawa, że ogień, który wybuchł w reaktorze nr 4, przeniesie się do reszty reaktorów – powiedział w rozmowie ze mną Serhii Plokhy, ukraińsko-amerykański historyk, autor książki »Czarnobyl. Historia nuklearnej katastrofy«. – Wszystkie cztery reaktory w Czarnobylu dzieliły ze sobą wspólną halę maszynową. Ta hala była wypełniona materiałami palnymi, m.in. olejami. Elektrowni groziła utrata zasilania. A bez prądu woda do chłodzenia nie jest pompowana. Bez tego reaktory mogą ulec stopieniu. Bardzo szybkie powstrzymanie pożaru było olbrzymim sukcesem w całej tej potwornej historii i powinniśmy pamiętać o poświęceniu strażaków. Najgorszy scenariusz zakładał bowiem zniszczenie wszystkich czterech reaktorów. Skutki takiej katastrofy byłyby trudne do wyobrażenia".

Plokhy zwraca uwagę, że sowieckie władze od razu podniosły dopuszczalną dawkę promieniowania dla ludzi pracujących na miejscu katastrofy. Jednak ta sprawa nie jest aż tak oczywista, jak mogłoby się wydawać („sowieckie standardy…"), ponieważ po awarii w elektrowni atomowej w Fukushimie Japończycy zrobili... dokładnie to samo.

„Po zażegnaniu największego zagrożenia na miejsce wysłano ok. 600 tys. tzw. likwidatorów. Nie da się usprawiedliwić tego, że ściągnięto ich w takiej liczbie i trzymano ich na miejscu tak długo. Sowieci wysyłali tam młodych żołnierzy z poboru albo wzywali rezerwistów. Przed armią Kreml postawił zadanie stoczenia »bitwy o Czarnobyl« – tłumaczył Plokhy. – Wielu spośród »likwidatorów« nie miało nawet odpowiednich urządzeń do pomiaru promieniowania, więc nie wiedzieli, jakie dawki przyjmują. Efekty napromieniowania odbijają się po dziś dzień na zdrowiu wielu z nich. ZSRS miał wówczas w nadmiarze tylko jeden zasób: ludzi. Niestety, w przypadku katastrofy w Czarnobylu korzystał z niego bardzo rozrzutnie, nie licząc się z ludzkim życiem".

Wśród „likwidatorów" wiele czasu spędził Igor Kostin, fotoreporter, który jako pierwszy sfotografował z lotu

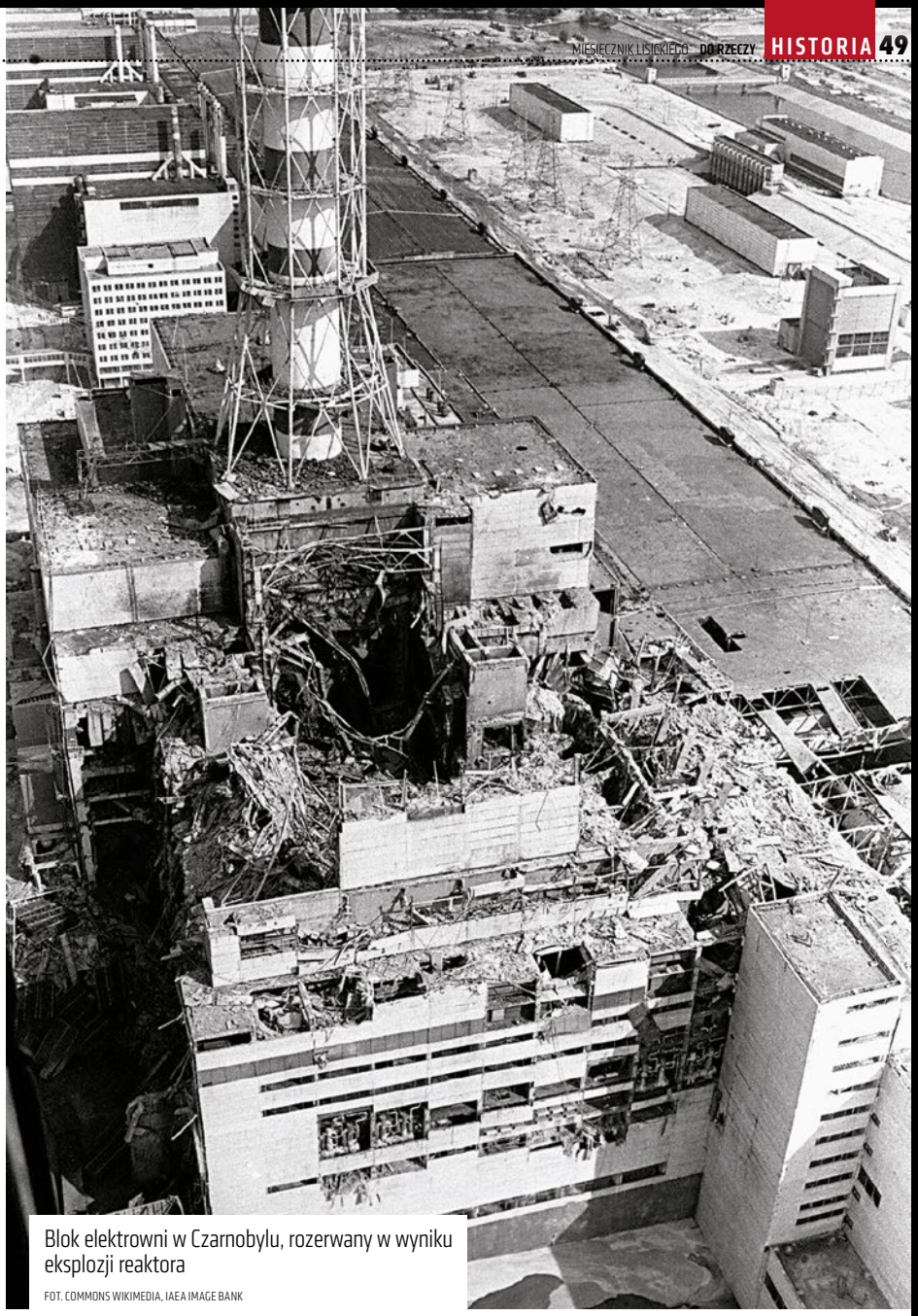

Blok elektrowni w Czarnobylu, rozerwany w wyniku eksplozji reaktora

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, IAEA IMAGE BANK

eprasa.pl 3fb0395e21

Grupa ratowników w gumowo-ołowianych kombinezonach, Czarnobyl, maj 1986 r.

FOT. NOVOSTI/SIPA/EAST NEWS

ptaka zniszczony blok nr 4. W kolejnych latach wielokrotnie przyjeżdżał do skażonej strefy, by dokumentować usuwanie skutków katastrofy. Efektem tej pracy jest jego książka pt. „Czarnobyl. Spowiedź reportera".

„W następnym tygodniu wiele razy wracałem do Czarnobyla. Ponieważ nie miałem jeszcze akredytacji, musiałem dogadywać się z milicjantami zabezpieczającymi teren. Niektórzy z nich pamiętali o albumie fotograficznym, który poświęciłem milicji, i zapraszali mnie do swoich samochodów. Udzielali mi także rad, jak chronić się przed promieniowaniem. Codziennie na miejsce katastrofy przyjeżdżali uczeni, przedstawiciele wojska i partii, aby kierować pracami i nadzorować działania milicji, żołnierzy i robotników. Związek Radziecki odrzucił pomoc międzynarodową i radził sobie środkami, jakimi dysponował – pisał Kostin. – Do pracy zmobilizowano ludzi. To do nich należała likwidacja skutków katastrofy w elektrowni atomowej w Czarnobylu. Od tej pory przylgnie do nich oficjalna i zarazem straszna nazwa »likwidatorzy«. Ogółem do elektrowni wysłano od sześciuset do ośmiuset tysięcy żołnierzy i oficerów, również rezerwistów, których sprowadzono z całego Związku Radzieckiego. Pracowali tam także robotnicy i chłopi ukraińscy oraz białoruscy. Władza potrzebowała ich rąk i ich odwagi".

Kostin opisywał, jak nierównomiernie rozchodzi się promieniowanie, tworząc na ziemi „plamy". „Likwidatorzy" z dozymetrami mogli w jednym miejscu zarejestrować 500 rentgenów (statystycznie rzecz biorąc, człowiek stojący w takim miejscu przez godzinę przyjmował śmiertelną dawkę), a tuż obok zaledwie kilka rentgenów. Na poziom promieniowania duży wpływ miały warunki pogodowe. Deszcz czy wiatr potrafiły znacząco zmienić „mapę" promieniowania.

„Nie wiem, czy ci ludzie byli naprawdę wolontariuszami. Ale tak czy owak dokonali rzeczy niewyobrażalnej. Wszyscy mieszkańcy naszego globu zawdzięczają im życie – pisał Kostin. – Bez ich poświęcenia skutki katastrofy w elektrowni atomowej byłyby znacznie gorsze. Gorsze na Ukrainie i na Białorusi, ale także gorsze w całej Europie, której połowa ludności musiałaby zostać przesiedlona, a połowa jej powierzchni przestałaby się nadawać pod uprawę. Likwidatorzy oddali do dyspozycji władz jedną z niewielu rzeczy, jakie można było jeszcze posiadać w Związku Radzieckim – swoje życie".

W książce fotoreportera możemy przeczytać relacje „likwidatorów". Jeden z nich, Arkadij Filin, tak wspominał czas swojej służby: „Codziennie otrzymywaliśmy gazety. Czytałem tylko nagłówki: »Czarnobyl, miejsce wielkiego czynu«, »Reaktor został pokonany«, »Życie toczy się dalej«. Politruk naszej jednostki organizował zebrania i mówił nam, że musimy zwyciężyć. Ale zwyciężyć kogo? Atom? Przyrodę? Wszechświat?".

Grafitowy problem

Adam Higginbotham, brytyjski reporter piszący m.in. dla „New Yorkera", kilka lat swojego życia poświęcił na opisanie katastrofy w Czarnobylu i odarcie jej z mitów. Efektem jest książka „O północy w Czarnobylu".

„Myślę, że coś takiego nie mogło się zdarzyć na Zachodzie na taką skalę. Ciężko jest bowiem zniszczyć reaktor w taki sposób, by skażenie rozprzestrzeniło się na całą półkulę północną – tłumaczył mi Higginbotham w czasie wywiadu. – Po pierwsze, trzeba zbudować reaktor, który nie ma potężnej obudowy bezpieczeństwa… Ponadto ten typ reaktora był programowo niestabilny i po prostu niebezpieczny. To była konstrukcja typowo sowiecka. Na szczycie listy problemów Czarnobyla było też to, że cały projekt zarządzany był w oparciu o dyktat gospodarki planowej. W takich warunkach bezpieczeństwo przestaje być najbardziej istotne. Jeżeli dodamy do tego robienie tajemnicy ze wszystkiego oraz kłamstwa, które utrudniają specjalistom poznanie prawdy o reaktorze, to mamy wszystkie elementy, których wystąpienie jest konieczne do zaistnienia katastrofy na taką skalę".

Brytyjski reporter podkreśla, że kierownictwo sowieckiego przemysłu jądrowego było skrajnie aroganckie i pewne siebie, co w rzeczywistości było proszeniem się o problemy.

„Ta katastrofa była możliwa z dwóch głównych powodów. Po pierwsze, ten typ reaktora [tzw. RBMK – przyp. red.] był źle zaprojektowany. Był on niebezpieczny z powodu użycia grafitu. Już na początku ery atomu, w 1957 r., doszło do pożaru grafitu w reaktorze w Windscale w Wielkiej Brytanii. Od tego czasu cały świat wiedział, że użycie tego materiału jest złym pomysłem. ZSRS produkował dużo bezpieczniejsze reaktory, ale RBMK były po prostu potężniejsze. W związku z ich wielkością nie można ich było obudować specjalną osłoną bezpieczeństwa, co okazało się tragiczne w skutkach – opowiadał mi Serhii Plokhy. – Drugim elementem, którego zaistnienie było konieczne, by doszło do tego wypadku, był personel elektrowni pracujący w bardzo specyficznych warunkach. Z jednej strony ludzie obsługujący RBMK nie wiedzieli do końca, jak niebezpieczne są te reaktory, a z drugiej strony mieli olbrzymią swobodę, jeżeli chodzi o gwałcenie wszelkich

Pomnik w Charkowie upamiętniający „likwidatorów" FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MICHAEL MOLL

eprasa.pl 3fb0395e21

norm bezpieczeństwa. Te dwie rzeczy sprawiły, że katastrofa była możliwa".

Ostatnie stadium

Polski dziennikarz Waldemar Siwiński w 1989 r. wydał, jako pierwszy w PRL, książkę na temat tamtej awarii – „Czernobyl. Od katastrofy do procesu". Siwiński rozmawiał z wieloma osobami, które brały udział w likwidowaniu skutków wybuchu.

Jednym z jego rozmówców był strażak Grigorij Chmiel, lat 50: „Mój ZIŁ-130 to dobra maszyna – jechałem więc do pożaru osiemdziesiątką. Nad głową trzeszczała radiostacja – wywoływał Iwanków. Poleskoje, nasz dyspozytor się włączał. Zacząłem się domyślać, że to poważna sprawa. Pomogłem podłączyć maszynę do hydrantu. Widziałem, jak po przystawionej drabinie pobiegli w górę ci, którzy potem zginęli – Kola Waszczuk i inni… Kiedy zobaczyliśmy z dołu, że ognia już coraz mniej, a zaczynają sypać się iskry, mówię do swoich: – Chłopcy, to już dogorywa.

Przyszedł Leonienko, zastępca dowódcy drugiego oddziału. Widzieliśmy już wtedy, że Prawika powieźli, Tielatnikowa powieźli – zrozumieliśmy, co to promieniowanie. Mówi nam: – Idźcie do stołówki, weźcie proszki […]. Razem z Jakubczykiem, moim znajomym kierowcą z Dymera, wsiedliśmy w samochód i podjechaliśmy pod budynek dyrekcji. Tam nas zaprowadzili do jednego z pokoju i zaczęli sprawdzać napromieniowanie. Wszyscy kolejno podchodzą, a taki jeden pisze: skażony, skażony, skażony… Poza tym nie mówi nic".

Waldemar Siwiński cytuje też w swojej książce fragment rozmowy z prof. Angeliną Guskową, dyrektor kliniki nr 6 w Moskwie, gdzie trafiali „likwidatorzy" cierpiący na chorobę popromienną. Sowieci ściągali najlepszy sprzęt i specjalistów, ale skala wyzwania była przytłaczająca.

Odznaczenia przyznawane uczestnikom akcji w Czarnobylu

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, F. LAMIOT, A. VILLAIN

„Wszystko wydarzyło się tak szybko, że nawet najciężej chorzy nie zdążyli pojąć prawdziwych realiów sytuacji. Interesowało ich głównie to, czy będą mogli potem pracować w elektrowni, czy będą mieć dzieci?… Prowadziliśmy z nimi długie rozmowy na te tematy, choć ze swojego lekarskiego doświadczenia wiedzieliśmy, że życie wielu z nich mierzy się już zaledwie dniami… – opowiadała prof. Guskowa. – Mimo że niektórzy mieli objawy ostatniego stadium choroby, to jednak i temperaturę, i inne dolegliwości znosili bardzo dzielnie. Byli to przecież młodzi, silni ludzie, którzy wierzyli, że szybko wyjdą z tego. Nam wszystkim było w tych dniach bardzo ciężko. Oczywiście likwidowaliśmy u nich wiele symptomów choroby: ból, temperaturę… Ale wiedzieliśmy przecież, co czeka tych chłopców".

Radiacyjne oparzenia

Profesor Guskowa pojawia się również w książce „Czarnobyl. Zapis faktów", której autorem jest brytyjski historyk Piers Paul Read:

„Pacjenci ciągle umierali. Właśnie w tym dniu, wskutek ran skóry i szoku po przeszczepie, umarł młody Wiktor Proskuriakow, którego Diatłow [zastępca naczelnego inżyniera w elektrowni – przyp. red.] posłał, by opuścił pręty regulacyjne w hali reaktora. Ten sam los spotkał Łopatiuka, który z takim poświęceniem pomagał Lelczence w naprawie instalacji elektrycznej. Po jednym dniu spokoju skonał jeszcze jeden inżynier, wskutek termicznych i radiacyjnych oparzeń. A 18 i 19 maja umarli następni trzej pacjenci.

Guskowa, Baranow i cały zespół lekarzy, prócz cierpiących chorych, mieli także do czynienia z ich udręczonymi krewnymi. Sprawę obecności przy łóżkach konających lekarze pozostawili do decyzji im samym. Pewna ciężarna młoda kobieta, żona operatora, zapytała Guskową, czy może zobaczyć swego męża. Cierpiał on straszliwie wskutek silnego krwawienia w klatce piersiowej i brzuchu. Guskowa obawiała się reakcji kobiety na tak straszny widok i poprosiła ją, by przyszła następnego dnia.

– Czy może pani przekazać mu ten magazyn ilustrowany?

Guskowa wzięła czasopismo, a gdy kobieta się oddaliła, poszła do pacjenta. Otworzył oczy i zapytał:

– Czy to była moja żona?

– Tak.

– Co pani jej powiedziała?

– Żeby przyszła jutro.

– To dobrze.

W chwilę później już nie żył".

Serhii Plokhy uważa, że każdy kraj – autorytarny czy też demokratyczny – wysłałby na miejsce katastrofy ludzi, których zadaniem byłoby odsunięcie bezpośredniego zagrożenia atomową apokalipsą.

„W takich przypadkach nie ma innego wyjścia. Zupełnie inna sprawa to sposób, w jaki wysłano tam »likwidatorów«. Dla potwierdzenia tezy, że nawet demokracje łamią w takich sytuacjach normy, przypomnę tylko, że po awarii w elektrowni w Fukushimie Japończycy nie mogli wykorzystać z powodów prawnych armii. Znaleźli jednak wyjście z tej sytuacji. Media ujawniły potem bardzo niepokojące historie o rekrutacji ludzi spoza Japonii, m.in. Wietnamczyków, którzy »sprzątali« teren wokół elektrowni, ponieważ sami Japończycy nie chcieli tego robić – opowiadał Plokhy. – W katastrofach tego typu rozróżnienie na dobrych kapitalistów i złych komunistów traci trochę na ostrości. Myślę, że »typowo sowieckie« było w historii Czarnobyla co innego: ukrywanie prawdziwych informacji na temat skali tej katastrofy. To odróżniało Sowietów od reszty świata".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3fb0395e21

Ulica w getcie w Warszawie

FOT. YAD VASHEM

XX w. / Żydzi, polscy patrioci

Stefan Lubliner i zagadka „Żagwi”

Marek Gałęzowski

Przez lata uważano, że konspiracyjne pismo „Żagiew” wydawane w getcie w Warszawie było prowokacją niemiecką i dziełem żydowskich kolaborantów. Jak się jednak okazało, prawda wyglądała zupełnie inaczej

Bez względu na wszelkie specjalne ustawy i prześladowania antyżydowskie, bez względu na mury i parkany, którymi Niemcy pragnęliby odgrodzić Żydów od reszty ludności polskiej, Żydzi byli, są i będą członkami Wielkiej Spólnoty Polskiej, są obywatelami Państwa i Narodu Polskiego, są Polakami. Dlatego też [walka o] Wolną, Niepodległą i Mocarstwową Polskę – [jest naszym] najwyższym ideałem i naszym największym zadaniem” – pisano wiosną 1942 r. we „wstępniaku” jednego z pierwszych numerów czasopisma konspiracyjnego „Żagiew”, ukazującego się w getcie warszawskim.

W powojennej historiografii pismo to bardzo długo uważano za prowokację niemiecką, łącząc je z grupką żydowskich kolaborantów z kierowanego przez Abrahama Gancwajcha Urzędu do Walki z Lichwą i Spekulacją, tzw. Trzynastką (ponieważ mieściła się przy ul. Leszno 13). Czy jednak przekonanie to nie było w istocie pozbawionym podstaw pomówieniem, które po wojnie stało się kalumnią rzuconą na niemającą nic wspólnego z „Trzynastką” patriotyczną grupę Polaków pochodzenia żydowskiego, prowadzących walkę cywilną z Niemcami, podobną do tej, która toczyła się za murami getta?

Redaktor pierwszej „Żagwi”

Nazwiska ludzi redagujących „Żagiew” nie są znane. Można jednak domyślać się wśród nich weteranów zmagań o niepodległość Polski z czasów pierwszej wojny światowej i wojen o granice RP, należących do utworzonego w latach 30. Związku Żydów Uczestników Walk o Niepodległość Polski, jak również łączyć ich ze środowiskiem opowiadającym się za asymilacją polskich Żydów. I w tym kontekście pojawia się osoba Stefana Lublinera jako domniemanego redaktora tego konspiracyjnego pisma.

Urodzony 1890 r. w Warszawie był synem Stanisława Leopolda i Eugenii z domu Cohn. Rodzice zasłużyli się wybitnie kulturze i nauce polskiej. Ojciec,

eprasa.pl 3fb0395e21

Stefan Lubliner

FOT. JAGIELLOŃSKA BIBLIOTEKA CYFROWA, „ZWIĄZEK ŻYDÓW UCZESTNIKÓW WALK O NIEPODLEGŁOŚĆ POLSKI. SPRAWOZDANIE Z DZIAŁALNOŚCI 1933–1935"

lekarz laryngolog, był wieloletnim ordynatorem w Szpitalu Starozakonnych, autorem licznych prac dotyczących także innych dziedzin medycyny, współzałożycielem czasopisma „Medycyna". Matka należała do prekursorek organizacji opieki nad upośledzonymi dziećmi, m.in. jako kierowniczka Instytutu Pedagogicznego dla Małozdolnych i przytułku pedagogicznego dla chorych i bezdomnych dzieci w Siedlcach. Opublikowała liczne prace z tej dziedziny pedagogiki; jedną z nich była „Szkoła dla dzieci niedorozwiniętych: jej zadania, środki i rezultaty".

Jako gimnazjalista Stefan uczestniczył w strajku szkolnym i w walce o polską szkołę w zaborze rosyjskim. Po likwidacji przez władze carskie powołanej przez polskich działaczy oświatowych Szkoły Zrzeszenia Nauczycieli, w której się uczył, wyjechał na studia do Szwajcarii. Tam, na uniwersytecie w Lozannie, był jednym ze współzałożycieli Filarecji, a po jej podziale związał się z odłamem niepodległościowym tej organizacji. Wybuch pierwszej wojny światowej zastał go w Warszawie. Należał do inicjatorów podjęcia działalności Filarecji wśród warszawskich akademików, propagując ideę legionową – walki zbrojnej z zaborcą rosyjskim, a wkrótce wstąpił do Polskiej Organizacji Wojskowej, przyjmując pseudonim Stalski. W swoim wniosku o odznaczenie niepodległościowe nie podał, że akces do Legionów uniemożliwiła mu choroba płuc.

Jedną z głównych form aktywności Lublinera w czasie okupacji niemieckiej lat 1915–1918 było upowszechnienie idei niepodległościowych i haseł asymilacyjnych wśród młodzieży żydowskiej. Temu celowi miały służyć rozwój drużyn im. Berka Joselewicza i powołanie Związku Młodzieży Polskiej Pochodzenia Żydowskiego „Żagiew", opowiadającego się za asymilacją i deklarującego przeciwstawienie się ruchowi syjonistycznemu. Ich organem stał się miesięcznik „Żagiew", ukazujący się od września 1916 r. do października 1917 r., z Lublinerem w trzyosobowym komitecie redakcyjnym. Wydawanie pisma przerwały represje niemieckie po kryzysie przysięgowym i aresztowanie niektórych działaczy związanych z tym kręgiem (pismo na krótko wznowiono jeszcze po odzyskaniu niepodległości). W wolnej już Polsce za swoją „ofiarną działalność społeczno-obywatelską i publicystyczną", przed pierwszą wojną światową i w jej czasie Lubliner został odznaczony Krzyżem Niepodległości, a także Krzyżem POW i odznaką „Za walkę o szkołę polską".

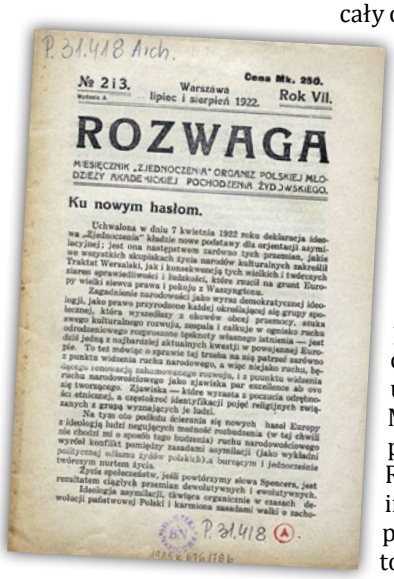

P. 31.418 Arch.

№ 2 i 3. Warszawa lipiec i sierpień 1922. Cena Mk. 250. Rok VII.

ROZWAGA

MIESIĘCZNIK „ZJEDNOCZENIA" ORGANIZ. POLSKIEJ MŁODZIEŻY AKADEMICKIEJ POCHODZENIA ŻYDOWSKIEGO.

Ku nowym hasłom.

Uchwalona w dniu 7 kwietnia 1922 roku deklaracja ideowa „Zjednoczenia" kładzie nowe podstawy dla orjentacji asymilacyjnej; jest ona następstwem zarówno tych przesłanek, jakie we wszystkich skupiskach życia narodów kulturalnych zakreślił Traktat Wersalski, jak i konsekwencją tych wściekłych i twórczych ziarn sprawiedliwości i ludzkości, które rzucił na grunt Europy wielki siewca prawa i pokoju z Waszyngtona.

Zagadnienie narodowości jako wyraz demokratycznej ideologji, jako prawo przyrodzone każdej okrzaślającej się grupy społecznej, która wyzwoliwszy z okowów obcej przemocy, szuka swego kulturalnego rozwoju, zespala i całkuje w ognisko ruchu odrodzeniowego rozproszone tęsknoty własnego istnienia — jest dziś jedną z najbardziej aktualnych kwestji w powojennej Europie. To też mówiąc o sprawie tej trzeba na nią patrzeć zarówno z punktu widzenia ruchu narodowego, a więc niejako ruchu, będącego (ewocacją zahamowanego rozwoju, i z punktu widzenia ruchu narodowościowego jako zjawiska par excellence ab ovo się twórczego. Zjawiska — które wyrasta z poczucia odrębności etnicznej, a częściokroć identyfikacji pojęć religijnych związanych z grupą wyznających je ludzi.

Na tym ote podłożu dziennia się nowych haseł Europy z ideologją ludzi negujących możność rozbudzenia (w tej chwili nie chodzi mi o sposób tego budzenia) ruchu narodowościowego wyrodł konflikt pomiędzy zasadami asymilacji (jako wykładni politycznej oblamu żydów polskich) a burzącym i jednocześnie twórczym nurtem życia.

Życie społeczeństw, jeśli powtórzymy słowa Spencera, jest rezultatem ciągłych przemian dewolutywnych i ewolutywnych.

Ideologja asymilacji, tkwiąca organicznie w czasach dewolucji państwowej Polski i karmiona zasadami walki o zacho-

P. 31.418 A.

„Rozwaga", pismo Zjednoczenia Organizacji Polskiej Młodzieży Akademickiej Pochodzenia Żydowskiego

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Przekonany zwolennik asymilacji

W czasie wojny z bolszewikami Lubliner został zmobilizowany i przydzielony do Ministerstwa Spraw Wojskowych, a następnie Oddziału II Naczelnego Dowództwa WP, gdzie jego przełożonym był m.in. wybitny piłsudczyk Ignacy Matuszewski. Po demobilizacji przez cały okres międzywojenny pracował jako dziennikarz, m.in. założył Warszawską Informację Prasową i kierował nią. Zbierała ona wiadomości z prasy zagranicznej, które następnie tłumaczono i rozsyłano do redakcji współpracujących z agencją, oraz instytucji urzędowych, w tym MSZ, stronnictw politycznych i Sejmu RP; przekazywała też informacje z prasy polskiej korespondentom zagranicznym.

Ale najważniejszym wyrazem aktywności społecznej Lublinera w czasach niepodległego państwa polskiego było zaangażowanie w rozwój ruchu asymilacyjnego, którego stał się czołowym przedstawicielem, a przez osoby postronne był uznawany wręcz za jego fanatyka. Po utworzeniu w 1922 r. Zjednoczenia Organizacji Polskiej Młodzieży Akademickiej Pochodzenia Żydowskiego, nazywanego „Zjednoczeniem", Lublinera wybrano na przewodniczącego zarządu stowarzyszenia; zasiadał również w jego władzach w następnych latach. Główną jego rolą było jednak pełnienie funkcji redaktora organu Zjednoczenia – czasopisma „Rozwaga", które zastąpiło dawną „Żagiew". Ideę „Rozwagi" nieodmiennie oddawały jej kolejne podtytuły: „Miesięcznik poświęcony idei zjednoczenia Żydów z państwem i narodem polskim", organ Koła Patriotów Polskich Wyznania Mojżeszowego, organ Naczelnej Rady Związku Akademickiej Młodzieży Zjednoczeniowej, miesięcznik poświęcony idei zespolenia Żydów z narodem polskim.

W czasie okupacji niemieckiej, jesienią 1940 r., podobnie jak inni warszawscy Żydzi Lubliner został przymusowo przesiedlony do getta. Odegrał pewną rolę w tworzeniu Służby Porządkowej – miał pośredniczyć w objęciu stanowiska jej szefa przez płk. Józefa Szeryńskiego. Sam został kierownikiem kancelarii głównej Służby. Rola Lublinera w tej – jak się miało okazać – złowrogiej formacji policyjnej ograniczyła się jedynie do pełnienia wspomnianej funkcji urzędniczej, gdyż tylko w tym kontekście został on wymieniony przez najlepszą znawczynię dziejów Służby Porządkowej – Katarzynę Person.

Druga „Żagiew" – Lublinera?

Na początku 1942 r. w getcie warszawskim zaczęło ukazywać się

eprasa.pl 3fb0395e21

Akademia ku czci Żydów poległych za Polskę, Warszawa 1934 r. FOT. NAC

czasopismo konspiracyjne „Żagiew" (zachowane numery pochodzą z okresu luty–maj tamtego roku). W tytule nawiązywało ono do wspomnianego, ukazującego się w czasie pierwszej wojny światowej i krótko po niej pisma żydowskich niepodległościowców, zwolenników asymilacji i członków ruchu na jej rzecz w międzywojniu, w większości także należących do Związku Żydów Uczestników Walk o Niepodległość Polski. I to najpewniej ludzie z tego kręgu byli inicjatorami podjęcia działalności podziemnej w getcie, której głównym wyrazem było wspomniane pismo.

Wszystkie zachowane numery „Żagwi" opublikowano w opracowaniu Marcina Urynowicza w 20. tomie wydawnictwa źródłowego Archiwum Ringelbluma, obejmującym prasę środowisk prawicowych w getcie. Uznanie „Żagwi" za pismo prawicowe jest jednak błędne – nie przynależało ono bowiem do ugrupowania sytuującego się nie tylko w tym, lecz także w ogóle jakimkolwiek określonym nurcie politycznym. Miało ono jedynie oblicze niepodległościowe i demokratyczne, nastawione wyłącznie na walkę z okupantem, nie zaś upowszechnianie danego programu politycznego. Jego idee dobrze oddają słowa jednego z artykułów: „Droga ta jest mimo wszystko jasna, zbawienna i jedyna, tą drogą jest Wolna i Niepodległa Polska, w której sprawiedliwość i demokratyczne rządy dadzą wszystkim Jej mieszkańcom, bez względu na ich wyznanie i narodowość, równie prawa do życia i dóbr państwowych […]. Dlatego też drogowskaz Żyda, szukającego rozstrzygnięcia w walce ducha, jest jednym – wiara w przyszłą i demokratyczną Polskę".

Jako redaktora „Żagwi" wskazał Lublinera autor opracowania wspomnianego tomu Archiwum Ringelbluma. Brak źródłowego poświadczenia tej informacji każe uznać ją jednak tylko za przypuszczenie. Ma ono swoje uzasadnienie w biografii Lublinera jako lidera ruchu asymilacyjnego i dawnego redaktora pisma o tym samym tytule; nie jest też przypadkowe, że w kontekście domniemanego kierowania podziemną „Żagwią" występuje jedynie jego nazwisko, nie zaś jakiejkolwiek innej osoby. Warto również zwrócić uwagę na relację autora anonimowego raportu „Asymilatorzy i neofici w okresie działań wojennych i zamkniętej dzielnicy żydowskiej" (opublikowanego w tomie 5. Archiwum Ringelbluma w opracowaniu Katarzyny Person), który wspominał, że Lubliner bardzo dystansował się od dawnych poglądów asymilacyjnych, ale z oburzeniem odrzucił jego uwagę o nikczemnym postępowaniu Polaków wobec Żydów, mówiąc, „że za kołtunerię drobnomieszczańską nie można winić całego narodu", on zaś „był, jest [i] będzie optymistą w kwestii żydowskiej w Polsce". Uwaga ta znajduje odbicie w „Żagwi", gdzie wyrażono przekonanie, „że nadchodząca Polska będzie demokratyczną, ojczyzną i Matką dla wszystkich obywateli bez różnicy wyznania", i wiarę, iż „zwycięstwo państw sprzymierzonych oznacza automatyczną likwidację wszelkich państwowych ustrojów szowinistycznych i ogólnoświatową demokrację".

Ta wiara w aliantów zachodnich, jak się okazało przesadna, znalazła wyraz także w tekście „Niegodne postępowanie Sowietów!": „Na szczęście jesteśmy świadomi całkowicie, że przy kształtowaniu się nowej Europy głos sowiecki będzie tyle ważył, co niemiecki. Wykrwawiona dzięki przezornej polityce angielskiej Rosja będzie musiała robić to, co uzna za wskazane angielsko-amerykańska racja stanu".

W „Żagwi" opisywano terror niemiecki wobec Polaków i Żydów, m.in. ludobójcze zbrodnie dokonane na Żydach w obozie w Chełmnie nad Nerem, upowszechniano hasła walki cywilnej, sformułowane przez Polskie Państwo Podziemne („jedźcie sami", dopisywane na niemieckich afiszach propagujących dobrowolne wyjazdy na roboty do Niemiec), podawano informacje ze świata ukrywane przez niemiecką propagandę. Potępiano postawy tych Żydów w dzielnicy zamkniętej, którzy „pod płaszczykiem funkcji społecznych lub urzędowo-gminnych wyciągają z tego ogromne korzyści materialne, krzywdząc tym setki i tysiące swych współziomków, którzy i tak znajdują się w wielkiej nędzy i ucisku władzy okupacyjnej. Osobnicy ci chyba zapominają, iż wysługiwanie się władzom okupacyjnym jest ciężkim wykroczeniem przeciw społeczeństwu polskiemu, ale przede wszystkim przeciw ogólnej sprawiedliwości wolnych i prawych ludzi" („Trybuna opinii"; podobne treści znalazły się również w artykule „Indyferentyzm moralny").

W treściach prezentowanych w „Żagwi" formułowano też postulaty dotyczące kształtu i granic powojennej Polski – włączenia do Polski Gdańska, Prus Wschodnich i Śląska oraz przesiedlenia ludności niemieckiej za Odrę. Natomiast w kwestii granicy wschodniej nawiązywano do dawnej idei federacyjnej Józefa Piłsudskiego.

Działalność grupy „Żagwi" załamała się latem, kiedy Niemcy rozpoczęli deportacje warszawskich Żydów do obozu zagłady w Treblince. Ukazujący się od grudnia 1942 r. do 1 lutego następnego roku „Biuletyn Informacyjny Żagiew", sygnowany nazwą organizacji „Żagiew", którego ostatni zachowany numer pochodzi z 1 lutego 1943 r., był najpewniej odrębnym pismem i tak zakwalifikowano je w tomie 20. Archiwum Ringelbluma. Przekonania, że są to dwa rożne tytuły, uzasadniają pewne różnice formalne (biuletyn „Żagiew" miał niemal wyłącznie charakter informacyjny), ale

eprasa.pl 3fb0395e21

przede wszystkim brak jakichkolwiek danych pozwalających łączyć je – poza podobnym tytułem – z „Żagwią", wydawaną przez dawnych kombatantów walk o niepodległość Polski.

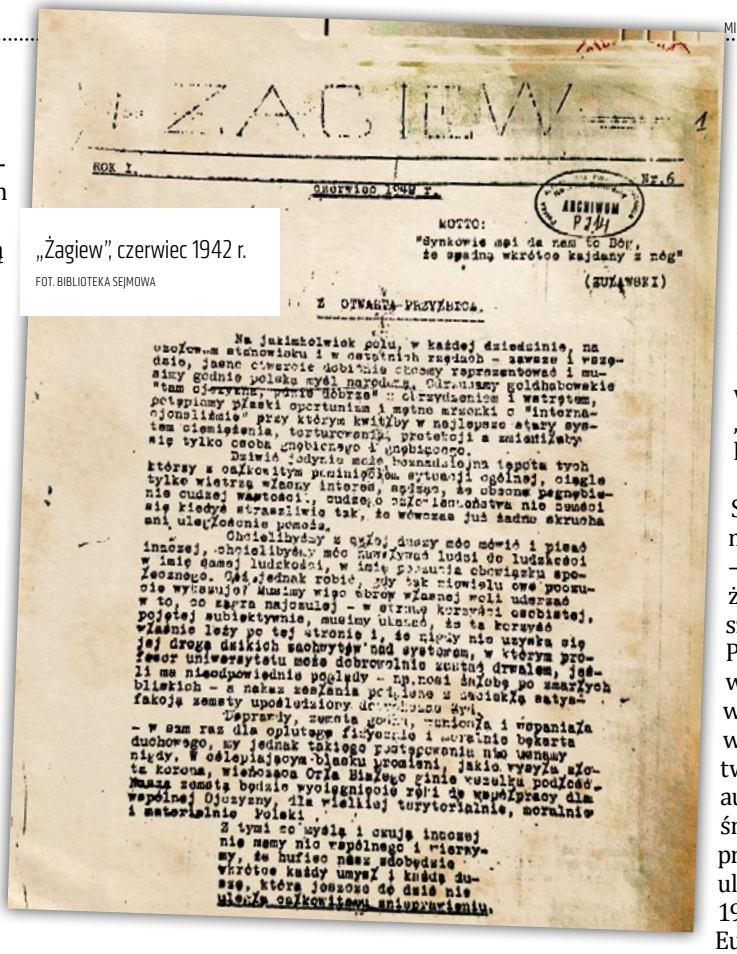

ŻAGIEW

ROK I. Czerwiec 1942 r. Nr.6

ARCHIWUM P 741

MOTTO:
"Synkowie mój da nam to Bóg,
że spadną wkrótce kajdany z nóg"
(ZULAWSKI)

Z OTWARTA PRZYŁBICA.

Na jakimkolwiek polu, w każdej dziedzinie, na
czołowem stanowisku i w ostatnich rzędach - zawsze i wszę-
dzie, jasne czerwcie dobitnie chcemy reprezentować i mu-
simy godnie polski ryel narodowy. Odrzucamy goldhabowskie
"tam ojczyzna, gdzie dobrze" z obrzydzeniem i wstrętem,
potępiamy płaski oportunizm i mętne arkanki o "interna-
cjonaliźmie" przy którym kwitłby w najlepsze stary sys-
tem ciemiężenia, torturowania, protekcji a zniewalający
się tylko cecha gnębiącego i gnębiącego.
Dziwią jedynie może bezradna tępota tych
którzy z całkowitym pominięciem sytuacji ogólnej, ciągle
tylko wietrzą własny interes, sądząc, że obsesyjne pogębie-
nie cudzej wartości., cudzego człowieczeństwa nie zemści
się kiedyś straszliwie tak, że wówczas już żadne skrucha
ani ulęgłożenie pomoże.
Chcielibyśmy z całej duszy coś mówić i pisać
inaczej, chcielibyśmy móc nawoływać ludzi do ludzkości
w imię samej ludzkości, w imię poczucia obowiązku spo-
łecznego. Cóż jednak robić, gdy tak niewielu owe poczu-
cie wykazuje? Musimy więc obrów własnej woli uderzać
w to, co zgrza najczulej - w stronę korzyści osobistej,
pojętej subiektywnie, musimy ukazać, że ta korzyść
właśnie leży po tej stronie i, że nigdy nie uzyska się
jej drogą dzikich zachwytów nad systemem, w którym pro-
fesor uniwersytetu może dobrowolnie zostać drwalem, jeśli
ma nieodpowiednie poglądy - np. nosi żałobę po zmarłych
bliskich - a nakaz zesłania pędzlem z dedicką satysfa-
kcją zemsty upodlużony do [illegible]
Doprawdy, zwycięzca godny, uniesiona i wspaniała
- w sam raz dla opluwego fizycznie i moralnie bękarta
duchowego, my jednak takiego postępowania nie uznamy
nigdy. W oślepiającym blasku promieni, jakie wysyła zło-
ta korona, wieńcząca Orła Białego ginie wszelka podłość.
Nasza zemsta będzie wyciągnięcie ręki do współpracy dla
wspólnej Ojczyzny, dla wielkiej terytorialnie, moralnie
i materialnie Polski.
Z tymi co myślą i czują inaczej
nie mamy nic wspólnego i wierzymy,
że hufiec nasz zdobędzie
wkrótce każdy umysł i każdą du-
szę, która jeszcze do dziś nie
uległa całkowitemu zniewoleniu.

„Żagiew", czerwiec 1942 r.
FOT. BIBLIOTEKA SEJMOWA

Kalumnia rzucona na „Żagiew"

Po wojnie pismo żydowskich kombatantów walk o niepodległość Polski zostało – jak wspomniano – powiązane z grupą konfidencką Gancwajcha, tzw. Trzynastką. Na patriotyczny charakter pisma i brak dowodów na jego związki z niemiecką agenturą jako pierwszy zwrócił uwagę dopiero kilkanaście lat temu Dariusz Libionka. Natomiast później Marcin Urynowicz zauważył, że przekonanie o agenturalnym charakterze „Żagwi" było oparte w istocie na dwóch bardzo ogólnych relacjach członków Żydowskiej Organizacji Bojowej, którzy – dodajmy – nie wymienili żadnego nazwiska związanego ze środowiskiem Żydów – uczestników walk o niepodległość, którzy jakoby kolaborowali z Niemcami. Żaden taki wypadek nie jest zresztą znany.

Ponadto „Żagiew", do której chyba wcześniej nie sięgnął żaden z badaczy powtarzających wersję o jej agenturalnym charakterze, miała – jak widać z przytoczonych treści – charakter wybitnie niepodległościowy. Potępiała nie tylko wysługiwanie się Niemcom, lecz także wszelkie zachowania niegodne obywateli okupowanej Polski, z nazwiska wymieniając tych, których uznawano za kolaborantów lub konfidentów gestapo, na czele z Abrahamem Gancwajchem. Zwłaszcza to ostatnie czyni nieprawdopodobnym to, że inspirował on lub wydawał pismo, w którym został nazwany „starym szpiclem niemieckim".

Jakie były dalsze losy Stefana Lublinera, domniemanego redaktora „Żagwi" – patriotycznego pisma żydowskiego w getcie w Warszawie? Jako urzędnik Służby Porządkowej uniknął wywiezienia do obozu zagłady w Treblince i nadal pracował w sekretariacie jej kierownictwa. Nie zginął, jak podają inni autorzy, w 1942 r. Od września tamtego roku Lubliner przebywał w mieszkaniu przy ul. Dzielnej, skąd 24 stycznia 1943 r. przeszedł wraz z żoną Eugenią, którą poślubił krótko przed wojną, do tzw. małego getta, wydzielonego w części południowej dzielnicy zamkniętej. Tutaj ślad obojga się urywa. Przypuszczalnie zginęli w czasie powstania, które wybuchło w getcie niespełna trzy miesiące później. Brak śladów, by zostali wywiezieni do obozu na Majdanku, dokąd skierowano część osób przebywających w getcie w tym czasie i w większości zamordowanych jeszcze w tym samym roku.

Pewne jest, że ten patriota, peowiak i działacz ruchu asymilacyjnego padł ofiarą dokonanej przez Niemców zagłady Żydów także dlatego, że jego los nie był znany dwojgu z rodzeństwa, które przeżyło wojnę, ukrywając się po tzw. stronie aryjskiej: Karolinie, używającej nazwiska Lubliner-Mianowska, przyrodniczce, pracowniczce naukowej Uniwersytetu Warszawskiego i Politechniki Gdańskiej, działaczce polskiego harcerstwa, i Wiktorowi, od czasów okupacji posługującemu się nazwiskiem Ostrowski, elektrykowi, oficerowi AK, więźniowi Pawiaka i niemieckiego obozu w Stutthofie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, pracownikiem Archiwum IPN.

Kompania rowerowa Żydowskiej Służby Porządkowej
FOT. BUNDESARCHIV

eprasa.pl 3fb0395e21

Nelson Rockefeller (z prawej) i Henry Kissinger, sekretarz stanu, 1975 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ROCKEFELLER ARCHIVE CENTER

Wieki XIX–XXI / Ropa, banki i polityka

Stulecie Rockefellerów

Jakub Wozinski

Ataki z 11 września 2001 r. w symboliczny sposób zakończyły okres największej potęgi wpływowego rodu – to właśnie do Rockefellerów należało obrócone w ruinę World Trade Center

Gdy w 1973 r. na Manhattanie uroczyście otwierano imponujący kompleks biurowców, w całym Nowym Jorku o dwóch bliźniaczych wieżach mówiono z przekąsem: „David" i „Nelson". Przez rok, aż do momentu ukończenia Sears Tower w Chicago, oba budynki tworzące World Trade Center był najwyższymi wieżowcami na świecie.

Współcześnie najbardziej spektakularne konstrukcje ze szkła i stali powstają w Dubaju, Shenzhen czy Mumbaju, lecz pół wieku temu liderem pozostawał wciąż Nowy Jork. A w Wielkim Jabłku największym bogaczem był bezdyskusyjnie David Rockefeller. Stał on na czele największego amerykańskiego banku Chase Manhattan oraz prestiżowego Museum of Modern Arts.

Jednym ze sztandarowych projektów jego brata Nelsona, który był gubernatorem stanu Nowy Jork, była rewitalizacja terenów portowych na Dolnym Manhattanie. W wyniku starań Nelsona przemysłowa niegdyś część miasta przerodziła się w prawdziwy las wieżowców. Oczywiście najbardziej prestiżowe należały do jego brata.

Prezydenci Richard Nixon i Jimmy Carter kilkukrotnie zabiegali o to, by David Rockefeller pełnił w ich administracji funkcję sekretarza skarbu. Wpływowy bankier za każdym razem odmawiał, twierdząc, że i tak jest w stanie prowadzić skuteczną politykę bez pełnienia publicznej funkcji. Sam siebie określał mianem „ambasadora bez teki", gdyż w czasie swoich niezliczonych podróży zagranicznych reprezentował amerykańskie interesy na równi z przedstawicielami Białego Domu. Rockefeller spotykał się z Nikitą Chruszczowem, Aleksiejem Kosyginem, Mao Zedongiem czy też… Wojciechem Jaruzelskim. Zakres jego działalności politycznej był na tyle szeroki, że można by nawet pokusić

eprasa.pl 3fb0395e21

się o stwierdzenie, iż David Rockefeller był sekretarzem bez teki, a przejściowo wręcz liderem amerykańskiego państwa.

Niezwykle silna pozycja rodu Rockefellerów w drugiej połowy XX w. nie była oczywiście dziełem przypadku, lecz efektem wielopokoleniowych starań i zakończonej zwycięstwem wielkiej rywalizacji z przedstawicielami innych wpływowych amerykańskich rodów biznesowych, w szczególności Morganów. Zanim bliźniacze wieże „David" i „Nelson" zaczęły dominować nad Manhattanem, cały ród musiał przebyć bardzo długą i wyboistą drogę.

Pierwszy milion

Jan Kulczyk twierdził zawsze, że swój pierwszy milion otrzymał od ojca. Urodzony w 1839 r. w Richford w stanie Nowy Jork John D. Rockefeller nie miał wprawdzie bogatego ojca, ale miał za to ogromne szczęście. Rockefellerowie byli potomkami francuskich hugenotów (stąd pierwotnie ich nazwisko zapisywano „Roquefeuille"), którzy żyli bardzo skromnie. Ojciec przyszłego milionera był zwykłym oszustem i bigamistą, który nie tylko nie potrafił zadbać o potrzeby materialne rodziny, ale wręcz ją porzucił i do końca swoich dni żył pod zmienionym nazwiskiem. Jeszcze jako nastolatek John D. Rockefeller został faktyczną głową rodziny, od samego początku bardzo skrupulatnie podchodząc do finansów. Prowadząc wręcz ascetyczne życie, skupiał się na oszczędzaniu każdego grosza i mądrym inwestowaniu.

Świat najprawdopodobniej nie usłyszałby nigdy o Rockefellerze, gdyby nie to, że w 1859 r. w stanie Ohio wybuchła gorączka naftowa. Rodzina przyszłego potentata przeprowadziła się tam kilka lat wcześniej, dzięki czemu stawiający pierwsze kroki w drobnym handlu John D. dość szybko znalazł się w samym środku najszybciej rozwijającej się branży przemysłowej w całych Stanach Zjednoczonych. Sercem biznesu Rockefellera było położone nad jeziorem Erie Cleveland, w którym w 1865 r. zbudował największą w mieście rafinerię.

W Stanach Zjednoczonych zaczynał się wtedy prawdziwy boom na kolej. Po zwycięstwie Jankesów w wojnie secesyjnej przemysłowcy ze Wschodniego Wybrzeża nie musieli już zmagać się z oporem Południa (obawiającego się, że nowe szlaki komunikacyjne wzmocnią pozycję przemysłu należącego do politycznych przeciwników), dlatego cały Środkowy Zachód został wkrótce pokryty gęstą siecią dróg żelaznych. John D. Rockefeller perfekcyjnie wykorzystał boom naftowy i kolejowy, ponieważ uczynił transport szynowy dźwignią do rozwoju swojego interesu wydobywczego. Kluczem do sukcesu okazało się zawarte w 1868 r. porozumienie ze słynnym magnatem kolejowym Jayem Gouldem, który zaoferował mu niezwykle atrakcyjne stawki przewozu.

Bardzo istotnym czynnikiem, który sprawił, że młody przedsiębiorca z Cleveland tak szybko zyskał status „króla nafty", była znajomość z Samuelem Andrewsem, genialnym ekspertem w zakresie rafinacji ropy. To właśnie on nauczył Rockefellera, że nie warto marnować żadnej substancji powstałej w procesie rafinacji ropy. Podczas gdy inni producenci pozbywali się smarów i olejów, on przerabiał je i sprzedawał z wielkim zyskiem. Na dodatek Rockefeller nigdy nie kupował surowca od pośredników i rozpoczął ponadto produkcję beczek służących do transportu jego wyrobów. Był także niezwykle skrupulatnym zarządcą – katalogował i nadzorował cały proces produkcyjny. Nie powinno więc nikogo dziwić to, że Rockefeller już w 1877 r. kontrolował aż 77 proc. rynku naftowego w Stanach Zjednoczonych.

Nie tylko ropa

Od 1870 r. firma Rockefellera nosiła nazwę Standard Oil i na długie lata stała się niekwestionowanym liderem w swojej branży. Ambicje Johna D. sięgały jednak dużo dalej. Jego dwaj bratankowie ożenili się z córkami Jamesa Stillmana, wpływowego prezesa National City Bank z Cleveland. Niebawem instytucję tę zaczęto określać mianem „Standard Oil Bank", a John D. Rockefeller, który początkowo stronił od bankowości, w końcu postanowił się nią bliżej zainteresować.

W wieku 44 lat największy magnat naftowy na świecie przeprowadził się do Nowego Jorku. O ile w Cleveland był niekwestionowanym liderem, o tyle na Manhattanie status największego bogacza należał do Johna Pierponta Morgana Seniora. Rockefeller początkowo nie wchodził mu w drogę, jednak stale rosnący interes naftowy w końcu wymusił konfrontację. Standard Oil stało się firmą o zasięgu globalnym i zaczęło coraz mocniej konkurować o koncesje w różnych częściach świata z Rothschildami,

Rafineria Standard Oil

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CLEVELAND PUBLIC LIBRARY

eprasa.pl 3fb0395e21

których bliskim współpracownikiem był bank Morganów.

Narastająca u schyłku XIX w. rywalizacja między Rockefellerem a Morganem rozgrywała się także na niwie pozabiznesowej – obaj magnaci związali się z wrogimi sobie obozami politycznymi, które miały stanąć naprzeciw siebie w trakcie pierwszej wojny światowej. Morgan był niezmiennie anglofilem, natomiast ród Rockefellerów związał się z przemysłowcami i bankierami optującymi za Niemcami. Wpływ na to miał fakt, że obsługą giełdową rozmaitych spółek należących do rodziny zajmował się żydowski bank Kuhn & Loeb, utrzymujący szczególnie zażyłe relacje biznesowe z bankiem Warburgów z Hamburga i generalnie z niemieckim przemysłem.

Rywalizacja Morgan – Rockefeller nie była zwykłą rynkową konkurencją, lecz starciem, w którym obie strony używały wszelkich dostępnych środków, aby zaszkodzić oponentowi. Początkowo zdecydowanie silniejszy był Morgan, który przez lata posiadał dużo większe wpływy w Waszyngtonie. To właśnie z inspiracji właściciela J.P. Morgan & Co. uchwalono w lipcu 1890 r. słynną antymonopolową ustawę Shermana, która była wymierzona wprost w Rockefellera. Ze względu na polityczne zawirowania udało jej się użyć dopiero w 1906 r. Zadany cios był jednak wyjątkowo bolesny: pomimo protestów i odwołań 5 maja 1911 r. Standard Oil, największa na świecie firma naftowa, została podzielona na 33 niezależne podmioty. Większość z nich istnieje do dziś (m.in. Chevron, ExxonMobil i Conoco).

Rockefeller zdążył się przygotować na rozczłonkowanie swojej firmy już wcześniej, ale mimo wszystko decyzja z 1906 r. była bardzo bolesna. Próbując dokonać zemsty, naftowy potentat złożył wkrótce analogiczny wniosek antymonopolowy przeciwko US Steel Morgana (firmy kupionej od Andrew Carnegiego), lecz pozew został odrzucony. Stronnictwo Morgana było wciąż zdecydowanie silniejsze, choć na kluczowym dla dalszych losów amerykańskiej gospodarki spotkaniu na Jekyll Island w 1907 r., gdy ustalono kształt i podział wpływów w mającej powstać Rezerwie Federalnej, udział wziął m.in. Nelson Aldrich, czyli teść Johna D. Rockefellera Juniora.

John D. Rockefeller jako cesarz przemysłu

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LIBRARY OF CONGRESS, J.S. PUGHE

Syn założyciela Standard Oil był wprowadzany do rodzinnego interesu dość długo. Starzejący się ojciec oddał mu kontrolę nad swoim imperium dopiero w latach 20. XX w. W tym czasie istniały już wszystkie najważniejsze rodzinne fundacje i instytucje (The Rockefeller Foundation, General Education Board i Rockefeller University), które formalnie zajmowały się działalnością filantropijną, choć faktycznie ułatwiały Rockefellerom unikanie płacenia podatków i wpływanie na politykę. Prawdziwą wylęgarnią kadr dbających o interes potężnego rodu był natomiast założony w 1890 r. Uniwersytet Chicagowski, który John D. Rockefeller określił mianem swojej najlepszej inwestycji.

Odwet

Przegrana Niemiec w pierwszej wojnie światowej stanowiła dla Rockefellerów spory cios. Bankierzy J.P. Morgana wiedli na konferencji pokojowej w Paryżu prym, ale on sam, domagając się nałożenia na pokonanych ogromnej kary finansowej, popełnił jednak kardynalny błąd. Przygniecione ciężarem reparacji Niemcy nie były w stanie spłacić należności i zaczęły coraz bardziej ciążyć światowemu systemowi finansowemu. Nie pomagały nawet kolejne plany redukcji zobowiązań i rozłożenia ich na niższe raty. Obóz Morgana musiał pozwolić swoim proniemieckim adwersarzom, w tym także Rockefellerowi, na większą swobodę prowadzenia działalności biznesowej.

Bodajże najważniejszym, obok podzielonych spółek naftowych, narzędziem rozbudowywania światowych wpływów Rockefellerów stał się w międzywojniu Chase Manhattan Bank. W 1930 r. należący do Rockefellerów Equitable Trust Company, na czele którego stał szwagier Johna D. Rockefellera Juniora, Nelson Aldrich, przejął ten bank. W ten sposób rodzina Rockefellerów sprawowała kontrolę nad dwoma największymi

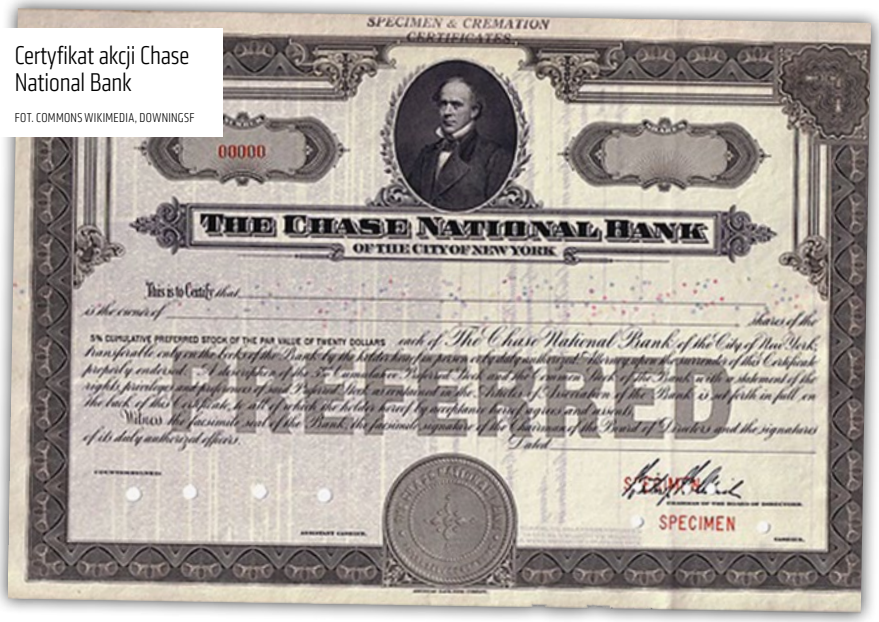

Certyfikat akcji Chase National Bank

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, DOWNINGSF

eprasa.pl 3fb0395e21

bankami komercyjnymi w USA – National City i Chase National.

Największym „nabytkiem" obozu polityczno-biznesowego, do którego przynależeli Rockefellerowie, był jednak Franklin Delano Roosevelt. Późniejszy admirator Józefa Stalina tuż po inauguracji swoich rządów w 1933 r. zaprosił na spotkanie prezesa National City, Jamesa Perkinsa, z którym ustalił ogólną treść tzw. ustawy Glass-Steagall. Stanowiła ona wielki akt odwetu za użycie ustawy Sherman przeciwko Standard Oil. Na mocy nowego prawa bank J.P. Morgan musiał zostać podzielony na dwie odrębne spółki zajmujące się bankowością komercyjną i inwestycyjną. Dla Rockefellerów nastały złote czasy.

Jedyną komplikacją pozostawał rozwój wypadków w Niemczech, gdzie Rockefellerowie zainwestowali znaczne kwoty, m.in. w koncern IG Farben, który przy współpracy ze Standard Oil of New Jersey stał się światowym gigantem chemicznym. Adolf Hitler coraz bardziej parł do wojny, która z punktu widzenia Rockefellerów była całkowicie niepotrzebna. Co ciekawe, urodzony w 1915 r. David tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej zdołał jeszcze odbyć sentymentalną podróż autem po III Rzeszy.

Na ratunek Niemcom

Rozpętane przez Berlin piekło wymusiło na sprzyjającym Rockefellerom Roosevelcie skierowanie ostrza USA przeciw Niemcom, lecz po zakończeniu konfliktu potężny ród miał decydujący głos w czasie dyskusji nad dalszymi losami kraju położonego nad Renem i Łabą. To właśnie ludzie z orbity wpływów Rockefellerów sprawili, że po 1945 r. Niemcy przeżyły zdumiewający „cud gospodarczy". Wystarczy wspomnieć, że „ojcem chrzestnym niemieckiej wolności" (sformułowanie Johna F. Kennedy'ego) został pełniący funkcję wysokiego komisarza do spraw Niemiec John McCloy, wcześniej dyrektor Fundacji Rockefellera oraz wieloletni prawnik kancelarii Rockefellerów.

W powojennym ładzie Chase Manhattan, flagowy bank Rockefellerów, stał się

John D. Rockefeller z synem Johnem D. Rockefellerem juniorem

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LIBRARY OF CONGRESS

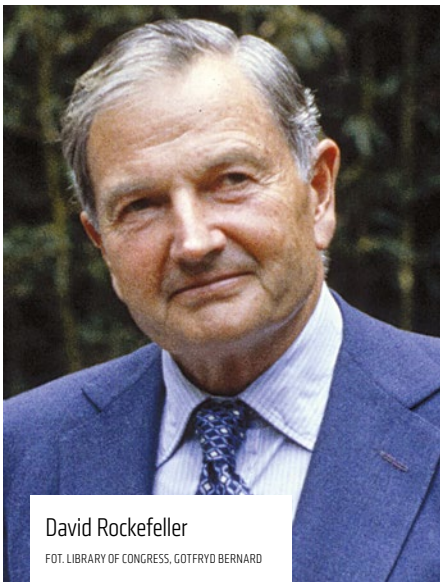

David Rockefeller

FOT. LIBRARY OF CONGRESS, GOTFRYD BERNARD

instytucją analogiczną do Banku Światowego czy MFW. Udzielane przez niego pożyczki stanowiły naturalne przedłużenie polityki Waszyngtonu. Zyskujący z każdym rokiem coraz większy wpływ na losy rodzinnego interesu David Rockefeller objął w 1949 r. posadę dyrektora ważnej Rady Stosunków Zagranicznych, a od 1970 r. był jej prezesem. W 1954 r. naftowy dziedzic wszedł także w skład nie mniej prestiżowej Grupy Bilderberg, której założycielem był Polak – Józef Retinger. Zachowane źródła pozwalają stwierdzić, że znali się ze sobą dość dobrze.

Pod rządami Davida Rockefellera rodzinne imperium finansowe weszło w okres szczytowej potęgi. Chase Manhattan był pierwszym amerykańskim bankiem, który otworzył swoje oddziały zarówno w Moskwie, jak i w Pekinie. David Rockefeller spędzał większość czasu w podróży, przemieszczając się nieustannie między kontynentami. To właśnie jego kontaktom w krajach arabskich Stany Zjednoczone zawdzięczały to, że po upadku systemu z Bretton Woods państwa handlujące ropą przeszły na rozliczenia w amerykańskich dolarach. W tym kontekście nie powinno więc dziwić, że terroryści, którzy w 2001 r. zaatakowali Nowy Jork i Waszyngton, za swój cel obrali właśnie słynne wieżowce należące do rodziny Rockefellerów.

Skupiając się coraz bardziej na uprawianiu polityki niż prowadzeniu bankowego interesu, David Rockefeller doprowadził ostatecznie do tego, że jego najważniejsze banki zaczęły stopniowo przegrywać z młodszą konkurencją (m.in. z bankiem Goldman Sachs, który zaczął robić wielką karierę już w latach 80. XX w.). Na dodatek nie zadbał o to, aby któryś z jego potomków zyskał na tyle wysokie kompetencje biznesowe, aby dorównać jego dziadkowi lub przynajmniej ojcu. W efekcie pod koniec ubiegłego stulecia dawała się zauważyć coraz szybciej postępująca erozja wpływów Rockefellerów.

W pewnym sensie symbolem tego procesu była postać Henry'ego Kissingera, który przez kilkadziesiąt lat służył jako doradca kolejnych prezydentów USA. Słynny dyplomata został „wyłowiony" przez Rockefellerów ze świata akademickiego, a potem latami doradzał im w biznesach i fundacjach. Zmarły w 2023 r. Kissinger był wprawdzie ceniony jako mówca, nawet gdy miał już 100 lat, lecz u schyłku życia wyglądał coraz bardziej jak żywy relikt dawnej epoki. W analogiczny sposób obecni Rockefellerowie są już zaledwie cieniem dawnych gigantów rodu. Rodzinne fundacje i biznesy nadal dysponują znacznymi kwotami, ale XXI w. wykreował już nowych krezusów.

Niedawno znów świat usłyszał o Rockefellerach. Ich nazwisko pojawiło się przy okazji afery Epsteina. Z opublikowanych akt można było się dowiedzieć, że potwór z Little Saint James najwięcej wiedzy o świecie finansów uzyskał od samego Davida Rockefellera. To właśnie dziedzic naftowej fortuny miał wprowadzać Epsteina na światowe salony.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3fb0395e21

Piotr Włoczyk

„Wielki Sternik" ChRL widział w swojej „Czerwonej książeczce" iskrę, która podpali całe Chiny, niszcząc pozostałości starej kultury i tradycji. Chociaż chaos rewolucji kulturalnej zamienił w koszmar młodość Xi Jinpinga, to jednak obecny przywódca Chin nie przestał wspierać kultu Mao

Członek Czerwonej Gwardii z „Czerwoną książeczką"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Lata 60. i 70. XX w. / Terror rewolucji kulturalnej

Xi na wsi

W drugiej połowie lat 60. XX w. ulicami chińskich miast rządzili „mali generałowie". Doktor Zehao Zhou (rocznik 1955), historyk z York College of Pennsylvania, który napisał pracę doktorską o rewolucji kulturalnej, może o nich wiele opowiedzieć z własnego doświadczenia. Jego rodzina mieszkała w Szanghaju, gdy ChRL ogarnęło szaleństwo rewolucji kulturalnej. Ojciec Zehao Zhou w czasie drugiej wojny światowej służył w armii Czang Kaj-szeka, więc cała jego rodzina w naturalny sposób znalazła się na celowniku hunwejbinów.

– W końcu po niego przyszli. Ojciec był już jednak wtedy ciężko chory na gruźlicę. Leżąc w łóżku, kompletnie bezbronny, ojciec spokojnie powiedział do nich: „Mali generałowie, mam gruźlicę, a to jest zaraźliwe". Czerwonogwardziści uciekli gdzie pieprze rośnie – powiedział w rozmowie ze mną dr Zhou. – Chodziło o to, żeby ci nastolatkowie czuli władzę. Mao mawiał do nich: „Nie bójcie się ani trudów, ani śmierci", ale najwyraźniej akurat ta banda czerwonogwardzistów nie za bardzo wzięła sobie do serca słowa Mao, skoro przestraszyła ich gruźlica.

W niedługim czasie chory ojciec zmarł. Jego żona podejrzewała, że mąż leżąc w szpitalu, popełnił samobójstwo, by nie wpędzać bliskich w długi; ponieważ był uznawany za wroga ludu, nie przysługiwała mu bezpłatna opieka zdrowotna.

Klej na twarz

Doktor Zhou od 1987 r. mieszka w USA, gdzie mógł bez przeszkód skupić się na badaniu tego tragicznego okresu w historii Chin, który zamienił jego dzieciństwo w koszmar.

– Rewolucja zaczęła się od amoku na ulicach. Pierwszym niepokojącym znakiem był widok bandy nastolatków goniących człowieka na motocyklu. Wydawali się oni zupełnie bezkarni. Potem zobaczyłem przedziwną rzecz: kilkanaście par pięknych butów na obcasach wyrzuconych do studzienki kanalizacyjnej. Nie rozumiałem wtedy, po co ktoś miałby coś takiego robić. Oczywiście właściciele

eprasa.pl 3fb0395e21

Mao Zedong w 1966 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

tych butów bali się wszelkich pozostałości po „burżuazyjnym" stylu życia – wspominał dr Zhou.

Szybko doszło do pierwszych ataków. Nad mieszkaniem państwa Zhou żył ze swoją rodziną człowiek, który przed 1949 r. był bankierem.

– Czerwonogwardziści – znani też jako hunwejbini – pobili tych ludzi i zdemolowali ich mieszkanie. Traf chciał, że w trakcie napadu znaleźli klucz do sejfu z kosztownościami. Ci państwo nie chcieli powiedzieć, gdzie znajduje się sejf. W pewnym momencie usłyszałem przeraźliwy krzyk. Później dowiedziałem się, że czerwonogwardziści wylali im wówczas na twarze gorący klej, którego używali do rozwieszania po mieście plakatów propagandowych. Hunwejbini dowiedzieli się wreszcie, gdzie są kosztowności. Następnego dnia widziałem poparzoną twarz tej kobiety. Coś potwornego. Takie historie działy się wówczas w całych Chinach – opowiadał badacz.

Na porządku dziennym były też „parady hańby". Hunwejbini zmuszali ludzi oskarżanych o kultywowanie „starej tradycji" do samokrytyki. Takie upokorzenie przeżyła starsza siostra dr. Zhou, która była dyrektorką szkoły.

– Siostra była niepełnosprawna, ale hunwejbini zaciągnęli ją mimo to na miejską „paradę hańby". Musiała iść kilometrami wraz z setkami innych dyrektorów szkół, a tłum zebrany przy trasie przemarszu miotał wyzwiska pod ich adresem. Organizatorzy tej „parady" uznali po prostu, że dyrektorzy konserwują stary system. Siostrze przywiązali do szyi karton z napisem: „Jestem kapitalistyczną marionetką". Ten szał nie miał granic. Atakowali ją nawet nauczyciele z jej szkoły – opowiadał mi dr Zhou. – Dorastałem, widząc, jak mój ojciec jest cały czas poddawany krytyce, mieszany z błotem, jak sąsiedzi go bez pardonu inwigilują. Publicznie go upokarzano na sąsiedzkich spotkaniach lokalnego czerwonego komitetu. W końcu ogłoszono, że trzeba go cały czas pilnować, więc nigdy nie mieliśmy spokoju. W każdej chwili ktoś mógł wejść do naszego domu i przysłuchiwać się rozmowom, które ojciec toczył z naszymi gośćmi. I nic nie można było z tym zrobić.

70/30

Wydana w 1965 r. „Czerwona książeczka" stała się nośnikiem nienawiści, która rozlała się po całych Chinach w okresie rewolucji kulturalnej. Poza Biblią żadna inna książka nie została wydrukowana w tylu egzemplarzach. Najbardziej konserwatywne szacunki mówią o co najmniej miliardowym nakładzie. Niewykluczone jednak, że „Czerwona książeczka" (właściwy tytuł: „Cytaty z dzieł Przewodniczącego Mao") wydrukowana została nawet w liczbie 2 mld. W tamtym okresie wszystkie inne chińskie publikacje musiały ustąpić miejsca dziełu Mao. Jeżeli brakowało papieru i farb drukarskich, to drastycznie ograniczano nawet druk podręczników szkolnych.

Miliony hunwejbinów każdego dnia poświęcały długie godziny na studiowanie jej treści i wkuwanie kolejnych „genialnych" myśli przewodniczącego Mao. „Czerwona książeczka" szybko stała się jednym z najważniejszych symboli propagandowych rewolucji kulturalnej.

Po śmierci Mao (1976) słynny zbiór jego cytatów na pewien czas popadł w niełaskę. Ówczesne kierownictwo Komunistycznej Partii Chin (KPCh) uznało „Czerwoną książeczkę" za coś w rodzaju puszki Pandory. Jednak z biegiem lat sytuacja uległa zmianie.

W Chinach wciąż można kupić „Czerwoną książeczkę" w miejscach turystycznych i Chińczycy generalnie uważają

Wiec potępiający partyjnego prominenta Liu Shaoqi.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl 3fb0395e21

ją za ważny symbol. Zresztą władze w Pekinie wiele robią, by kultywować pozytywny wizerunek Mao, mimo horroru jego „wielkiego skoku" (wywołany wtedy głód spowodował śmierć dziesiątek milionów (!) ludzi), a później terroru i zniszczeń z czasów rewolucji kulturalnej. Mao wciąż oficjalnie oceniany jest w proporcjach 70/30, czyli Komunistyczna Partia Chin uważa, że zrobił dla ChRL więcej dobrego niż złego.

– Uwielbienie Mao jest potrzebne z dwóch powodów. Po pierwsze, jest on pierwszoplanowym symbolem narodowym i nie można go wyeliminować bez zniszczenia wizerunku KPCh. Dlatego jest on odseparowywany od rewolucji kulturalnej, a zamiast tego podkreślana jest jego myśl narodowa – powiedział mi prof. Daniel Leese z wydziału sinologii Uniwersytetu we Freiburgu, autor książki „Kult Mao. Retoryka i rytuał w rewolucji kulturalnej". – Po drugie jest to konieczne, by integrować lewicowe kręgi w ramach partii i społeczeństwa, które w innym przypadku mogłyby się przyczynić do rozbicia KPCh.

„Czerwona książeczka" to dla człowieka niewychowanego w kulcie Mao zestaw kompletnie niestrawnych 427 cytatów z przemówień i artykułów Mao, które uporządkowane zostały w 33 rozdziały: od spraw wojskowych („Każdy komunista powinien przyswoić sobie tę prawdę, że »władza wyrasta z lufy karabinu«"), przez wychowywanie młodzieży („Młodzież stanowi najbardziej aktywną i najbardziej żywotną siłę społeczeństwa. Ma ona największą chęć uczenia się i w myśleniu jest najmniej konserwatywna, szczególnie w epoce socjalizmu"), aż po komunistyczne „wyzwolenie" kobiet („Wraz z obaleniem władzy politycznej obszarników słabnie i władza rodu, i władza religii, i władza męża...").

Milionowe rzesze hunwejbinów pochłaniające myśli z „Czerwonej książeczki" stały się niezwykle skuteczną bronią w rękach „Wielkiego Sternika" ChRL.
– Mao postanowił wówczas dokonać w partii totalnej czystki. Nawet Stalin nie wyczyścił partii tak dokładnie jak Mao. Zmobilizował nastolatków, by wypełnili jego wolę – podpalili cały kraj, atakując ludzi, których Mao uważał za wrogów. Ta przemoc skierowana początkowo do wewnątrz partii szybko rozlała się na resztę społeczeństwa – tłumaczył mi dr Zhou. – Za rewolucją kulturalną stała chora ideologia: „czerwony bóg" chciał zniszczyć „cztery stare rzeczy", które uważał za burżuazyjne przeżytki – stare idee, starą kulturę, stare zwyczaje i stare nawyki. Proszę sobie wyobrazić, że ten wielki kraj z dnia na dzień przestaje się uczyć. Mao mówił, żeby zamiast nauki robić rewolucję. Ja też przestałem chodzić do szkoły, ale rewolucji oczywiście nikt nie kazał mi robić, bo byłem ze „złego domu".

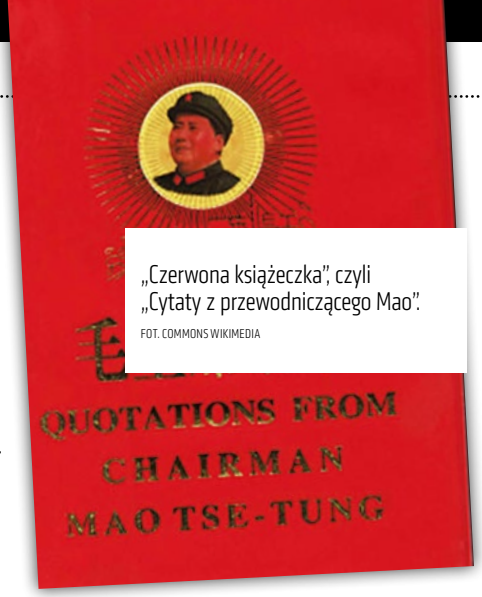

„Czerwona książeczka", czyli „Cytaty z przewodniczącego Mao".
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Zsyłka Xi

Mao dał hunwejbinom wolną rękę. Byli bezkarni w swoim dziele niszczenia „starego świata". Mogli swobodnie używać przemocy i nikt nie miał prawa ich zatrzymywać.

Xi od początku swojej prezydentury daje do zrozumienia, że nie wolno się odcinać od Mao. I jako zły przykład pokazuje to, co się działo u północnego sąsiada Chin

– W wielu miejscach mordowano ludzi, nie tylko w miastach. Na prowincji zabijano byłych posiadaczy ziemskich. U mnie, w Szanghaju, ludzie też byli bici na śmierć, a zrewoltowani uczniowie potrafili zamordować gołymi rękoma swoich nauczycieli. Wiadomo, jak ciężko jest utrzymywać nastolatków w ryzach w normalnych czasach, a co dopiero, jeżeli oficjalnie pozwoli im się robić, co tylko zechcą! Mao przecież wprost zachęcał ich do tego, krzycząc: „Bądźcie brutalni!" – podkreślał dr Zhou.

W 1973 r., gdy Zhou osiągnął pełnoletność, został wysłany do obozu pracy, by przejść proces „reedukacji". Sześć lat, które tam spędził, sprowadzało się do pracy niewolniczej na wsi. Poza uprawą ryżu do obowiązków „reedukowanego" młodzieńca należało też m.in. kopanie kanałów. Co ciekawe, podobną zsyłkę na wieś przeżył w czasach rewolucji kulturalnej obecny przywódca ChRL – Xi Jinping.

– Jego ojciec był kamratem Mao, ale został poddany czystce. Xi Jinping stracił kilka lat swojego życia, wegetując w jaskini na prowincji, ale nie jest w stanie zdobyć się na potępienie zbrodni Mao. Tu musi działać jakiś fascynujący mechanizm psychologiczny – zastanawiał się dr Zhou.

Xi od początku swojej prezydentury daje do zrozumienia, że nie wolno się odcinać od Mao. I jako zły przykład pokazuje to, co się działo u północnego sąsiada Chin. „To dla nas wielka lekcja. Odrzucanie historii Związku Sowieckiego i Sowieckiej Partii Komunistycznej, odrzucanie Lenina i Stalina, oraz wszystkiego innego, okazało się wchodzeniem w historyczny nihilizm. Wprowadza to zamęt w nasze myśli i podminowuje organizację partii na wszystkich szczeblach" – podkreślał Xi na początku swoich rządów. Dlatego wielki portret Mao wciąż wisi nad bramą prowadzącą do Zakazanego Miasta, mumia „Wielkiego Sternika" do dziś wystawiana jest na widok publiczny w monumentalnym mauzoleum stojącym pośrodku Placu Tian'anmen i oczywiście nikt w partii nie zamierza ograniczać dystrybucji „Czerwonej książeczki".

– Xi w zawoalowany sposób przedstawia się jako prawdziwy następca Mao i Deng Xiaopinga. Daje do zrozumienia, że jego dwaj poprzednicy byli słabi. Dzięki temu wzmacnia swoją pozycję – zauważył w rozmowie ze mną prof. Xu Guoqi z University of Hongkong.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3fb0395e21

KSIĘGARNIA DO RZECZY

ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY

KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 3fb0395e21

Krzysztof Masłoń

1826 r. / Owoce podróży wieszcza

Partia szachów Adama Mickiewicza

„Adam Mickiewicz na Judahu skale". Obraz Walentego Wańkowicza.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Tłumacz sonetów na rosyjski, niewidomy poeta Iwan Kozłow, żegnając odjeżdżającego za granicę Mickiewicza, miał powiedzieć: „Daliście go nam silnym, zwracamy go wam potężnym"

Dwieście lat temu w Moskwie ukazał się tom noszący tytuł „Sonety Adama Mickiewicza". Na karcie tytułowej widniało motto wypożyczone od Petrarki: „Kiedym był po części innym człowiekiem, niż jestem". Książka zawierała dwa cykle: sonety zwane odeskimi, a niekiedy miłosnymi, oraz „Sonety krymskie". Te drugie były poetyckim plonem wycieczki największego poety polskiego na Krym, wczesną jesienią 1825 r. Wycieczki pod każdym względem niezwykłej, a odbytej w towarzystwie i pod czujnym okiem co najmniej trojga wytrawnych agentów, o czym opowiemy nieco później, już na wstępie stwierdzając, że to właśnie sonety krymskie i odeskie, wydane jako trzeci tom dzieł Mickiewicza, z miejsca stały się głośne wśród rosyjskich, znających język polski czytelników, a moskiewscy literaci przekładali te wiersze i entuzjastycznie pisali o nich w recenzjach. Bez dwóch zdań Moskwa rozpieściła Mickiewicza, uświadamiając mu, że może stać się pisarzem rangi światowej.

„Sonety krymskie" są niezwykle ważnym ogniwem w kształtowaniu się Mickiewiczowskiego bohatera i języka poetyckiego. Ale nie tylko. „Przeżycie Krymu jako doświadczenie artystyczne, ale zarazem niezmiernie istotny fakt biograficzny – podkreśla Danuta Zawadzka – jest znaczącym momentem w formowaniu się M i c k i e w i c z o w s k i e g o s p o s o b u i s t n i e n i a, polegającego na przezwyciężeniu sprzeczności woli i natury.

Właśnie na Krymie dochodzi do bodaj pierwszego, tak zasadniczego zetknięcia się woli, rozumianej jako namiętność poznawcza, i natury pojętej jako pierwotna moc".

Tłumacz sonetów na rosyjski, niewidomy poeta Iwan Kozłow, żegnając później odjeżdżającego za granicę Mickiewicza, miał powiedzieć: „Daliście go nam silnym, zwracamy go wam potężnym". To w Rosji – jak pisała prof. Alina Witkowska – Mickiewicz „ujrzał siebie we właściwych wymiarach, jako artystę w skali europejskiej, wytrzymującego konkurencję z pierwszymi poetami epoki […], bo zetknięcie się z Puszkinem było dobrą okazją do określenia własnej miary i nie każdemu dana była szansa takiej konfrontacji […]. Toteż wspaniałość poetycka Mickiewicza zabłysła w Rosji jak brylant oszlifowany entuzjazmem rozumnych wielbicieli".

Profesor Alina Witkowska stwierdziła wprost, że Mikołaj Nowosilcow „oddał poecie nigdy niewypłaconą przysługę. Właśnie dlatego, że wsadził go do więzienia i skazał na przymusowy pobyt w Rosji. Dał mu w ten sposób brutalną lekcję życia, ale w niezamierzony już sposób także szansę sprawdzenia siebie, zdobycia doświadczeń i dojrzałości, której by w Kownie lub Wilnie dokupywał się latami, a pewnych doświadczeń nie doznałby nigdy". A to z całą pewnością, bo wiódłby nieciekawy belferski żywot co najwyżej urozmaicany romansami, takimi jak ten z doktorową Kowalską.

eprasa.pl 3fb0395e21

Sonety
Adama Mickiewicza.
MOSKWA.
W Drukarni Uniwersyt.
Nakładem Autora.
1826.

Karta tytułowa „Sonetów”

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Okazał się także Nowosilcow wnikliwym interpretatorem ukrytych treści „Konrada Wallenroda”, kierując w tej sprawie obszerny memoriał do cara. Szczęśliwie elaborat ten został zlekceważony i Mickiewicz mógł wyjechać z Rosji na Zachód. W innym razie zapewniono by mu transport w przeciwnym kierunku.

Entomologia po rosyjsku

Wychodząc z więzienia, podpisał Adam Mickiewicz następujące zobowiązanie: „[…] tego wszystkiego, o czym przez komisję badany byłem i co na pytania odpowiedziałem, nigdy i przed nikim rozgłaszać i wyjawiać nie będę, pod obawą odpowiedzialności wedle prawa za wydanie sekretu; nadto że nie tylko sam nie będę należeć do żadnego towarzystwa bez dozwolenia rządu ustanowionego, lecz i donosić będę, gdzie należy, podług przysięgi wiernopoddanego, gdy się dowiem, iż gdziekolwiek takowe zabronione towarzystwo otwarte zostało”. Nie ma powodu, by przeceniać znaczenie tej, cokolwiek by o niej mówić, lojalki, ale też trudno ją przemilczeć. W każdym razie w śledztwie Mickiewicz zachowywał się rozważnie, nie robił z siebie Winkelrieda, jak Tomasz Zan, i dlatego nie wylądował jak tamten w twierdzy, tylko wysłany został na wschód, i nie na Syberię, lecz w znacznie przyjemniejsze miejsca.

6 listopada 1824 r. na mocy wyroku zatwierdzonego przez cara Aleksandra I Adam Mickiewicz opuszcza Wilno, po wysłuchaniu pierwszej Mszy w Ostrej Bramie. Jedzie w bryczce z Janem Sobolewskim. Po kilku godzinach wyjeżdża następna bryczka, z Jeżowskim i Malewskim. Na drogę dostają od władz całkiem przyzwoitą sumę pieniędzy. Mickiewicz nigdy już nie zobaczy swoich ojczystych stron.

Wyrok postanawiał skazanych nauczycieli „pozostawić p. ministrowi narodowego oświecenia, ażeby ich użył w wydziale szkolnym w oddalonych od Polski guberniach”. Mickiewicz, tak jak Jeżowski i Malewski, otrzymał skierowanie do Odessy, ale już w drodze dowiedział się, że nie ma tam dla nich posad. O przybyłych wileńskich profesorach natychmiast doniósł carowi gen. Jan Józefowicz Witt, informując, że za swój obowiązek uznał „ustalić nad nimi tajny nadzór”.

Właśnie w ramach tego nadzoru wczesną jesienią 1825 r. doszło do wycieczki na Krym, która zaowocowała powstaniem świetnego cyklu sonetowego. Opatrzony on został dedykacją: „Towarzyszom podróży krymskiej – Autor”. „Towarzysze” stanowili dość ekscentryczną grupkę. Mickiewicz znalazł się w niej obok Karoliny z Rzewuskich Sobańskiej, jej byłego męża Hieronima Sobańskiego, jej brata, późniejszego autora „Pamiątek Soplicy” Henryka Rzewuskiego oraz jej kochanka, samego gen. Witta i agenta tegoż generała Aleksandra Karłowicza Boszniaka.

O tym ostatnim Mickiewicz wspominał w trakcie wykładu w College de France 7 czerwca 1842 r.: „Ów Boszniak – mówił – literat, naturalista […] towarzyszył wszędzie hr. Wittowi w roli naturalisty; wciskał się do wszystkich towarzystw, mówił dobrze wszystkimi językami. Ten to Boszniak udzielał Wittowi tajnych wiadomości o spisku. Ale hr. Witt nie kwapił się z ostrzeżeniem rządu […]. Donos Sherwooda zmusił go przesłać raport”. Córka poety, Maria Gorecka, miała tak charakteryzować Boszniaka: „Entomolog, skromna bardzo i niepoczesna figura, w zaniedbanym ubraniu, w okularach, na którego nikt nie zwracał uwagi, rozmawiając o specjalnym przedmiocie swoich studiów, o owadach […], rozpytywał się mimochodem o miejsce […] urodzenia, zajęcia, stosunki w kraju […]”. „Później w Odessie – czytamy w »Mickiewiczu. Encyklopedii« – w czasie uroczystego obiadu u generała Witta, ujrzawszy owego botanika w paradnym mundurze, dowiedział się zdziwiony Mickiewicz od gospodarza, że Boszniak służy do chwytania wszystkich rodzajów much, co rzecz jasna przeraziło tych, którzy nieostrożnie rozmawiali z nim na Krymie. Anegdota budzi wątpliwości, gdyż nie wydaje się, by Witt, właśnie zajęty tropieniem spisku południowych dekabrystów, był aż tak szczery z polskim zesłańcem, nawet jeśli nie chciał szkodzić protegowanemu swojej kochanki, Karoliny Sobańskiej. Wszak to on zarządził policyjną obserwację przybyłych do Odessy filomatów, a potem zajmował się nią osobiście. Faktem jest jednak, że Mickiewicz wiedział o Boszniaku bardzo dużo, zarówno o jego donosach, jak i o strategii Witta wobec odkrytego spisku. Czy istniało zatem jakieś inne źródło informacji, które poeta wolał przemilczeć?”. I czy była nim Karolina Sobańska?

Blaski jaśniepaństwa

Ksawery Pruszyński tak pisał o niej: „Może więcej znaczyło, że była Rzewuska de domo, wnuczka hetmana targowickiego, siostra Henryka Rzewuskiego, niebawem autora »Listopada« i »Pamiątek Soplicy«, no i pani Hańskiej, w której miał zakochać się aż do ślubu Balzac. Rzewuscy byli w starej Polsce arystokracją najbłękitniejszą, magnaterią całą gębą, wobec których wszelakie hrabiny Sobańskie, nie mówiąc już o Puttkamerowych i zgoła nie wspominając o zacnych Wereszczakach, miały się jak sroki do pawia”. Nie zmienia to faktu, że Mickiewicz wytykał Henrykowi Rzewuskiemu jakąś dawną… żydowskość. Może więc był jednak odporny na blaski jaśniepaństwa, a może rewanżował się hrabiemu za podobne przytyki odnoszące się do jego pochodzenia?

Kiedy Mickiewicz poznał Sobańską, była już rozwiedziona z pierwszym mężem Hieronimem Sobańskim, a dzieliła łoże z gen. Janem Wittem, kuratorem odeskiego okręgu szkolnego oraz dowódcą wojsk w prowincji południowo-rosyjskiej, a przede wszystkim szpiegiem pracującym dla III Oddziału, czyli poprzedniczki ochrany.

W kwietniu 1847 r. Mickiewicz tak pisał o Karolinie w liście do swej amerykańskiej przyjaciółki Małgorzaty Fuller: „Dama polska [tj. Karolina z Rzewuskich, wówczas już Czyrkowiczowa], którą poznałaś na statku, jest moją dawną zna-

eprasa.pl 3fb0395e21

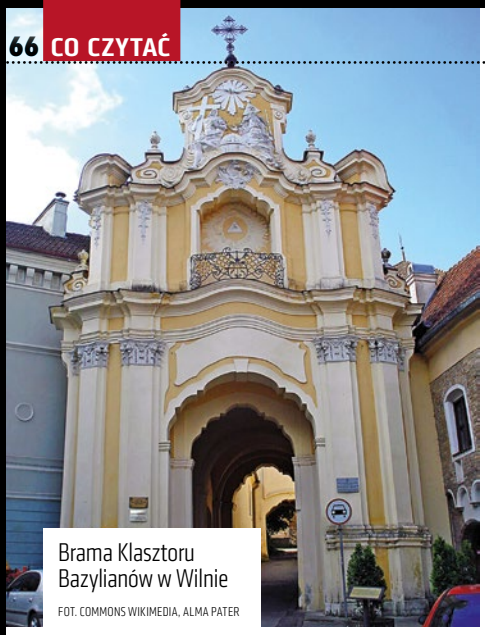

Brama Klasztoru Bazylianów w Wilnie

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ALMA PATER

jomą. Znaleźliśmy się z nią na okręcie w burzliwym czasie na Morzu Czarnym! Było to dwadzieścia lat temu! Ona była w całym blasku swej piękności. Ja byłem młody i w nastroju duszy podobnym do twojego. Byłem wówczas taki, jaką Pani jesteś obecnie. Zaczynałem przywiązywać się do tej damy, ale byłem zbyt romansowy i pragnąłem być jedynym. Ona chciała mnie uważać za jednego z wielu. Długi czas byłem na nią obrażony. Wreszcie poznałem, że miała słuszność i że postąpiła bardzo dobrze. Zachowuję o niej przyjazne wspomnienie. Żałuję, że nie widziałem jej w Paryżu. Myślę, że mógłbym jej udzielić kilku dobrych rad i kilku słów pociechy, o ile jeszcze jest taką, jaka była ongi, dobrą i czułą".

Karolinę Sobańską podejrzewano o romans nie tylko z Mickiewiczem, lecz także z Puszkinem. W tej sytuacji najwięksi poeci Polski i Rosji byliby – jak niekiedy się mawia – suchymi szwagrami. Tyle że dowody na to, że Aleksander Siergiejewicz zabiegał o względy kochanki Witta, są udokumentowane tak sobie. A zdaniem Jarosława Marka Rymkiewicza „podobnie wygląda sprawa romansu Sobańskiej z Mickiewiczem. Niczego (jak zwykle w takich wypadkach) nie da się tu udowodnić, to znaczy nie istnieją żadne dowody na to, że Sobańska była kochanką Mickiewicza. Nawet jednak badacze, którzy mieli za złe poecie, że związał się w Odessie z niemoralną osobą, a w dodatku może agentką rosyjskiej policji, przyznawali, że romans taki mógł mieć miejsce, i starali się tylko obronić Mickiewicza przed podejrzeniem, jakoby zakochał się w Karolinie. Jak śmiesznie piał Leonard Podhorski-Okołów: między wielkim poetą a osobą, która miała »zdecydowanie niekorzystną opinię«, niemożliwe były »jakieś głębsze uczucia«, mogło jednak dojść do »fizycznego stosunku«".

Karolina Sobańska. Rysunek Aleksandra Puszkina

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Choć trudno o żelazne dowody dotyczące relacji naszego wieszcza z Sobańską, to ten sam Rymkiewicz przyznaje, że poeta i gen. Witt „mieli wspólną kochankę i to niewątpliwie zadecydowało o odeskich losach poety, o tym, że stał się on chętnie widzianym gościem tamtejszych salonów, że poznał inne odeskie piękności (między innymi żonę odeskiego gradonaczalnika, hrabinę Awdotię Guriew), że został zaproszony na pokład jachtu, którym Witt z Sobańską popłynęli w końcu sierpnia 1825 roku z Odessy na Krym, a więc może i o tym, że napisane zostały »Sonety krymskie«".

Karolina liczyła na to, że zostanie żoną wszechmocnego generała, ten się jednak do ożenku nie kwapił. Przeciągając romans, zyskał za to bardzo dobrą agentkę, która do tego układała i spisywała jego raporty, jako że ten po części Rosjanin, ale i Grek, i Holender, a nawet Polak był nie tylko słabo wykształcony, lecz także niepiśmienny (!). Wiemy natomiast, że grywał w szachy, bo umilał sobie rejs na Krym, grając z… Mickiewiczem.

Anioł opatrzności

Karolina Mickiewicza mogła chronić, na innych donosiła. Z wydanej w 1959 r. książki Stanisława Wasylewskiego („Karolina Sobańska. Występne życie i złoczyny tajnej agentki wywiadu carskiego") wyłania się jednoznacznie negatywny jej wizerunek, a choć w posłowiu Marian Kwaśny punktuje liczne nieścisłości popełnione przez wziętego pisarza, to nie zgadza się z Wasylewskim, kiedy ten w ostatnim rozdziale pt. „Obrona i sąd" „usiłuje swą bohaterkę ustylizować na jednostkę wyjątkową w duchu pojęć epoki romantyzmu, wychowaną na poematach Byrona. Skomplikowane to, zbyt uczone i absolutnie nieprzekonywające, a pani Sobańskiej gotowe przynieść niezasłużony zaszczyt.

Mówiąc słowami Słowackiego, należy bohaterkę niniejszej opowieści raczej zaliczyć do »mniejszych mrówek ludzkości, pełnych kłamstwa, wybiegów, tchórzostwa« i – dodajmy – podłości, co wszystko razem w pięknym języku Puszkina można wyrazić jednym krótkim i dosadnym słowem: swołocz".

No cóż, dzielenie włosa na czworo w tym akurat wypadku nie zda się na nic. Miała ta międzynarodowa awanturnica swój udział w dekonspiracji spisku dekabrystów; po wybuchu powstania listopadowego odgrywała w Warszawie rolę „anioła opatrzności" wobec przesłuchiwanych, których za jej rzekomym wstawiennictwem Witt, mianowany wojennym gubernatorem miasta, wypuszczał na wolność; wreszcie w Dreźnie przeniknęła do grona polskich działaczy niepodległościowych i przekazywała uzyskane od nich informacje do Moskwy. Polski, jak się zdaje, szczerze nienawidziła.

Pókim był w okuciach

Jan Walc zwracał uwagę, jak „biografowie i interpretatorowie twórczości Mickiewicza wpadają w pewien popłoch, kiedy muszą zająć się odeskim okresem jego życia i twórczości. Gustaw – bon vivantem? A kysz! Istotnie, między byciem Gustawem a byciem lwem salonów, causeurem zmieniającym kochanki jak rękawiczki – istnieje zasadnicza sprzeczność. Hagiografowie z ogromnym uporem i rozmaitymi metodami próbowali się z niej wywikłać, już to bagatelizując sprawę podbojów Mickiewicza (który podówczas zdołał uwieść nawet swoją przyszłą teściową, co jest jednak osiągnięciem dość rzadkim), już to udzielając mu ojcowskich napomnień moralnych, już to rozkładając ręce – nie mogli jednak trafić na rozwiązanie najprostsze: błąd w rozumowaniu polega na identyfikowa-

eprasa.pl 3fb0395e21

Grigorij Miasojedow, „Adam Mickiewicz improwizuje po francusku w moskiewskim salonie księżnej Zinaidy Wołkońskiej"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUSEUM.RU

niu Mickiewicza z Gustawem. Nie było ani jednego dnia w życiu poety, w którym byłby on do Gustawa podobny".

W petersburskich i moskiewskich salonach uosabiał jednak Mickiewicz nieszczęśliwego kochanka, do tego jeszcze wygnańca i bajronicznego poetę. „To wszystko – pisał Walc – rozpalało do białości zmysły rosyjskich piękności […], »każdy wierszyk Goethego obudzał powszechny entuzjazm, a każdy romans Walter Scotta był natychmiast w obiegu«. O takich postaciach jak ten zagraniczny poeta wszystkie te panie dotąd czytały tylko w romansach, ale nigdy nikogo takiego nie widziały na oczy. I oto pojawił się w zasięgu ręki. Na terenie całej Rosji szerokiej nie było mężczyzny, który by mógł podówczas stanowić dla Mickiewicza w romansowych szrankach konkurencję. Kammerjunkier Puszkin? Śmiechu warte!".

A jak pisał? W przedmowie do drugiego petersburskiego wydania „Konrada Wallenroda" (1829) po przedmowie dopisał zdanie wychwalające cara jako „Ojca wszystkich" plemion, „Ojca tylu ludów", którymi opiekuje się ze „szczodrobliwością". Później w wierszu „Do przyjaciół Moskali", dołączonym do „Dziadów" części III, tak się odniósł do swej ówczesnej postawy: „Pókim był w okuciach, / Pełzając milczkiem jak wąż, łudziłem despotę".

Wallenrodyzm, początkowo przyjmowany z – powiedziałbym – życzliwym zainteresowaniem, w dobie powstania listopadowego był już krytykowany, i to bardzo mocno. Dość przypomnieć w tym miejscu sugestię Słowackiego, że nowym Wallenrodem mógłby się w tamtej sytuacji stać sam Paskiewicz, rosyjski feldmarszałek, a po upadku powstania – carski namiestnik w Warszawie. A i sam Mickiewicz jakby odżegnywał się od swego dzieła, do przełożenia którego przymierzał się w swoim czasie Puszkin. Kiedy zaś po pierwszym wydaniu „Konrada Wallenroda" zakochana w autorze młoda poetka i malarka Karolina Jaenisch powiedziała mu, że pracuje nad tłumaczeniem tej powieści poetyckiej, powiedział, że „mogłaby zrobić lepszy użytek ze swego czasu".

Własna kompania

Po dwumiesięcznej podróży z Odessy, w grudniu 1825 r., Mickiewicz przybył do Moskwy, gdzie zatrudniony został w kancelarii Dymitra Golicyna. Nie robił tam nic. Za to zbliżył się do środowiska literackiego skupionego wokół „Moskowskiego Tielegrafa" braci Polewojów, poznał księcia Piotra Wiaziemskiego, Sergiusza Sobolewskiego i Aleksandra Puszkina, bywał w salonie księżnej Zinaidy Wołkońskiej. Ale wpadał też na takie pomysły, jak wydawanie polskiego pisma literackiego „Iris", o co bardzo zabiegał, bezskutecznie. Swoją drogą, na bojach z cenzurą zmarnowałby zdrowie, a w końcu i tak redaktorstwo takie skończyłoby się na Sybirze. Tak że Bóg go strzegł.

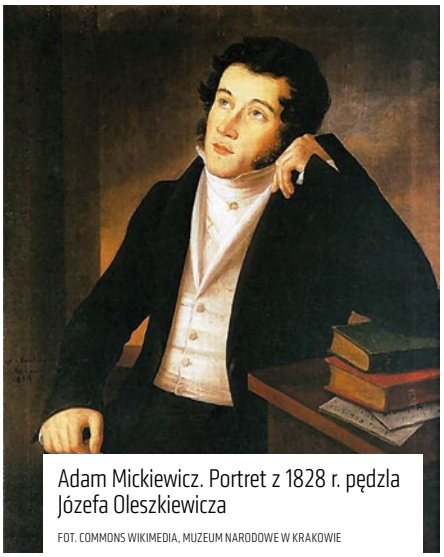

Adam Mickiewicz. Portret z 1828 r. pędzla Józefa Oleszkiewicza

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

Ale Mickiewicz czuł dyskomfort, myśląc o swoich przyjaciołach. „Z pewnością nie w jego guście byłoby atrakcje życiowe, jakich w Rosji doświadczał, usprawiedliwiać talentem – pisał Tomasz Łubieński w książce »M jak Mickiewicz«. – Więc przyznawał się do nich niechętnie, najlepszy dowód, że po prostu kłamał Zanowi i Czeczotowi, donosząc z Moskwy o sobie, Malewskim i Jeżowskim (mieszkali razem), że »znajomości nie mamy żadnych i kompanii prócz własnej, nie mamy«".

A przecież od wczesnej wiosny zaczyna się w Moskwie prawdziwa kariera towarzysko-literacka Mickiewicza. Po paru miesiącach będzie z tym kłopot, co określi Malewski jednym zdaniem: „Co tydzień dwa obiady odmawiamy, a na trzeci idziemy". Sam Mickiewicz przyznawał w listach do przyjaciół, że na południu „żył jak basza".

Na obiadach bywał poeta u Buharyna, cenionego współpracownika III Oddziału kancelarii cesarskiej, gdzie pojawiał się też kierownik tego oddziału, von Fock. Mickiewicz i dla miłego gospodarza, i dla jego gości pięknie improwizuje… A jego portretuje malarz Aleksander Orłowski… I było mu w tej Rosji już tak dobrze, tak wspaniale, że o niczym innym nie myślał, tylko o tym, by wyjechać stamtąd raz na zawsze. To pragnienie ziściło się rankiem 27 maja 1829 r., kiedy wszedł na pokład kursującego regularnie między Petersburgiem i Lubeką parowca „Jerzy IV".

Jarosław Marek Rymkiewicz w świetnej książce „Żmut" (1987) stwierdził: „Życie Mickiewicza, choć tyle o nim wiemy i może dlatego, że tyle o nim wiemy, zawsze […] pozostanie dla nas czymś tajemniczym i nierozpoznanym, czymś, czego będziemy się tylko domyślać […]. Pełne tajemnic życie Mickiewicza – opowieść o nim przechodzi z pokolenia w pokolenie – jest wzorem, archetypem życia polskiego".

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3fb0395e21

Jadwiga i Józef Beckowie

FOT. NAC

Książka miesiąca / Koper o skandalach

Kobiecy „motor” Becka

Polacy kojarzą Józefa Becka głównie z jego pomysłów na politykę zagraniczną II RP. A także – a może przede wszystkim – z jego słynnej, śmiertelnie poważnej przemowy w Sejmie, gdy odrzucił żądania Niemiec. Jednak były też czasy, gdy Józef Beck wzbudzał w elitach wesołość. Powstał nawet na ten temat dowcip. „Oficer pyta drugiego oficera: »Gdzie spędzisz święta Bożego Narodzenia?«. Odpowiedź: »W rodzinie«. »Czy w licznym gronie?«. »Cóż, będzie moja żona, narzeczony mojej żony, moja narzeczona, jej mąż oraz żona narzeczonego mojej żony«”. Dowcip, przywołany przez Sławomira Kopra w rozdziale jego książki poświęconym Józefowi Beckowi, nawiązywał do skomplikowanej sytuacji życiowej przyszłego szefa polskiego MSZ.

Powszechnie wiadomo było, że Stanisław Burhardt-Bukacki, pierwszy mąż drugiej żony Józefa Becka, pozostawał z nim w dobrych stosunkach mimo oczywistej – wydawałoby się – przeszkody. Zresztą nawet Jadwiga Beck nie ukrywała, że również lubi swojego byłego męża.

Ta skomplikowana sytuacja dała o sobie znać, gdy Beckowie gościli u siebie na śniadaniu szefa francuskiego MSZ Jeana Louisa-Barthou. Ministrowi towarzyszył wówczas ambasador Francji w Polsce, który jednak nie wyjaśnił zawczasu swojemu szefowi zawiłości układu rodzinno-przyjacielskiego gospodarzy. „Pani Beckowa – opowiadał później Jules Laroche – twierdziła, że pożycie małżeńskie mogło być złe, co nie przeszkadzało jednak po rozejściu zachować stosunków przyjaźni. Jako dowód podała, że przy tym samym stole znajduje się jej dawny mąż, którego w tym charakterze nie znosiła, lecz którego w dalszym ciągu bardzo lubi jako człowieka”.

Minister wziął to początkowo za żart, jednak przeżył szok, gdy w pewnym momencie pani Beckowa powiedziała córce, by ucałowała tatusia. Dziewczynka rzuciła się wtedy w ramiona... Burhardta-Bukackiego. Państwo Beckowie zalegalizowali w końcu swój związek, ale potrzebna tu była – zwyczajowa w takich przypadkach – zmiana wyznania.

Sławomir Koper podkreśla, że Józef Beck nigdy nie zrobiłby tak błyskotliwej kariery, gdyby nie Jadwiga. To ona napędzała swojego męża. „Czasami zdarza się, że w karierze polityka decydujący głos ma jego żona. W czasach współczesnych plotki na ten temat dotyczyły Billa i Hillary Clintonów, podobny przypadek miał miejsce w II RP” – pisze autor książki.

Skąd ta opinia? Otóż druga żona Becka wiele razy udowodniła, że jest niezwykle zdeterminowaną kobietą. Wymarzyła sobie, że jej mąż wespnie się na sam szczyt polskiej machiny państwowej. Według autora książki pani Beck była, obok partnerki Edwarda Śmigłego-Rydza, bodaj najbardziej ambitną spośród żon sanacyjnych dygnitarzy.

Te ambicje zostały zresztą zauważone przez artystów. Aktorka Mira Zimińska-Sygietyńska wspominała w swojej książce „Nie żyłam samotnie”, że pani Beckowa była bohaterką jednego ze skeczy, który napisał Marian Hemar. Pewnego razu podczas rozmowy z Zimińską-Sygietyńską słynny satyryk przyznał, że nie ma pomysłu na kolejne utwory. Aktorka zaproponowała wtedy: „Marian, będziemy ośmieszać kobiety”.

Efektem tego był m.in. skecz „Musisz być ministrem”. „Ojej, ojej! Dziś by cenzura tego nie puściła [...]. Była to historyjka o jednej pani, która chciała zostać ministrową. Pouczała więc swego pana, dygnitarza, co on ma nie zrobić, kogo kupić, co załatwić, jaki prezent której pani dać, żeby zostać ministrem”.

Zimińska-Sygietyńska wspominała, że któregoś razu pani Beckowa powiedziała jej: „Ej, Mira, wiem, wiem, o kim ty myślałaś”. Barwne małżeństwo Becków to tylko jeden rozdział najnowszej książki Sławomira Kopra, gdzie znajdziemy wiele innych historii słynnych ludzi, które dziwiły, gorszyły, a także fascynowały współczesnych. ©℗

Piotr Włoczyk

SŁAWOMIR KOPER
„ASCEZA, ROZPUSTA, ZBRODNIA. SKANDALE TYSIĄCLECIA”
ZONA ZERO

eprasa.pl 3fb0395e21

Zwycięstwo albo śmierć

Wojna krymska zakończyła się sromotną klęską Rosji. Polakom pod zaborem rosyjskim wydawało się, że może to być najlepszy moment, aby zyskać więcej swobody, gdyż osłabiona Rosja będzie skłonna do kompromisów. Jednak Aleksander II powiedział w Warszawie w roku 1856: „Żadnych marzeń, panowie! Szczęście Polaków zamyka się tylko w zupełnym zlaniu się z Rosją". Taka deklaracja była, jak pisze Kamil Kartasiński, niczym kubeł zimnej wody.

Atmosfera w Królestwie Polskim stawała się coraz bardziej napięta, co skończyło się wybuchem powstania w 1863 r. Na bitewnych polach pojawili się Żuawi Śmierci pod dowództwem Franciszka de Rochebrune'a (czy, jak to woli, François de Rochebrune'a) – „Francuza, który chciał umrzeć jak Polak". Żuawi to bodaj najbardziej znany oddział powstańczy: ubrani w eleganckie czarne mundury z białymi krzyżami na piersiach, w czerwonych fezach na głowie, wyposażeni nadzwyczaj dobrze na tle innych walczących w zrywie. Przyciąga uwagę mocna nazwa: Żuawi Śmierci. Każdy ochotnik do tej formacji składał przysięgę, że będzie walczył do końca: albo do zwycięstwa powstania, albo do własnej śmierci. Wierni tej przysiędze przelewali krew w boju.

Książka Kartasińskiego jest bardzo potrzebnym kompendium wiedzy o tej formacji. Tym bardziej – i to duża zasługa autora – że nie mitologizuje on żołnierzy pod dowództwem Rochebrune'a. Wraz z nimi podążamy szlakiem bojowym, towarzysząc im w trudach, przeżywając porażki, a także czując ich nadzieje i radości.

W pracy znajdziemy również biografię twórcy formacji Żuawów Śmierci. Bez niej opowieść o tej formacji nie byłaby oczywiście pełna. Także de Rochebrune'a autor nie stawia bezrefleksyjnie na piedestale, wskazując jego niewątpliwe zalety, a także wytykając niedoskonałości. Cieszył się on wielkim autorytetem, ale nie mógł porozumieć się z niektórymi dowódcami powstania. Ostatecznie, z powodu konfliktów, wrócił do Francji. Losami znajdującej się pod zaborami Polski interesował się jednak do końca życia.

Powstanie styczniowe miało ogromny wpływ na dalsze losy Polski i ukształtowanie postaw kolejnych pokoleń. Wpisują się w to również Żuawi Śmierci, którzy pozostaną już na zawsze symbolem odwagi i poświęcenia dla sprawy narodowej. ©℗

Anna Szczepańska

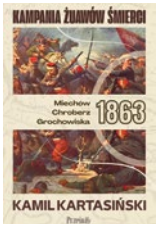

KAMIL KARTASIŃSKI
„KAMPANIA ŻUAWÓW ŚMIERCI. MIECHÓW-CHROBERZ-GROCHOWISKA 1863"
PRZEŚWITY

„Królestwo" Merina

Czytając opowieść o władcy sosnowieckiego getta, trudno nie mieć skojarzeń ze słynnym Chaimem Rumkowskim, „królem" łódzkiego getta. To historia pełna przypadku, bo to właśnie od zupełnego przypadku zaczęła się wielka kariera Mojżesza Merina, który nagle zyskał władzę nad tysiącami Żydów zamkniętych w getcie w Sosnowcu (choć jego wpływy sięgały znacznie dalej). Niektórzy widzieli w nim kogoś na kształt „mesjasza" czasów Holokaustu, inni jednak od razu dostrzegli jego ciemną stronę. W tej historii nic nie jest proste ani oczywiste. ©℗

Piotr Włoczyk

SEBASTIAN REŃCA
„SZULER"
ARCANA

Powrót do świetności

Jakiś czas temu mocno uderzyło mnie ogłoszenie, w którym prezentowano przeznaczony na sprzedaż „zabytkowy kościół w województwie dolnośląskim", reklamując budynek jako świetne miejsce dla stworzenia usług turystycznych, hotelowych albo rozrywkowych.

W Polsce znaleźć można nadzwyczaj wiele historycznych, zabytkowych budowli, które niszczeją od lat, czekając na nowego właściciela lub łaskawe spojrzenie konserwatora zabytków oraz gminy, na której terenie się znajdują. Taki los jest udziałem głównie dworów, pałaców i zamków. Niektóre z nich zaczęły popadać w ruinę już kilka wieków temu, jednak znakomitą większość dotknęło to po powstaniach narodowych w XIX w., a szczególnie po pierwszej i drugiej wojnie światowej. Tego typu zrujnowany obiekt znajduje się bodaj w każdej gminie.

Marcin K. Schrimer pokazuje ludzi, którzy podjęli się zadania przywracaniu świetności historycznym obiektom. Od małych dworków po okazałe rezydencje – z każdą z nich związana jest historia, którą warto przypomnieć. Autor opowiada o najczęściej niełatwej drodze, którą właściciele zabytków przeszli, aby doprowadzić je do stanu świetności, jaki widzimy obecnie. Wiązało się to z ogromem pracy, wyrzeczeń, a niekiedy i walki z biurokracją. Książka jest opowieścią o pasji i miłości do historii. ©℗

Anna Szczepańska

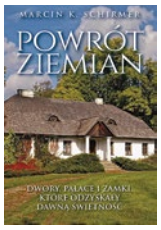

MARCIN K. SCHRIMER
„POWRÓT ZIEMIAN. DWORY, PAŁACE I ZAMKI, KTÓRE ODZYSKAŁY DAWNĄ ŚWIETNOŚĆ"
ZONA ZERO

eprasa.pl 3fb0395e21

/ Felieton

Antysierpień

Rafał A. Ziemkiewicz

Określenie „wojna na górze", które skutecznie wprowadził do polszczyzny Lech Wałęsa, kompletnie fałszuje sens tego, co stało się z ruchem Solidarności w chwili jego zwycięstwa, u schyłku 1989 r. Wcale nie chodziło o to, że – jak sugerowało sławne „potrzebna jest wojna na górze, żeby na dole był spokój" – jakieś kierownictwo pobiło się w swoim elitarnym gronie, a szerokie masy tylko obserwowały to z narastającym niesmakiem, zniechęcając się stopniowo do nowej, solidarnościowej ekipy. Konflikt był tak niszczący dla mitu Solidarności, ponieważ od pierwszej chwili chodziło o wciągnięcie weń mas. Pokłócone stronnictwa antywałęsowców i wałęsowców potraktowały Polaków tak, jak czasem drący koty rodzice traktują dziecko, zmuszając je do sędziowania w awanturze, której biedactwo nie rozumie i nie chce rozumieć, bo je to rani. Oczywiście i mamusia, i tatuś robią to w przekonaniu, że dziecko musi opowiedzieć się po ich stronie.

Wbrew stereotypowi sprawa zaczęła się jeszcze przed sławnym posiedzeniem Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie, na którym jedni i drudzy otwarcie sobie nawsadzali, przed krakowską konferencją o „etosie Solidarności", która położyła ideowe podwaliny pod formację lewicowo-liberalną. Zaczęło się w sierpniu 1989 r., kiedy Tadeusz Mazowiecki został desygnowany na „solidarnościowego" premiera i tym samym zrobił się wakat na stanowisku redaktora naczelnego „Tygodnika Solidarność". Pismo należało do związku zawodowego, więc związek, konkretnie jego przewodniczący, wyznaczył nowego naczelnego. Przeciwko temu podniósł bunt zespół redakcyjny, który prawem kaduka wybrał sobie swojego naczelnego i uważał, że

> **Każdy, kto kupował i czytywał „TySol" – nie mówiąc o pisaniu do niego – z punktu stał się ciemniakiem, oszołomem, karierowiczem i moralną ohydą**

Wałęsa ma moralny obowiązek ten wybór uszanować i zatwierdzić. W istocie to nie zespół był tu siłą sprawczą, a grupa „oświeconych", która później miała przekonać do kandydowania na prezydenta Tadeusza Mazowieckiego i stworzyć Unię Demokratyczną. Krzysztof Wyszkowski zwykł nazywać tę grupę „kuroniadą", Waldemar Łysiak „salonem", ja używam pojęcia „michnikowszczyzna" – w istocie jej mózgiem nie był ani Kuroń, ani Michnik, tylko Bronisław Geremek.

Bunt natychmiast przybrał formę, która przez następne 35 lat miała był polską codziennością: najwyższego moralnego oburzenia oświeconych elit na populistów, którzy sprzeciwiają się ich przewodniej roli, świętokradczo przypisując sobie takie prawo pod pretekstem „głosu ludu". A oświeceni, jak to pisał ich guru, Antoni Słonimski, „lód lubią tylko w limonadzie" – żaden profan nie ma prawa wypowiadać się w kwestii moralności i etyki, a wyższość ludzi takich, jak wspomniana trójka, i ich naturalne prawo przywództwa wynikają właśnie z zasad moralności i etyki.

Każdy, kto kupował i czytywał „TySol" – nie mówiąc o pisaniu do niego – z punktu stał się ciemniakiem, oszołomem, karierowiczem i moralną ohydą. O ówczesnej sile „Gazety Wyborczej" i jej politycznych emanacji świadczy fakt, że ogłoszony w ramach protestu bojkot skutecznie złamał znaczenie tygodnika – a tym samym ruch Solidarności stracił własny głos na rzecz Michnika. To właśnie ośmieliło lewicowo-liberalny salon do demonstracyjnego odrzucenia przywództwa Wałęsy parę miesięcy później i jasnego postawienia spraw: robotniki do fabryki, od rządzenia są inteligenci.

Tak się to zaczęło: sierpień 1989 r. symbolicznie unieważnił Sierpień 1980.

©℗

eprasa.pl 3fb0395e21

Piotr Semka

/ Felieton

Ludojady na emeryturze

Wspominałem już kilka razy, że mam spore zaległości w kwestii znajomości literatury odwilżowej z epoki pieriestrojki. Dziś doczytuję tamte publikacje. W jej „złotych czasach" (w latach 1987–1990) wolałem już czytać powieści Józefa Mackiewicza, zamiast śledzić, co też nowego cenzura PRL przepuszcza z ZSRS na temat zbrodni Stalina. Właśnie wpadła mi w ręce ciekawa książka Roja Miedwiediewa pt. „Ludzie Stalina", wydana w Moskwie w 1989 r. Jej autor to historyk, który idealnie wstrzelił się w tamte czasy. Miedwiediew był erudytą i znał wiele plotek o dygnitarzach z samej wierchuszki sowieckiej partii komunistycznej, a jednocześnie pisał tak, by nie przekroczyć ówczesnych niepisanych reguł „tego, co można".

„Ludzie Stalina" to portrety Wiaczesława Mołotowa, Łazara Kaganowicza, Grigorija Malenkowa, Anastasa Mikojana i Klimenta Woroszyłowa.

Najciekawsze w książce są opisy losów tych wspólników Stalina już na emeryturze, po nastaniu epoki Nikity Chruszczowa.

Miedwiediew ze znawstwem opisuje, jak niegdysiejsi panowie życia i śmierci milionów mieszkańców ZSRS musieli kilka lat po śmierci Stalina nagle przejść do szarego życia emeryta; w większości przypadków usunięto ich z partii. Dla nich – komunistów – było to jak duchowy wyrok śmierci. Ale w rzeczywistości była to kara wręcz śmieszna, zważywszy na ich współudział w wydawaniu wyroków śmierci na setki tysięcy niewinnych ludzi.

Oto niedole Mołotowa, który po 1957 r. został wysłany na mało zaszczytną funkcję ambasadora ZSRS w Mongolii: organy prasowe KPZS, jak np. „Kommunist", odrzucają przysyłane przez niego artykuły, po odwołaniu z Ułan Bator zostaje wydalony z partii i traci wiele przywilejów, m.in. nie ma już limuzyny, przez co narażony jest na ulicach na gniew ofiar systemu.

„Pewnego razu na placu Puszkina podeszła do Mołotowa starsza kobieta i zaczęła głośno obrzucać go obelgami, nazywając go zbrodniarzem i mordercą. Mołotow wsunął bez słowa głowę w ramiona i poszedł do domu" – pisze Miedwiediew. Innym razem były zastępca Stalina spotkał byłego łagiernika przed bramką domu. Ten poznał go i rzucił: „Jeszcze pełzasz, wampirze?".

Ale takich odważnych ludzi nie było zbyt wielu. Częściej byli „półbogowie" ZSRS zderzali się z błyskawicznym zapomnieniem. Miedwiediew opisuje, jak Łazar Kaganowicz, były organizator czystek Stalina, wezwał w latach 80. na wizytę domową lekarkę:

„Młoda kobieta w rozmowie z pacjentem przekręciła kilkakrotnie jego nazwisko, mówiąc »Panie Kazanowicz«. Zirytowało to Kaganowicza: »Nie Kazanowicz, a Kaganowicz« – powiedział, i dodał: »Kiedyś moje nazwisko znał dobrze cały Związek Radziecki«".

Ale i jemu przydarzył się o wiele bardziej nieprzyjemny incydent.

„Pewnego razu dostrzegła Kaganowicza na ulicy grupa niemłodych mężczyzn, dzieci działaczy partyjnych, którzy zginęli na Ukrainie w latach stalinowskich represji […]. Otoczyli Kaganowicza i wymyślali mu od oprawcy i niegodziwca. Łazar bardzo się przejął i zaczął głośno wołać :»Ratunku! Mordują! Milicja!«. I milicja się zjawiła. Wszystkich uczestników tego incydentu zatrzymano i zaprowadzono do najbliższego komisariatu. Sprawa zakończyła się sprawdzeniem dokumentów zatrzymanych, których natychmiast zwolniono".

Inny bonzo z epoki Stalina – Gieorgij Malenkow – leczył się w sanatorium Gosplanu Woronowo. Spotkał tam starego bolszewika J. Fridmana.

„»Dzięki wam spędziłem 15 lat w obozach« – wypalił Fridman, spotykając Malenkowa w parku. »Nic o tym wówczas nie wiedziałem« – odparł Malenkow. »Ale ja widziałem wasz podpis na moich aktach« – zaoponował Fridman. Malenkow uchylił się od dalszej rozmowy i szybko odszedł" – pisał Miedwiediew.

Takie to były straszne niedogodności życia stalinowskich morderców zza biurka. To, z jaką emfazą opisuje je Miedwiediew, wskazuje, że musiały być to głośne przypadki, przekazywane sobie z ust do ust. Jedyną karą za lata zamknięcia w łagrze były wymówki tej czy innej ofiary? To wszystko? Bezkarność ludojadów z ekipy Stalina dopiero w świetle takich książek widać z absolutną jaskrawością. ©℗

eprasa.pl 3fb0395e21

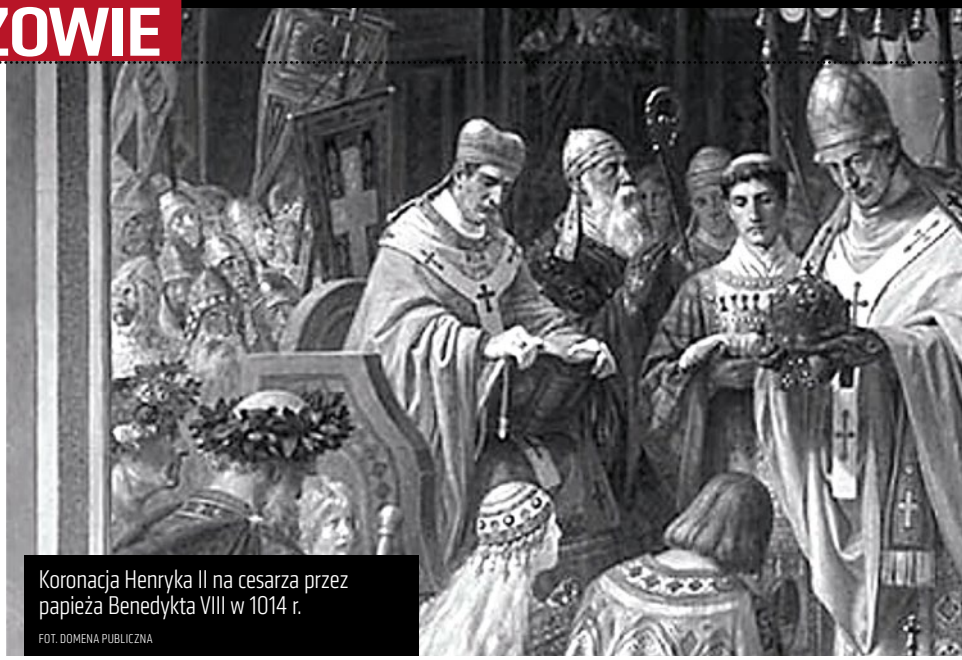

Koronacja Henryka II na cesarza przez papieża Benedykta VIII w 1014 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

XI w. / Próba „ucywilizowania" państwa polskiego

Chrobry kontra Niemcy: II runda

Leszek Lubicki

Pokój zawarty w Poznaniu w 1005 r., po pierwszej fazie wojny polsko-niemieckiej (1002–1018), obie strony traktowały jedynie jako pauzę. Ani Henryk II, ani Bolesław Chrobry nie zamierzali ustępować rywalowi

Pierwszy rozdział tej długiej wojny można byłoby uznać za mały sukces Chrobrego, ponieważ Henrykowi nie udało się podporządkować polskiego władcy. A przecież ten niemiecki król nie mógł znieść wyniesienia Chrobrego na zjeździe gnieźnieńskim do rangi wyższej niż tylko książę jakiegoś słowiańskiego państewka.

Bolesław I mógł czuć niedosyt, ale nie czuł się pokonany, ponieważ „pokonani bywają jednak tylko ci, którzy sami uznają się za pokonanych. Bolesław I do takich oczywiście nie należał" (Labuda, 2012). Polski władca rozpoczął więc od razu działania dyplomatyczne, chcąc m.in. odzyskać wpływy na Pomorzu Zachodnim, które utracił w wyniku pierwszej fazy wojny. Żyjący tam Wolinianie i Lucice, Słowianie, którzy wcześniej byli sojusznikami Niemiec, poczuli się zagrożeni i udali się ze skargą do Henryka II.

Była Wielkanoc 1007 r. „Zarzuty musiały być tak poważne, że król i jego rada powzięli decyzję o zerwaniu niedawno zawartego pokoju i zagrozili wojną" (Labuda, 2012). Chrobry, mając wszędzie szpiegów, szybko o tym się dowiedział i ruszył pierwszy do ataku. Jak trafnie to ujął Karol Szajnocha, Bolesław podwójnie wojował: żelazem i złotem.

Krwawe przygotowania

Król Henryk II miał w swoim państwie mocną opozycję. Byli w jego otoczeniu również ludzie, którzy sprzyjali Chrobremu. Musiał zatem najpierw się z nimi uporać, gdyż winił ich za niepowodzenia, których doznał w czasie pierwszej fazy wojny zakończonej pokojem w 1005 r. Pamiętajmy o słowach Władysława Konopczyńskiego, który tak widział naszego zachodniego sąsiada i wroga: „Święte Cesarstwo Rzymskie Niemieckiego Narodu to ani państwo jednolite, ani związek stanów: jest to zlepek grup różnego kalibru i układu". Saski kronikarz Thietmar tak to natomiast oceniał: „Wytępiwszy sprawców wszelkich niegodziwości, król zabiegał usilnie po tych wypadkach o ugruntowanie w naszym kraju upra-

eprasa.pl 3fb0395e21

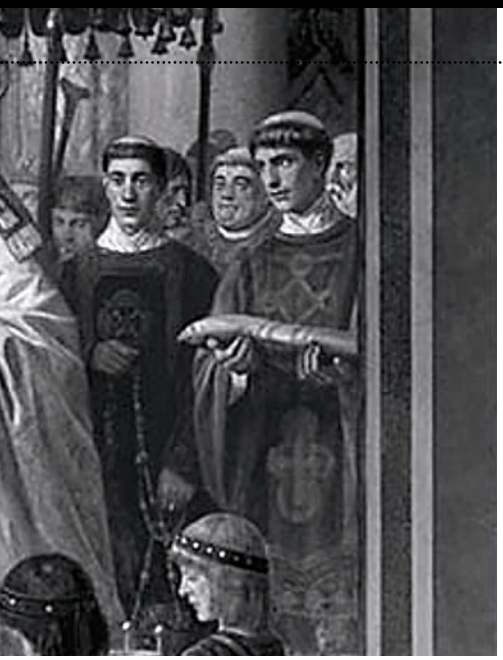

gnionej pomyślności oraz bezpieczeństwa. Dlatego kazał powiesić na stryczku w Fallersleben sławnego rycerza Bruncjona z Merseburga, spośród Słowian zaś możnego Borysa i Wszemysła wraz z ich stronnikami. Często odbywał zjazdy ze Słowianami w Wierzbianach leżących nad Łabą i, czy chcieli czy nie chcieli, omawiał z nimi potrzeby swego państwa i narzucał w końcu swoją wolę".

Henrykowi bardzo zależało na tym, by Słowianie połabscy, którzy wcześniej go wspomagali w wojnie z Bolesławem, dalej pozostawali z nim w sojuszu. Gdy król niemiecki wieszał i ustawiał „do pionu" przeciwników, w tym czasie „polscy posłowie próbowali namówić księcia Czech i tych, którzy decydowali o polityce Wieletów, do przejścia na stronę Bolesława […]. Działania dyplomatyczne Bolesława nie przyniosły pozytywnych rezultatów. Ani Jaromir czeski, ani Wieleci nie mieli ochoty na sojusz z Polską. I jedni, i drudzy wysłali natomiast posłów do Ratyzbony, gdzie Henryk świętował Wielkanoc. Wraz z Wieletami przybyli do króla wysłańcy Wolina. Od posłów słowiańskich król dowiedział się o podejmowanych przez Bolesława próbach zmiany sojuszy. Zareagował natychmiast, wypowiadając Polsce wojnę" (Barański, 2005).

Tak widział to Thietmar: „Przybyli posłowie od Luciców, od wielkiego miasta zwanego Wolin oraz od księcia Jaromira z doniesieniem, iż Bolesław knuje różne złośliwe plany przeciw niemu i namawia ich słowem i pieniędzmi do ich wykonania. Oświadczyli również, że jeżeli król będzie nadal żyć z nim w pokoju i udzielać mu swojej łaski, to nie będzie mógł liczyć na pewno na ich wierność".

Posłowie widzieli tylko jedno rozwiązanie: wojna z Bolesławem, który był wspólnym wrogiem Niemiec i pogan. Widzimy zatem, że chrześcijański król brata się z poganami, aby napaść na chrześcijańskiego księcia Polski. Bywający na dworze Chrobrego św. Brunon z Kwerfurtu, saski misjonarz chcący nawracać pogan wzorem św. Wojciecha, na wieść o tym przymierzu pisze do Henryka list, w którym odważnie stawia swojemu władcy zarzut bratania się z poganami. „Jeżeli jednak wolno tak powiedzieć, nie tracąc łaski królewskiej: czy jest to dobrem prześladować chrześcijanina, a utrzymywać przyjaźń z ludem pogańskim? Co za zgoda Chrystusa z Beljalem, co za porównanie światła z ciemnością? Jak mogą się zgadzać diabeł Swarożyc i wódz świętych, nasz Maurycy? Jakim czołem schodzą się razem święta włócznia i godła pogańskie, karmione krwią ludzką? Czy nie wierzysz w grzech, królu, gdy głowa chrześcijańska, co hańba powiedzieć, kroczy pod godłem demonów?".

Późniejszy święty męczennik uważał bowiem, że Henryk powinien wspólnie z Chrobrym dążyć do nawracania Słowian połabskich, a nie bratać się z nimi przeciwko chrześcijańskiemu polskiemu władcy. „Z tym wszystkim trudno nie podziwiać nie tylko determinacji króla Niemiec, ale także jego chłodnej kalkulacji; odkładając na bok wszelkie względy ideologiczne, ten pobożny aż do dewocji [kanonizowany w 1146 r. – przyp. red.], ale niezwykle trzeźwy polityk przedłożył rację stanu, tak jak ją rozumiał, nad ideologię i religię. Zapewne traktował sojusz z Lucicami jako posunięcie taktyczne, z którego, gdy usunięty bądź powalony na kolana zostanie Chrobry, będzie można gładko się wycofać" (Strzelczyk, 2003).

Pamiętajmy, że w tym czasie Henryk II był tylko królem Niemiec, i to jeszcze nie przez wszystkich w jego kraju akceptowanym (cesarzem rzymskim został dopiero w 1014 r.).

Wróćmy jeszcze na moment do roku 1000 i słynnego zjazdu gnieźnieńskiego. Ówczesny cesarz, a więc najwyższa władza świecka tej części świata, Otton III,

Henryk II. Miniatura z ewangeliarza z epoki

FOT. DOMENA PUBLICZNA

uznał „Bolesława za władcę niezależnego od Niemiec, a więc od wszystkich innych państw także. Czyni go patrycjuszem cesarstwa, a może i czymś więcej – swoim namiestnikiem na wschodzie, nawet spadkobiercą tronu czy współimperatorem […]. Miał zarówno własne arcybiskupstwo, jak i stwierdzenie całkowitej niezależności od króla Niemiec […]. Po śmierci Ottona Chrobry powrócił więc do dawnych zamierzeń, mających na oku tylko Polskę" (Jasienica, 1990).

Zatem wypowiedzenie przez Henryka wojny miało być dla Bolesława ostrzeżeniem. Poza tym „Niemcy nie były przygotowane do wojny z Polską. Henryk prawdopodobnie nie był przekonany, aby Bolesław chciał podjąć kroki wojenne przeciwko niemu, i dlatego zdecydował się wysłać Hermana [zięcia Chrobrego – przyp. red.] do Polski" (Grabski, 2019). Mimo że obydwu łączyły dobre stosunki, wysłannik Henryka został przyjęty chłodno, a Chrobry prawdopodobnie nie przystał na stawiane mu warunki. Tym samym postanowienia pokoju poznańskiego przestały obowiązywać. Chrobry czuł się władcą niezależnym, a przy tym silnym. I tak się też zachowywał. Książę Bolesław zdawał sobie sprawę, że pod rządami Henryka nasi zachodni sąsiedzi traktują słowiańską Polskę jako coś podrzędnego, na poły barbarzyńskiego, nad czym muszą panować. Nie było zatem mowy o jakiejkolwiek solidarności państw chrześcijańskich. Zamiast tego wydarzenia napędzały jedynie chwilowe interesy.

Wojna i…

Chrobry zaatakował jako pierwszy, wiedząc zapewne, co się dzieje za Odrą.

eprasa.pl 3fb0395e21

Bolesław Chrobry. Obraz Marcella Bacciarellego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

Bez tej wiedzy nie sposób było podjąć właściwej decyzji. „Pierwszym etapem nowej wojny był szybki wypad wojsk polskich w kwietniu 1007 r. w okolice Magdeburga i zniszczenie ziem należących do arcybiskupa Taginona, gwaranta pokoju poznańskiego […]. Wyprawa odwetowa arcybiskupa utknęła w okolicach dzisiejszego Poczdamu. Brakło widać determinacji" (Pleszczyński, 2025).

Oczywiście następnie Bolesław ruszył na ziemie utracone w pierwszej fazie wojny. Bez większych problemów zajął Łużyce, a po ciężkim oblężeniu zdobył także Budziszyn, którego załoga poddała się za cenę wolnego i honorowego opuszczenia grodu. Obrońcy liczyli na pomoc wojsk z Saksonii, która jednak nie nadeszła. Zapewne Chrobry uczynił to tymi samymi siłami, które działały wcześniej opodal Magdeburga. „Cechą charakterystyczną działań wojsk polskich w 1007 r. była zdecydowana ofensywa, umiejętne przeprowadzenie manewru, świetne zaplanowanie wojny, jej celów strategicznych w poszczególnych fazach walki" (Grabski, 2019).

Henryk II w tym czasie miał problemy w swoim władztwie i nie mógł podjąć działań na wschodzie. Dlatego też dwa lata później, jesienią 1009 r., Chrobry chciał zdobyć ważny gród w Miśni. Planowano atak z zaskoczenia, ale nie udało się zrealizować tych zamierzeń, ponieważ wysłany oddział polskich wojów był zbyt słaby. Wobec postawy niemieckich obrońców nie było szans na oblężenie, dlatego polski oddział bez większych strat wycofał się, prawdopodobnie do Budziszyna.

Dopiero w następnym roku królowi Niemiec udało się zebrać wyprawę przeciwko Chrobremu, w której uczestniczyli tylko Sasi i Czesi. Sam Henryk nie brał w niej udziału, powierzając dowództwo księciu saskiemu Bernardowi. Jego wojska ruszyły „przez Łużyce w stronę Krosna, by tutaj próbować forsować Odrę. Chrobry uprzedzając ruch Niemców, zabezpieczył przeprawy. W efekcie najeźdźcy ruszyli w stronę Głogowa, unikając walnej bitwy, a następnie, nie mogąc przełamać obrony Bolesława, wycofali się do kraju. Jedyną korzyścią z tej wyprawy było odzyskanie przez najeźdźców części Łużyc" (Sroka, „Leksykon", 1999). Po tym etapie wojny Chrobry już nie musiał niczego robić przez kolejne dwa lata poza nasłuchiwaniem, co się dzieje u Niemców, i planowaniem odparcia kolejnego ataku wroga.

Niemiecki władca miał u siebie duże kłopoty – niepokoje wybuchały w całym kraju. „Henryka II irytowała poważnie ta sytuacja, ale był bezsilny wobec braku zaangażowania w wojnę przeciw Polsce ze strony tej części możnych saskich, którym bardziej przeszkadzał sojusz z Lucicami niż obecność wojsk Bolesława Chrobrego nad Soławą i Hawelą" (Pleszczyński, 2025). Dlatego król niemiecki musiał ogłosić rozejm w swoim władztwie na okres pięciu lat. Dopiero w 1012 r. ruszyła wyprawa na Chrobrego, „jednak ugrzęzła już nad Łabą, zmarł jej wyznaczony dowódca arcybiskup magdeburski, a z Czech nie nadeszły posiłki, gdyż w Pradze obalony został właśnie książę Jaromir. Choć Udalryk, który go usunął, odnowił lojalną współpracę z niemieckim królem, to jednak w maju 1012 r. już nie zdążył pomóc" (Nowak, 2014). Widząc niemoc wroga, wojska Chrobrego obległy, a następnie zdobyły gród Lubusz. Niechętny Bolesławowi kronikarz Thietmar zapisał: „Ta straszliwa rzeź miała miejsce 20 sierpnia. Rozdzieliwszy nieprzebrane łupy i podpaliwszy gród, zwycięskie wojsko powróciło wraz z wodzem swoim w radosnym nastroju do domu".

Śmierć Brunona z Kwerfurtu. Fresk z opactwa na św. Krzyżu

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, GOKU 122

Obrońców grodu wybito do nogi, a ludzi bardziej znaczących wzięto do niewoli, by uzyskać za nich okup. Dodajmy, że Chrobry stracił wówczas ok. 500 zbrojnych, a sam polski władca w tej bitwie nie uczestniczył. W takiej sytuacji pozostało jedynie zawrzeć jakiś układ.

… pokój

„Obie strony dążyły do zawarcia pokoju: król Henryk nie mógł dłużej zwlekać z wyprawą po koronę cesarską do Rzymu, natomiast sam Bolesław przygotowywał się do wyprawy na Ruś, aby przyjść z pomocą swej córce i zięciowi, księciu Światopełkowi, którzy z polecenia wielkiego księcia Włodzimierza zostali wtrąceni do więzienia w Kijowie" (Labuda, 1994). I tutaj wreszcie na arenie historii na

eprasa.pl 3fb0395e21

Szyszak z Giecza
FOT. DOMENA PUBLICZNA

poważnie pojawia się dorosły, bo 23-letni syn Bolesława, Mieszko II, już wcześniej naznaczony na następcę władcy Polski. Zjawił się w Magdeburgu z wielkimi darami, został godnie przyjęty i również obdarzono go bogatymi podarkami. Ustalono wówczas wstępne warunki pokoju, które obie strony zaakceptowały.

Mieszko składa przy tym hołd Henrykowi, lecz historycy wciąż zastanawiają się, z czego i po co go złożył, gdyż Thietmar zapisał: „Złożył hołd lenny królowi, po czym przysięgą wzmocnił złożone przyrzeczenie. Następnie odprawiono go z wielkimi honorami i okazano mu wiele uprzejmości, by skłonić go do powtórnego przyjazdu". Zapewne „po prostu Piastowicz deklarował hołdem jedynie swoją w stosunku do Henryka jako króla niemieckiego, przyszłego cesarza, lojalność" (Pleszczyński, 2025).

Właściwy pokój zostaje zwarty w Zielone Świątki 24 maja 1013 r. w Merseburgu. Bolesław przybył tam ze swoją żoną Emnildą. Doświadczenia roku 1002, kiedy dokonano na niego zamachu w tym samym miejscu, powodują, że zażądał zakładników na czas swojego pobytu, i rzeczywiście ich otrzymał. Spotkanie przebiegło bardzo spokojne. Zgodnie z ustaleniami pokojowymi polski władca miał otrzymać Łużyce i Milsko na zasadzie hołdu, a także wspomóc Henryka 300 rycerzami w jego wyprawie do Rzymu. Analogicznie Henryk miał wesprzeć Bolesława w planowanej wyprawie na Ruś. Jednocześnie, dla wzmocnienia tego układu, córkę palatyna reńskiego Ezzona wydano za Mieszka II. Ezzonianka, wnuczka cesarza Ottona II i siostrzenica przyjaciela Chrobrego, cesarza Ottona III, była bodaj najwybitniejszą partią w Rzeszy, a tym samym Mieszko wszedł w skład ścisłej niemieckiej arystokracji, stając się księciem Rzeszy.

Jan Matejko, „Zaślubiny Świętopełka z córką Bolesława Chrobrego" FOT. ZBIORY PRYWATNE

Na wschód

Tak z grubsza wyglądały te ustalenia, jednak „nie wydaje się, by skąpa i kapryśna podstawa źródłowa umożliwiła kiedyś pewne rozstrzygnięcie prawnopublicznej strony postanowień merseburskich [...]. Przy całej ułomności podstawy źródłowej nie ulega wszakże wątpliwości to, że [...] obu stronom bardzo zależało na zawarciu porozumienia i pokoju, że nastąpiło nawiązanie przez Chrobrego (po raz pierwszy w sposób niebudzący wątpliwości w ramach stosunków polsko-niemieckich) stosunku lennego z władcą niemieckim (który nie był jeszcze w tym momencie cesarzem), że przyjmowany był zarówno on, jak również jego syn Mieszko, z wszelkimi honorami, że wreszcie właściwy hołd Bolesława w Merseburgu poprzedzony został osobistym (bez inwestytury lennej) hołdem Mieszka Bolesławowica w Magdeburgu w lutym 1013 r." (Strzelczyk, 2003).

Można było sądzić, że na tym zakończy się konflikt polsko-niemiecki. Chrobry bez problemów opuścił Merseburg, udał się na Ruś wraz z obiecanymi zbrojnymi niemieckimi i prawdopodobnie uwolnił z niewoli swojego zięcia Świętopełka wraz z jego rodziną. Osadził ich tam ojciec Świętopełka, Włodzimierz Wielki, co miało być karą za knucie na rzecz Chrobrego. Polski władca spustoszył ten kraj, jednak do starcia z władcą Kijowa, Włodzimierzem, nie doszło. Niemniej osłabił sąsiada ze wschodu, aby chociaż z tej strony mieć spokój. Wiedział bowiem, że to nie koniec wojny z Niemcami, skoro nie zamierzał realizować hołdu z Łużyc i Milska ani oddawać tych ziem cesarzowi, traktując je jako swoje. Dlatego nie wysłał obiecanych 300 rycerzy na wyprawę rzymską Henryka. Ten w lutym 1014 r. koronował się na cesarza, a już w następnym roku rozpoczęła się trzecia faza wojny polsko-niemieckiej. To jednak temat na kolejną opowieść.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Barański M.K., ***„Dynastia Piastów w Polsce",*** *Warszawa 2005; Grabski A.F.,* ***„Polska sztuka wojenna za pierwszych Piastów",*** *Oświęcim 2019; Jasienica P.,* ***„Myśli o dawnej Polsce",*** *Warszawa 1990; Labuda G.,* ***„Mieszko Drugi",*** *Poznań 1994; Labuda G.,* ***„Pierwsze wieki monarchii piastowskiej",*** *Poznań 2012; Nowak A,* ***„Dzieje Polski",*** *t. 1, Kraków 2014; Pleszczyński A.,* ***„Bolesław Chrobry",*** *Warszawa 2025; Pr. zb.,* ***„Piastowie. Leksykon biograficzny",*** *Kraków 1999; Strzelczyk J.,* ***„Bolesław Chrobry",*** *Poznań 2003.*

eprasa.pl 3fb0395e21

Czerwona Wieża z I połowy XVII w.

FOT. MICHAŁ MACKIEWICZ

Malta, wyspa zmilitaryzowana

Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Nie ma chyba drugiego takiego miejsca na świecie, gdzie na powierzchni niespełna 250 km kw. znajdowałoby się tak wiele pamiątek o charakterze militarnym. Malta wydaje się pod tym względem absolutnie wyjątkowa

Wyspa położona na Morzu Śródziemnym, ok. 75 km na południe od Sycylii, jest turystyczną mekką. Oferuje piękne plaże, czystą wodę, cudowne krajobrazy i niepowtarzalny klimat stromych uliczek zabytkowej Valletty (stolicy państwa) i pozostałych miast okalających zatoki Wielką i Marsamxett. Imponujące fortyfikacje budowane na całej Malcie przez Rzymian, Arabów, Normanów, Joannitów (Zakon Maltański), a potem Brytyjczyków wyraźnie świadczą o jej strategicznym znaczeniu. Zbrojna rywalizacja o kontrolę nad wyspą sięga czasów starożytnych, jednak w historii zapisały się zwłaszcza trzy epizody: Wielkie Oblężenie z 1565 r., inwazja Napoleona w 1798 r. i obrona przed włosko-niemiecką agresją podczas drugiej wojny światowej. Wydarzenia te mają w sobie silny pierwiastek heroiczny i stanowią ważny element dziedzictwa Malty.

Fort św. Elma

Na wyspie jest wiele muzeów o charakterze militarnym, ale placówką posiadającą pierwszorzędne znaczenie jest Narodowe Muzeum Wojny (National War Museum). Znajduje się w Valletcie, na terenie Fortu św. Elma, strzegącego wejścia do Wielkiej Zatoki i jednego z kluczowych punktów obrony joannitów przed Turkami w 1565 r. Historia kolekcji sięga czasów pierwszej wojny światowej, jednak muzeum ukonstytuowało się formalnie dopiero w latach 70. ubiegłego wieku. Pamiątki związane z dawnymi epokami są stosunkowo nieliczne, natomiast XX w. prezentuje się fenomenalnie. Na ekspozycji są kilka cennych egzemplarzy niemieckiego uzbrojenia z okresu pierwszej wojny światowej, które trafiły na wyspę w charakterze trofeów, a także przedmioty należące do weteranów Wielkiej Wojny i jeńców przetrzymywanych na wyspie. Gros ekspozycji zajmują militaria związane z walkami w latach 1940–1943, gdy na przybrzeżnych wodach i na niebie doszło do wielu zaciętych bitew. Ozdobą muzeum i jednocześnie jedną z wojennych ikon Malty jest odrestaurowany dwupłatowy myśliwiec Gloster Sea Gladiator o nazwie własnej „Faith". Wraz z dwoma innymi maszynami tego typu (niestety niezachowanymi) wziął na siebie ciężar obrony przed włoskim lotnictwem w początkowym okresie powietrznych walk nad Maltą. W muzeum opisano i zilustrowano zabytkami właściwie każdy aspekt pamiętnej skutecznej obrony, zarówno w odniesieniu do kampanii morskiej (konwoje na Maltę), jak i powietrznej, w tym niszczycielskie bombardowania i związany z nimi koszmar ludności cywilnej.

eprasa.pl 3fb0395e21

Ciekawy zespół pamiątek tworzą liczne trofea. W jednej z gablot prezentowane są włoskie militaria zdobyte 26 lipca 1941 r., podczas zuchwałego ataku na Wielką Zatokę. Elitarna włoska 10. Flotylla Szturmowa, składająca się z motorówek torpedowych, wybuchowych i „żywych torped", została unicestwiona wskutek awarii, kiepskiej koordynacji, a także skuteczności brytyjskich radarów i ognia 40-milimetrowych Boforsów ze stanowisk na Forcie św. Elma.

Zwrócone działa

Niedosyt dawnego uzbrojenia prezentowanego w Narodowym Muzeum Wojny z nawiązką wynagradza wizyta w zbrojowni Pałacu Wielkiego Mistrza (Palace Armoury La Valletta). Jest to bez wątpienia jedna z najwybitniejszych kolekcji dawnej broni na świecie. Aranżacja jest tradycyjna i pozbawiona nowoczesnych środków przekazu, jednak manekiny żołnierzy, bardzo naturalistyczne, prezentują się wspaniale. W estetycznych i przejrzystych gablotach zgromadzono ogromną ilość oręża zaczepnego i ochronnego. Uwagę przykuwa m.in. zespół prostych, typowo bojowych kusz używanych powszechnie jeszcze w trakcie walk w 1565 r. Godne odnotowania są oryginalne piki piechoty, oręż niegdyś produkowany masowo, a dzisiaj niezwykle rzadki w muzeach (wyjątkowe gabaryty nie sprzyjały ich zachowaniu dla potomnych). Świetnie prezentuje się kolekcja hełmów – jest to niemal pełen przegląd typów stosowanych przez europejską piechotę i kawalerię od schyłku XV w., aż po wiek XVII. Kilka gablot z uzbrojeniem otomańskim nawiązuje do pamiętnego oblężenia. Zbiór artylerii jest stosunkowo skromny, ale za to bardzo wartościowy. Wyróżnia się działo „skórzane", czyli armata o lufie kompozytowej, złożonej z kilku warstw różnych materiałów, w tym miedzi i skóry. W Polsce tego typu działa są kojarzone z Gustawem II Adolfem i szwedzką armią działającą na Pomorzu w latach 1626–1629, ale – jak widać – eksperymentowano z nimi i w innych częściach Europy. Egzemplarz z Valletty opisano po raz pierwszy w 1655 r.; dziś jako jeden z kilku zachowanych na świecie należy do prawdziwych unikatów.

Moriony w zbrojowni w pałacu Wielkiego Mistrza w Valetcie FOT. MICHAŁ MACKIEWICZ

Krajobraz Malty, zwłaszcza w rejonie potężnie ufortyfikowanej Wielkiej Zatoki, urozmaicają liczne działa baterii nadbrzeżnych. Niemal bez wyjątku pochodzą one z okresu brytyjskiego (kolonia funkcjonowała w latach 1800–1964), natomiast te starsze – z czasów, kiedy wyspą władał Zakon Maltański – oglądać można m.in. w niewielkim, ale bardzo ciekawym Malta Time-Gun Museum zlokalizowanym – jakżeby inaczej – w potężnej działobitni strzegącej zatoki. Po utracie walorów obronnych w końcu XIX w. zaczęła ona pełnić rolę baterii salutacyjnej. Ekspozycja jest w całości poświęcona dziejom artylerii na wyspie. Można się tu dowiedzieć m.in. o losie zakonnych armat. Otóż w 1798 r. Francuzi zdobyli na wyspie ok. 310 brązowych dział różnych typów i wagomiarów. W 1800 r. przejęli je Brytyjczycy, którzy wypędzili Francuzów i zawładnęli Maltą na ponad 150 lat. W połowie XIX w. większość luf wysłano do Wielkiej Brytanii do przetopienia. Tylko nieliczne ocalono z uwagi na ich walory historyczne lub artystyczne – ustawiono je w arsenale w Woolwich i w Tower of London. W latach 80. XIX w., dzięki przychylności brytyjskiego gubernatora, 13 cennych luf zwrócono Maltańczykom. Na wystawie prezentowana jest m.in. trzyfuntowa półkolubryna odlana we Włoszech w 1551 r.

Batalistyczne graffiti

Imponujące umocnienia bastionowe okalające Wielką Zatokę stanowią wizytówkę wyspy. Wznoszono je etapami przez kilka stuleci i dlatego reprezentują sobą co najmniej kilka różnych szkół fortyfikacyjnych. Choć całość sprawia wrażenie skomplikowanej gmatwaniny, to jest to bardzo przemyślany system wzajemnie się uzupełniających dzieł. Wnętrza potężnych fortów kryją w sobie labirynty brytyjskich kwater dowództw różnych rodzajów wojsk (Malta była jedną z najważniejszych baz Royal Navy), a na ich stokach pobudowano stanowiska artyleryjskie i obserwacyjne, które odegrały dużą rolę podczas drugiej wojny światowej. Dookoła całej wyspy wzniesiono wiele innych budowli obronnych, z których część miała jedynie charakter sygnalizacyjny. Najciekawiej prezentują się potężne wieże-kasztele (fortini), o bardzo grubych murach i stropach, przystosowane do prowadzenia ognia artyleryjskiego. Wznoszono je w I połowie XVII w., ale okazały się tak kosztowne, że powstało ostatecznie tylko pięć. Kolejne dzieła zakonników nie miały już takiego rozmachu. Za to brytyjskie forty nadbrzeżne imponują różnorodnością konstrukcyjną i są doskonale wtopione w krajobraz. Umocnienia wznoszono nie tylko na wybrzeżu. Położone pośrodku wyspy miasto Mdina opasane jest bastionami, ale z jednej strony zachowały się także mury obronne i wieża z okresu średniowiecza. Cudownie zdumiewającym dziełem jest przypominająca mur chiński brytyjska linia obronna wzniesiona w XIX w. w poprzek wyspy. Cały interior usiany jest nowożytnymi kasztelami – służącymi do obrony przed piratami – i brytyjskimi pill-boxami (małymi schronami) z lat drugiej wojny światowej. Wokół licznych lotnisk polowych i składów paliw zachowały się zasieki z drutu kolczastego.

Zwiedzenie wszystkich umocnień, stanowisk dowodzenia, schronów, muzeów i pomników związanych z działaniami wojennymi na Malcie zajęłoby miesiące. Ale nawet w ciągu krótkiego pobytu można się zachwycić nieprawdopodobnie różnorodnym dziedzictwem militarnym. Czasem jest ono niepozorne, pomijane w popularnych przewodnikach. Jedną z turystycznych atrakcji jest licząca 200 tys. lat jaskinia Ghar Dalam. W jej pobliżu stoi budynek muzeum, w którym prezentowane są zbiory geologiczne i zoologiczne. W czasie ostatniej wojny był tu brytyjski posterunek związany z funkcjonującym w pobliżu jaskini składem paliwowym. Jeden z żołnierzy wydrapał na ścianie scenę walki brytyjskich myśliwców z niemiecką wyprawą bombową; mimo schematyzmu ujęcia bez problemu można rozpoznać Messerschmitty i Spitfire'y oraz dwusilnikowe Junkersy. Rysunek niełatwo odnaleźć (nie jest w żaden sposób oznaczony), ale warto poszukać – jest niepowtarzalny!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3fb0395e21

Młot pneumatyczny w działaniu

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, JOSH PARRIS

Wieki XVIII–XXI / Prasa hydrauliczna

Sprasowany świat

Tymoteusz Pawłowski

Można zaryzykować stwierdzenie, że żaden inny pojedynczy wynalazek nie zmienił tak bardzo życia ludzi

Każdy chłopak zna boiskowe „prawo Pascala", mówiące o zachowaniu po wybiciu piłki futbolowej poza boisko. Blaise Pascal był francuskim naukowcem żyjącym w XVII w., prawdziwym człowiekiem renesansu zajmującym się wieloma zagadnieniami otaczającego go świata, ale niewiele miał wspólnego z piłką nożną. Dziś pamiętamy go przede wszystkim jako fizyka zajmującego się ciśnieniem, o czym przypomina nam jednostka nazwana jego imieniem, czyli paskal (Pa), oznaczający siłę 1 niutona działającą równomiernie na powierzchnię 1 mkw.

Prawdziwe prawo Pascala mówi, że „ciśnienie wywierane na zamknięty płyn jest przekazywane niezmienione na każdą część płynu oraz na ścianki naczynia". Zostało ono opublikowane w 1663 r., ale przez ponad 100 lat miało znaczenie przede wszystkim teoretyczne. W praktyce prawo Pascala oznacza jednak, że jeśli połączymy ze sobą wypełnione płynem dwa cylindry o różnych rozmiarach tłoków, to na powierzchnię każdego tłoka działa to samo ciśnienie. Jeśli jeden tłok ma powierzchnię większą od drugiego – dajmy na to – 10 razy, to naciskając mniejszy tłok, wygenerujemy na drugim tłoku 10-krotnie większą siłę. Oczywiście przesunięcie większego tłoka będzie również 10-krotnie mniejsze, ale jest to problem łatwy do rozwiązania.

Maszynę opartą na prawie Pascala opatentował w 1795 r. angielski hydraulik i ślusarz Joseph Bramah, który na początku swojej kariery zawodowej zajmował się montowaniem nowinki technicznej, którą były spłukiwane toalety. Osiągnął w tym prawdziwe mistrzostwo, a kluczem do sukcesu była dokładna kontrola jakości produkowanych podzespołów, do czego inni XVIII-wieczni rzemieślnicy i fabrykanci przykładali małą wagę. Jego układy hydrauliczne były bardzo szczelne i wytrzymałe, dzięki czemu Bramah zbudował maszynę hydrauliczną pracującą pod olbrzymim ciśnieniem i generującą wielką siłę.

Bramah wynalazł i produkował prasy hydrauliczne działające zgodnie z prawem Pascala. Jedna z pierwszych takich maszyn trafiła w 1806 r. do Tower of London, gdzie służyła do druku przez kolejne 160 lat (po czym przeszła na muzealną emeryturę). Mechaniczne prasy drukarskie znano już od średniowiecza, ale zastosowanie hydrauliki kilkunastokrotnie przyśpieszyło tempo drukowania gazet.

Przęsła w górę!

Prasa hydrauliczna Bramaha z 1806 r. generowała prawie 15 tys. niutonów siły, czyli – jak się dawniej mówiło – 1,5 tys. kg. Współczesne prasy hydrauliczne – a dokładnie podnośniki samochodowe kupowane za kilkadziesiąt złotych i upychane w kącie bagażnika – mają udźwig 20 tys. kg. Przykład ten ilustruje nie tylko postęp w inżynierii materiałowej, lecz także jedno z zastosowań prasy hydraulicznej. Zastosowanie dość oczywiste, być może takie, z którym najczęściej mamy bezpośrednio do czynienia, ale tak naprawdę zupełnie nieistotne: podnośniki samochodowe

eprasa.pl 3fb0395e21

mogłyby być wyłącznie mechaniczne i mało kto by zauważył różnicę.

Drukowanie książek jest kolejnym oczywistym zastosowaniem hydrauliki, ale tradycyjnymi metodami również dawano sobie radę, szczególnie jeśli nakłady nie były duże. Jednak bez drukarskiej prasy hydraulicznej nie byłyby możliwe druki wielonakładowe, a gazety – noszące miano prasy codziennej! – byłyby luksusem dla wybranych. Nie bez przyczyny masowe czytelnictwo, dostępne dla mas powieści, gazety codzienne kształtujące opinię publiczną i wreszcie sama opinia publiczna rozwijały się od drugiej ćwierci XIX w., czyli od momentu, gdy prasy hydrauliczne stały się tanie i dostępne (tzn. od kiedy wygasł patent Bramaha).

Prasa hydrauliczna znalazła również zastosowanie w przemyśle. Najbardziej widowiskowe było zastosowanie pras hydraulicznych w XIX-wiecznym budownictwie, ponieważ pozwalały one na przenoszenie i podnoszenie olbrzymich ciężarów, np. wciąganie stalowych przęseł mostowych na wysokość kilkudziesięciu metrów. Odmianą pras hydraulicznych są również dźwigi portowe, które pozwoliły na budowanie coraz większych statków i okrętów. Dziś ludzie są bardziej zblazowani, wielkie przedsięwzięcia budowlane nie robią takiego wrażenia jak dawniej, ale przecież wciąż przesuwa się za pomocą pras hydraulicznych całe budynki – czy to willę Grünebergów w Szczecinie, czy fabrykę Norblina w Warszawie.

Dla Polaków ważne jest też zastosowanie pras hydraulicznych w przemyśle lekkim i spożywczym, chociażby do prasowania nasion roślin i tłoczenia z nich oleju czy też do przygotowywania soków roślinnych. Polska rolnictwem stoi, ale stoi również budownictwem: hydrauliką napędzane są niemal wszystkie narzędzia, począwszy od młotów, poprzez łapy i łapki koparko-ładowarek, a skończywszy na skrzyniach ładunkowych wywrotek.

Pierwsze szalupy

Jeszcze ważniejsze jest jednak zastosowanie pras hydraulicznych w przemyśle ciężkim: bez nich przemysł nie mógłby być... ciężki. Hydraulika służy do

Joseph Bramah

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, INSTITUTION OF MECHANICAL ENGINEERS

podnoszenia i przenoszenia ciężarów, nie tylko olbrzymich, lecz także całkiem małych. Pierwszeństwo należy się „paleciakom" (historycznie właściwa byłaby oficjalna nazwa „wózek ręczny paletowy unoszący"), które początkowo służyły do przewożenia i unoszenia ciężarów nieznormalizowanych. Popularność zdobyły w czasach pierwszej wojny światowej,

Prasa hydrauliczna z ok. 1914 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, AL*FROM*LIG

gdy mężczyźni poszli do wojska, a ich miejsce w fabrykach zajęły kobiety, które naturalnie dysponują mniejszą siłą. Aby mogły sobie poradzić podczas transportowania ciężarów pomiędzy stanowiskami pracy, połączono wózek z podnośnikiem hydraulicznym.

W czasie kolejnej wojny światowej zastosowano na szeroką skalę widlaki, czyli „wózki jezdniowe podnośnikowe", przenoszące ciężary za pomocą wideł napędzanych hydrauliką. Alianci zachodni wygrali tamten konflikt dzięki Stanom Zjednoczonym, które produkowały uzbrojenie, wyposażenie i jedzenie, a następnie transportowały je przez Atlantyk i Pacyfik na linię frontu. Wąskimi gardłami były porty i składy – ładunki trzeba było podnosić wysoko i precyzyjnie umieszczać je w ładowni statku czy w szafie magazynowej. Wojna się skończyła, a „widlaki" pozostały, zyskując z biegiem lat zdolność do przewożenia coraz większych ciężarów i umieszczania ich coraz wyżej.

Najważniejszy jest jednak wpływ pras hydraulicznych na kształtowanie naszej rzeczywistości. Powyższe stwierdzenie trzeba traktować dosłownie. Pierwszy hutniczy młot hydrauliczny pojawił się w 1862 r. i od razu zaczął przekuwać marzenia konstruktorów w przedmioty. Pierwszym produktem wytwarzanym z wyprasek blaszanych były szalupy ratunkowe. Do katastrof morskich nie dochodziło często, ale gdy raz na jakiś czas statek szedł jednak na dno, wówczas najczęściej okazywało się, że drewno szalup było wyschnięte, przez co nabierały one wody. Z szalupami blaszanymi takich problemów nie było.

Pomysł był tak dobry, że blaszane wypraski zaczęto stosować wszędzie. Tak powstają miski kuchenne i ich zmilitaryzowane warianty, czyli hełmy chroniące głowę żołnierzy. I tak też powstają karoserie samochodów, zarówno tych „dorosłych", jak i tych przeznaczonych dla dzieci, a także niemal wszystkie metalowe zabawki (są oczywiście wyjątki, np. „resoraki" są odlewane). Nie tylko zresztą zabawki, ale niemal wszystkie „blaszane" przedmioty codziennego i niecodziennego użytku: łyżki, garnki, obudowy do komputerów, rynny, taczki, znaki drogowe, a nawet… okręty.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3fb0395e21

Piotr Zychowicz

Wielka Brytania potrzebowała sprzymierzeńca w Europie Wschodniej do prowadzenia wojny na dwa fronty z Niemcami. Od początku wolała w tej roli silny Związek Sowiecki, a nie słabą Polskę

Na pierwszym planie od prawej: Winston Churchill, Iwan Majski, Wiaczesław Mołotow, Londyn, 1942 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA, DEPARTMENT OF FOREIGN AFFAIRS AND TRADE

Wojenne gry Albionu / Premiera książki „Polacy"

Wymarzony sojusznik Churchilla

Na czym polegała polityka Wielkiej Brytanii wobec Europy Wschodniej w przededniu drugiej wojny światowej i podczas niej? Wbrew pozorom odpowiedź jest bardzo prosta: na szukaniu w tej części kontynentu jak najsilniejszego sojusznika do walki przeciwko Niemcom.

Wynikało to z doświadczeń pierwszej wojny światowej. Jak twierdzi wybitny amerykański badacz John H. Maurer, to właśnie Wielka Wojna ukształtowała wyobrażenia brytyjskiej – ale również francuskiej – elity władzy w dwudziestoleciu międzywojennym na temat tego, jak powinno wyglądać przyszłe zderzenie mocarstw.

Najbardziej logicznym, nasuwającym się rozwiązaniem było powtórzenie sprawdzonej recepty z poprzedniego konfliktu – w latach 1914–1918 potęgę kajzerowskiej Rzeszy udało się skruszyć wyłącznie dzięki temu, że Niemcy zostały wzięte w potężne kleszcze. Na Zachodzie przez Anglię i Francję, a na Wschodzie przez imperium Mikołaja II.

W sierpniu 1914 r., gdy ważyły się losy Francji i całego Zachodu, Rosjanie przystąpili do wielkiej ofensywy w Prusach Wschodnich. Zmusiło to niemieckie dowództwo do przerzucenia dwóch korpusów z frontu zachodniego na wschodni, co w mniemaniu ówczesnych mężów stanu uratowało Paryż. W dłuższej perspektywie wojna na dwa fronty wyczerpała zaś siły i ostatecznie powaliła na kolana cesarstwo Wilhelma II.

W 1939 r., u progu kolejnej wojny, Brytyjczycy liczyli na to, że uda im się powtórzyć ten manewr i wykończą Hitlera, tak samo jak wykończyli kajzera. Utworzenie potężnego frontu wschodniego miało zaangażować jak największą liczbę dywizji Wehrmachtu w odległej części Europy. A co za tym idzie – oddalić niebezpieczeństwo od Wysp Brytyjskich i zaoszczędzić bezcenną krew angielskich grenadierów.

Podstawowe pytanie brzmiało jednak: Kto ma utworzyć ten front wschodni dla Wielkiej Brytanii? Po rozpadzie Cze-

eprasa.pl 3fb0395e21

chosłowacji w 1938 r. opcje były tylko dwie: Polska lub Związek Sowiecki. Jest zaś oczywiste, że lepiej mieć sprzymierzeńca silnego, a nie słabego. Front wschodni powinien być bowiem trwały i jak najbardziej wykrwawić Niemców. Dlatego właśnie Wielka Brytania wolała mieć za sojusznika Związek Sowiecki, a nie Polskę. Wynikało to z pragmatyzmu i zdrowego rozsądku.

Kalkulacje te okazały się oczywiście słuszne. Polska załamała się po miesiącu oporu, a Związek Sowiecki walczył bite cztery lata. Największe straty w ludziach i sprzęcie Niemcy ponieśli na froncie wschodnim. To bolszewicy przetrącili kręgosłup niemieckiej machiny wojennej i doprowadzili do upadku Tysiącletniej Rzeszy.

Trudno się temu dziwić, skoro Polska w 1939 r. wystawiła przeciwko Niemcom zaledwie 30 dywizji, a Związek Sowiecki w 1941 r. 10 razy tyle. Polska miała kilkaset lekkich czołgów i tankietek, a Sowieci… kilkanaście tysięcy. Każdy trzeźwo myślący polityk dostrzegał tę dysproporcję.

Kasztany Stalina

Według powszechnie obowiązującej opinii Brytyjczycy wpadli na pomysł sojuszu ze Związkiem Sowieckim dopiero w czerwcu 1941 r., gdy Hitler zerwał sojusz ze Stalinem i rozpoczęła się operacja „Barbarossa".

Wcześniej niezłomny antykomunista Winston Churchill trzymał stronę Polski i brzydził się sojuszem z bezbożnymi bolszewikami. Dopiero beznadziejna sytuacja, w której znalazła się osamotniona po klęsce Francji Wielka Brytania, skłoniła Londyn do zawarcia sojuszu z Sowietami. Było to o tyle naturalne, że Hitler zaatakował ZSRS, a co za tym idzie – sam wepchnął Stalina w ramiona Churchilla. Był to więc niejako sojusz z przymusu.

Wszystko to są oczywiście mity. Brytyjczycy doskonale zdawali sobie sprawę ze słabości militarnej Polski. Dlatego też już w przededniu drugiej wojny światowej – wiosną 1939 r. – próbowali wciągnąć do koalicji antyniemieckiej Sowietów. Nie robili z tego zresztą większej tajemnicy, co skłania do zadania ważnych

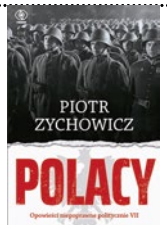

PIOTR ZYCHOWICZ
„POLACY"
DOM WYDAWNICZY REBIS

pytań w kwestii polityki prowadzonej przez Józefa Becka.

Nietrudno było bowiem przewidzieć, że na ołtarzu wymarzonego porozumienia z Sowietami brytyjscy politycy bez mrugnięcia okiem poświęcą interesy Polski. Szczególnie jeżeli w pierwszej fazie wojny Rzeczpospolita zostanie pokonana i Polacy przestaną się liczyć w międzynarodowej grze.

„Największe niebezpieczeństwo ze strony Anglii – proroczo pisał w czerwcu 1939 r. w książce »Wobec nadchodzącej drugiej wojny światowej« Władysław Studnicki – polega na tym, że pragnie udziału Rosji sowieckiej w koalicji. Czym jednak za ten udział może Rosji zapłacić? Tylko ziemiami polskimi, tylko naszym wschodem, to jest województwami leżącymi za Bugiem i Sanem".

Niestety, minister spraw zagranicznych Józef Beck przestrogi Władysława Studnickiego zignorował. Jego profetyczną książkę kazał skonfiskować, a sędziwy polski geopolityk omal nie został wtrącony do Berezy Kartuskiej jako „defetysta". Jak jednak pokazała historia, to on miał rację.

Wbrew legendom to nie Brytyjczycy nie chcieli sojuszu ze Stalinem. Było dokładnie odwrotnie – to Stalin nie chciał sojuszu z Brytyjczykami. Negocjacje, które prowadził z delegacjami z Londynu i Paryża – których członkowie wysiadywali na kremlowskich korytarzach w 1939 r. – były tylko mydleniem oczu. Podbijaniem stawki w rozmowach z Hitlerem.

W słynnej mowie z 10 marca 1939 r. Stalin wyraził się zresztą jasno. Zadeklarował, że nie pozwoli, aby Związek Sowiecki „został wciągnięty do konfliktów przez podżegaczy wojennych, którzy przywykli do tego, by inni wyciągali za nich kasztany z ognia".

„Rosja zastępcza"

„Brytyjczycy ocenili tę wypowiedź Stalina – pisał angielski historyk Simon Newman – jako oznaczającą, że nie należy się spodziewać, aby cokolwiek innego niż interesy Związku Sowieckiego determinowało politykę jego rządu. Co było z jego strony rozsądnym stanowiskiem, lecz właśnie ten twardy realizm irytował kierownictwo brytyjskiej polityki zagranicznej".

Skoro Związek Sowiecki wykazywał się „twardym realizmem" i nie miał zamiaru wystawiać się na pierwszy strzał III Rzeszy, to należało znaleźć innego kandydata do wyciągania kasztanów. Padło oczywiście na Polskę, która w brytyjsko-francuskich koncepcjach odgrywała rolę „Rosji zastępczej".

Trzeźwo myślący Brytyjczycy nie oczekiwali jednak od Polski utworzenia stałego frontu wschodniego, który – jak front niemiecko-rosyjski w latach 1914–1917 – mógłby na długo związać olbrzymią część armii Rzeszy. Według brytyjskich dowódców „całkowite wyeliminowanie Polski z wojny byłoby tylko kwestią czasu, prawdopodobnie paru miesięcy".

Właśnie te parę miesięcy było dla brytyjskich mężów stanu bezcenne. Na wieść o udzieleniu przez Wielką Brytanię gwarancji niepodległości Polski Adolf Hitler zmienił swoje plany. W pierwszych dniach kwietnia 1939 r. wydał rozkaz o przygotowaniu planu ataku na Polskę. Wojna miała rozpocząć się na Wschodzie, a nie – jak pierwotnie planował – na zachodzie Europy.

Wielka Brytania oczywiście gwarancji nie dotrzymała i nie przyszła Polsce na ratunek. Agonia Rzeczypospolitej dała jej jednak zbawienne kilka miesięcy na przygotowanie się do wojny. Na trupie Polski stworzona została zaś granica niemiecko-sowiecka, co dawało bardzo obiecujące nadzieje na przyszłość.

Stworzenie granicy niemiecko-sowieckiej otwierało bowiem drogę do tarć między dwoma totalitarnymi kolosami, a te z kolei zwiększały ryzyko wybuchu wojny Hitlera ze Stalinem. Scenariusz ten, do którego nie udało się doprowadzić w roku 1939, zmaterializował się w roku 1941.

A Polska? No cóż, truizmem jest stwierdzenie, że polityka międzynarodowa przypomina grę w szachy. Każdy gracz wie jednak, że aby ratować króla, czasami trzeba poświęcić piona.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3fb0395e21

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

RODZICE JACKA KARPIŃSKIEGO BRALI UDZIAŁ W WOJNIE POLSKO-BOLSZEWICKIEJ. JEGO OJCA ADAMA (KONSTRUKTORA LOTNICZEGO) I MATKĘ WANDĘ (LEKARZA MEDYCYNY SPORTOWEJ I RENTGENOLOGA) ŁĄCZYŁA PASJA DO ALPINIZMU. ZAPLANOWALI NAWET, ŻE ICH DZIECKO URODZI SIĘ W SCHRONISKU POD SZCZYTEM MONT BLANC, JEDNAK...

W CZASIE II WOJNY ŚWIATOWEJ ANGAŻOWAŁ SIĘ W DZIAŁALNOŚĆ PODZIEMNĄ. KARPIŃSKI UCZESTNICZYŁ W AKCJACH BATALIONU „ZOŚKA", NATOMIAST W PIWNICY JEGO RODZINNEGO DOMU WYTWARZANO GRANATY. GDY WYBUCHŁO POWSTANIE WARSZAWSKIE BYŁ W TYM SAMYM PLUTONIE CO KRZYSZTOF KAMIL BACZYŃSKI. W TRAKCIE WALK KARPIŃSKI ZOSTAŁ CIĘŻKO RANNY.

W 1951 ROKU KARPIŃSKI UKOŃCZYŁ STUDIA NA POLITECHNICE WARSZAWSKIEJ. PO OBJĘCIU STANOWISKA ADIUNKTA I KIEROWNIKA PRACOWNI W INSTYTUCIE PODSTAWOWYCH PROBLEMÓW TECHNIKI POLSKIEJ AKADEMII NAUK ROZPOCZĄŁ PRACĘ NAD RÓŻNYMI URZĄDZENIAMI: PIERWSZYM W POLSCE SYSTEMEM USG, MASZYNĄ MATEMATYCZNĄ DO DŁUGOTRWAŁYCH PROGNOZ POGODY (AAH) CZY PIERWSZYM W EUROPIE ANALIZATOREM RÓWNAŃ RÓŻNICZKOWYCH (AKAT-1). DZIĘKI SWEJ PRACY NAUKOWEJ ZOSTAŁ STYPENDYSTĄ UNESCO W RAMACH MIĘDZYNARODOWEGO KONKURSU MŁODYCH TALENTÓW TECHNIKI.

PO POWROCIE DO POLSKI KARPIŃSKI OBJĄŁ KIEROWNICTWO PRACOWNI SZTUCZNEJ INTELIGENCJI W INSTYTUCIE AUTOMATYKI PAN. TO WŁAŚNIE W NIM SKONSTRUOWAŁ PIONIERSKI PERCEPTRON BĘDĄCY PIERWSZĄ W EUROPIE MASZYNĄ ZDOLNĄ DO SAMOUCZENIA SIĘ. PO PRZEJŚCIU DO PRACOWNI KOMPUTERÓW W INSTYTUCIE FIZYKI DOŚWIADCZALNEJ UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO, ROZPOCZĄŁ WRAZ Z ZESPOŁEM PRACĘ NAD KOMPUTEREM KAR-65. NATOMIAST W 1969 ROKU POWSTAŁ PROTOTYP MINIKOMPUTERA 16-BITOWEGO K-202, POZWALAJĄCEGO NA OBSŁUGĘ AŻ 8 MB PAMIĘCI. WZBUDZIŁ ON OGROMNE ZAINTERESOWANIE NIE TYLKO W POLSCE I ROZPOCZĘTO JEGO PRODUKCJĘ, JEDNAK WKRÓTCE...

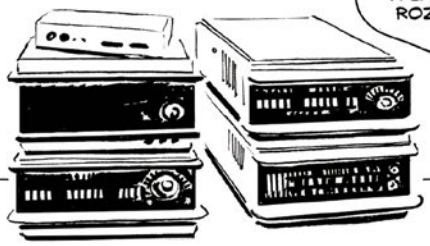

W 1978 ROKU JACEK KARPIŃSKI ZROBIŁ KURS ROLNICZY, WYDZIERŻAWIŁ GOSPODARSTWO POD OLSZTYNEM I ZAJĄŁ SIĘ HODOWLĄ TRZODY ORAZ DROBIU. TAM PO KILKUNASTU MIESIĄCACH ODNALAZŁ GO DZIENNIKARZ.

CHOĆ NA PIERWSZYM KONGRESIE POLSKIEGO TOWARZYSTWA INFORMATYCZNEGO KARPIŃSKIEGO WYBRANO NA WICEPREZESA, TO ZE WZGLĘDU NA STANOWISKO WŁADZ PAŃSTWOWYCH, NIE MIAŁ SZANS NA POWRÓT DO ZAWODU. WYJECHAŁ WIĘC DO SZWAJCARII, GDZIE PRACOWAŁ DLA STEFANA KUDELSKIEGO, ZAŁOŻYCIELA FIRMY NAGRA. DO KRAJU KARPIŃSKI WRÓCIŁ DOPIERO PO ZMIANIE USTROJU. NA POCZĄTKU LAT 90. DORADZAŁ MINISTROM W SPRAWACH SYSTEMÓW INFORMATYCZNYCH. PRÓBOWAŁ TEŻ URUCHOMIĆ PRODUKCJĘ W POLSCE SWOJEGO WYNALAZKU PENREADERA (SKANERA ROZPOZNAJĄCEGO TEKST), JEDNAK PO WSTRZYMANIU PRZEZ BANK KREDYTU I NAŁOŻENIU KARNYCH ODSETEK – WPADŁ W POWAŻNE PROBLEMY FINANSOWE. ZMARŁ 21 LUTEGO 2010 ROKU. W PRZYSZŁYM ROKU PRZYPADA SETNA ROCZNICA JEGO URODZIN I W ZWIĄZKU Z TYM JEGO KOLEDZY Z POLSKICH UCZELNI PLANUJĄ DZIAŁANIA MAJĄCE NA CELU PRZYPOMNIENIE DOROBKU NAUKOWEGO KARPIŃSKIEGO.

eprasa.pl 3fb0395e21

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA TADEUSZ WOLSZA: „WIĘZIENIA STALINOWSKIE W POLSCE"

Książka profesora Tadeusza Wolszy to pierwsza udana próba pełnego spojrzenia na życie codzienne więźniów politycznych w Polsce w latach największego komunistycznego terroru (1945-1956).

Korzystając z dostępnej od niedawna dokumentacji Departamentu Więziennictwa i Obozów MBP oraz obficie czerpiąc z memuarystyki, Autor przedstawił codzienność w różnego rodzaju miejscach odosobnienia – więzieniach, obozach, ośrodkach pracy. Opisał metody represji, niewolniczą pracę w kopalniach, kamieniołomach i gospodarstwach rolnych. Odtworzył pobyt skazanych i ostanie chwile życia w celi śmierci między innymi Hieronima Dekutowskiego „Zapory" i Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki". W pasjonujący sposób opisał też ucieczki więźniów z konwojów i zakładów karnych, na przykład z Krakowa, Sieradza, Strzelec Opolskich i więzienia mokotowskiego w Warszawie. W końcu imiennie wskazał na najbardziej brutalnych funkcjonariuszy straży więziennej, odpowiadających za skrytobójcze mordy popełnione na żołnierzach wyklętych.

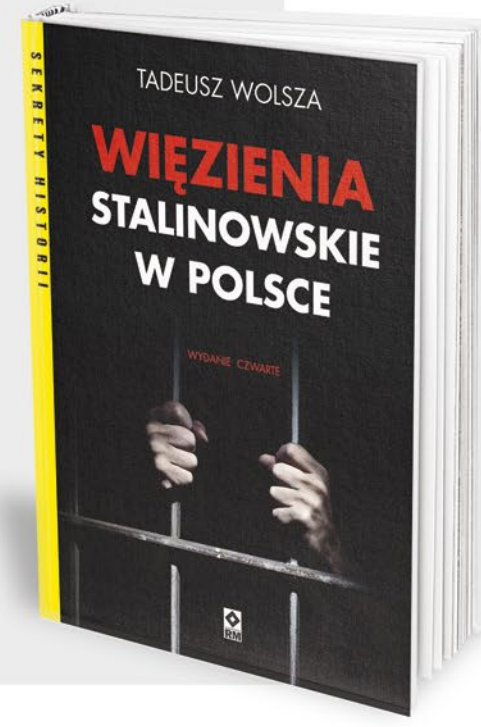

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

174 zł

oszczędność 40 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST.
ZAMÓWIENIA TYLKO PRZEZ STRONĘ WWW.SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 3fb0395e21

Od ponad dekady tworzymy jedno
z najbardziej opiniotwórczych mediów w Polsce

SPÓŁKA AKCYJNA
DO RZECZY

Do Rzeczy S.A.
Spółka notowana na rynku **NewConnect (GPW)**
Symbol giełdowy: **DRZ**

WOLNOŚĆ SŁOWA MA WARTOŚĆ - TAKŻE GIEŁDOWĄ

Od 28 kwietnia 2026 możesz nas nie tylko czytać,
ale również zostać akcjonariuszem Do Rzeczy S.A.

ZAINWESTUJ
W NIEZALEŻNE MEDIA
Twoje media. Wspólna sprawa.

Dowiedz się więcej:
www.DoRzeczySA.pl

eprasa.pl 3fb0395e21